

Nr. 170—175.

BIBLIOTEKA Powszechna

J. I. Kraszewski

I 265.884
Powrót do gniazda

Powieść
Z PODAN XVI. WIEKU



Każdy tomik można osobno kupić

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



Założona w roku 1874 firma Księgarska

W. ZUKERKANDEL W ZŁOCZOWIE

wydaje od roku 1891 najtańsze w Polsce

==== wydawnictwo pod nazwą ====

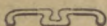
„BIBLIOTEKA POWSZECHNA“

Biblioteka Powszechna wychodzi tomikami, z których każdy stanowi dla siebie odrębną całość, wyjątkowo obszerniejsze dzieła składają się z dwóch lub kilku tomików. Każdy tomik nabywać można w Księgarniach broszurowany, lub oprawiony.

Na treść tomików Biblioteki Powszechnej składa się wszystko co umysł ludzki zająć potrafi. Więc zawiera ona: dzieła poetyczne, opowieści, nowele, humoreski, dzieła sceniczne (tragedje, dramaty, komedje) tak polskich, jak i obcych pisarzy. Zawiera Biblioteka Powszechna dzieła ze wszystkich dziedzin wiedzy i nauki, jak z historii, historii literatury i t. p., z nauk przyrodniczych i t. d. Zawiera podręczniki do nauki języków, — z zakresu rozmaitych sportów, zabaw i gier, uwzględnia wszystkie potrzeby życia praktycznego.

35 CIĄG DALSZY NA str. 3. OKŁADKI.

J. I. KRASZEWSKI.



POWRÓT do GNIAZDA.

POWIEŚĆ

Z PODAŃ XVI. WIEKU.



(1929)

LWÓW — ZŁO CZÓW

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zuckerkandla.

*Wzrost do
I/540.779/170*

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001002436279

Józef Ignacy Kraszewski, urodzony w Warszawie d. 26. lipca 1812, zmarły w Genewie d. 19. marca 1887, co do wszechstronności talentu a jeszcze bardziej co do ogromnej liczby dzieł, które napisał, nie ma sobie równego w piśmiennictwie całego świata. Dopiero późniejsze czasy oceniają, jak należy, całe znaczenie jego działalności pisarskiej. Poezya, powieść, nowela, dramat, komedia, — dziennikarstwo — umiejętności historyczne — oto główne działy, które uprawiał, w żadnym jednak nie doczekał się tak wielkiego uznania i nie mógł zdobyć tak szerokiej popularności jak w powieści.

W niniejszym tomiku podajemy czytelnikom jedną z najulubieńszych i najlepszych powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Czynimy to za zezwoleniem Rodziny ś. p. autora, z prawdziwą radością, że do rzędu pisarzy, których dzieła nasze wydawnictwo rozpowszechnia, możemy odtąd także zaliczać wiekopomych zasług męża, Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Redakcja Biblioteki Powszechnej.



I 265.884

1964K618/36

Coelum, non animus mutant,
qui trans mare currunt...

I.

Wieczór był wczesnej jesieni. Wśród murów miejskich ledwie początek września odgadnąć było można, takim ciepłem wiało powietrze, tak złociste były niebiosa, taki spokój pannał w naturze całej. Rzekłbyś coś wiosennego czuć było w powiewie wiatru łagodnym, który przynosił zapachy liści powiędłych, ściętego zboża i dojrzałych owoców, a łudził jakby kwiatami roztwierającymi się na łąkach. Często tak ostatnie dni życia w naturze są niby pierwszych wspomnieniem.

Starożytne miasteczko ze swymi szczytami domostw gotyckich, wieżami kościołów, basztami i murami, ozłoczone zachodzącego słońca promieniami, malowało się na tle niebios pełnym fantazyi obrazem. Na wysokich czolach kamienie gorzały jeszcze blaski łuny zachodniej, gdy ulice przezroczyły cień okrywał jakby kotarą olbrzymią. Gdzieś tam w wą-

zkich oknach o drobnych szybach w olów oprawnych widać już było czerwone ognie pozapalane przez troskliwe gospodynie.

W rynku panował jeszcze ruch dzienny, żywszy może niż był we dnie, bo się wszyscy spieszyli do domów przed nocą. U kamiennej studni w pośrodku stały dziewczęta i gwarzyły przypatrując się przechodniom. Dalej kilku mieszczan, starszyzna w dostatnich sukniach i dziwnych kołpakach na głowie, rozprawiało żywo o sprawach miasta i krajów niemieckich. Na niektórych domostw progach stały panie mieszczyki z założonemi na piersiach rękami i posyłały sobie pytania i odpowiedzi wesołe. Kupcy zabierali się do zamykania sklepów, a chłopaki biegały około żelaznych okiennic, hałaśliwie przysposabiając sztaby, któremi je ryglować mieli.

Z ciężkimi wozy ładownymi podróżni kupcy zdążali na noclegi szukając znajomych znaków. Kilka gospód dla obcych widać było w rynku. Z okna w szczycie na drążku wywieszono ich orły, konie i znamiona różne rysowały się ciemno na niebie. Wrota stały jeszcze otworem.

Przed jedną z nich konie pańskie i służki gotowe do drogi snadź czekały na jakiegoś szlachcica, który przed nocą na zameczek swój chciał podążyć.

W ulicy gwar był i dość ludu, jeszcze łatwo naówczas odróżniającego się strojem i obyczajem od szlachty i mieszczaństwa. Wśród niego, jak na małe miasto, widać było więcej dostatniej młodzieży, w biretach z piórkami, w sukniach wykwintnych, przy mięczykach, niżby się jej spodziewać było można. Niektórzy z nich trzymali księgi pod pachą oprawne w pergamin biały i zwitki papieru, po nich poznać było można studentów i po wesółych a raźnych głosach, które się z ust dobywały. Większa ich część dążyła do gospody akademickiej pod Gołębiem Żółtym, w której drzwiach cisnęli się śmiejąc i rozprawiając panicze po stroju na obcych wyglądający. Kobiety przypatrywały się im zdaleka, a z za szyb ciemnych kamienic nie jedna główka ciekawa ścigała oczkami złotowłosego chłopaka, którego biret aksamitny pokrywał pukle obfite. I starsze panie mieszcзки uśmiechały się młodzieży znajomej, bo w miasteczku nikt sobie całkiem obcym nie był.

Jedno z okien Żółtego Gołębia stało otworem, a przez nie dobywał się choralny śpiew studenckiej pieśni odwiecznej, nuconej po całej Europie:

Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus...

Wesoło było w tym rynku, rzekłbyś w jednej izbie, w której się gromadziła rodzina. Śmiech, śpiewy i rozmowy krzyżowały się i mieniały, a koła wozów po twardym spiczastym bruku tętniały jakby rytmem wielkiej tej pieśni.

A słońce zachodziło kędyś za wzgórza i niebiosa blado-liliowe osłaniały cienie i na szczytach kamienic powoli gasły blaski zachodu a występowały czerwono palące się okna. I zwolna rozchodzili się wszyscy a tłum coraz zmniejszać począł.

W głębi rynku, w kamieniczce, na wschodkach wiodących do drzwi jej zamkniętych, siedział chłopak młody, łokcie oparłszy na kolanach, a głowę trzymając w dłoniach, i dumał. Ubiór jego bardzo skromny, ale czysty, oznaczał pacholika zamożnego pana i różnił się wielce od niemieckich. Miał na sobie suknię z rękawami na wyloty burakowego koloru, bramowaną żółto, pasek na klamry spięty, szeroką spodnią odzież i buty safianowe ciemne. Na głowie mały kołpaczek pokrywał włosy ucięte dość krótko i podgolone. Od pasa skórzana torebka i nóż w pochwach wiszące z przodu, na łańcuszkach, również były niewykwintne jak odzienie.

Chłopakowi znać nudno było i smętno, bo choć kilka razy okiem rzucił ku rynkowi

i popatrzał na młodzież, ani się myślał do niej zbliżyć, ani bardzo ciekawił za nią.

Kamienica, na której stopniach obrał sobie spoczynek wieczorny, była wązka od czoła, mała, dosyć wysoka, lecz jedna z naj-ozdobniejszych w rynku. Cały dół, aż do drzwi, u których wnijscia siedział chłopak, zajmowało wielkie okno, znać sklepowe, już żelaznemi okiennicami zasłonię. Ponad niem, na żelaznym pręcie, stał z drzewa wyrzeźbiony, złożony puhar misterny, który złotnika oznajmował.

Na pierwszym piętrze węższe trzy okna, z ołowianemi szyby i żelaznemi balaskami u dołu, zielenią i kwiatami ubrane były. Nad niemi w murze, wśród figłów i rzeźb kamiennych, wyryty był ogromny pierścień i rok 1496. Jeszcze wyżej mniejsze trzy okienka stały ciemne, a nad niemi dwa, już w szczycie, świeciły czerwono.

Cisza i spokój panowały koło domu, ani się żywa dusza pokazała w jego oknach, ani ruszyło co w głębi. Ostatni promyk słoneczny padał właśnie na szczyt i dozwalał przypatrzeć się pięknie odnowionej facyacie, której szczyt zdobiły piramidy, globusy i foremne wyginania.

Wszystko to zresztą znamionowało dostatniego gospodarza, bo i zamknięte drzwi całe

były pokryte żelazną siatką, którą mistrzowska wykula ręka, jakby z miękkiego jedwabiu szyla wzory na tkaninie. Ponad drzwiami ten sam rękodzielnik zawiesił w oknie w koronce z żelaza imię Jehowy. Każdy tu kamyk był wypieszczony i wdzięczny, a czas nie wyszczerbił nic jeszcze z pięknego czoła domu. Sąsiednie gmachy, większe, cięższe, smutnie się wydawały obok małego cacka, z którego prawej strony, za wysokim murem ogrodu, wychylały się, jakby z przepelnionego kosza zieleni, powywieszane gałęzie starej lipy, klonu i figlarne różanego krzaku wypustki.

Maleńka furтка w murze wiodła do cieniściego wirydarzyka, a w niży nad nią spłowiałe malowanie stare ledwie już było widoczne.

Zmierzchło już dobrze, gdy ostrożnymi krokami z ulicy, oglądając się dookoła, wysunął się człowiek lat średnich, osłonięty szarym płaszczem dostatnym, z głową pokrytą nawisłą czapką, która twarzy jego widzieć nie dawała. Para zawieszonych wąsów tylko sterczała po obu jej stronach.

Z pod oponczy widać było buty czarne i koniec krzywej szabli, która się utaić nie dała. Szedł krokiem wolnym, rozpatrując się na wsze strony, poglądając w dal ku rynkowi, a najpilniej na wschodki, na których siedział chłopak z głową w dłonie utopioną. Poglądał

i na okna kamienicy i na sąsiednie domy i na przechodniów, którzy w tę stronę ku niemu dążyli.

Podkradłszy się tak pocichu niemal ku drzwiom i wschodkom, mężczyzna stanął, obejrzał się jeszcze raz i odchrząknawszy raz i drugi, aby chłopaka wyrwać z zadumy, gdy ten podniósł głowę i zdziwiony począł mu się przypatrywać—z cicha, ale wyraźnie zawołał:

— Józko! Sam tu!

Zdaje się, że widok upiora i głos gromu nie byłby więcej przeraził młodego chłopca siedzącego na wschodach nad to tak proste odezwanie się niespodziane. Porwał się na nogi, z razu jakby nieprzytomny, zachwiał, przetarł oczy i w kilku skokach znalazł się przy stojącym w ulicy. Słysząc było tylko szept jakiś, po czem oba, obejrzawszy się, zawrócili w ciasną uliczkę idącą od rynku ku murom.

Po obu jej stronach stały domy wysokie, ale daleko mniej wytworne niż we środku miasta. Gdzieniegdzie mur i ogród przedzielał kamienice, i szerokie bramy zamknięte wiodły na rozległe podwórce. Ludności się tu mniej kręciło, kilka dziewcząt z wodą wracało śpiewając i kilkoro bosych dzieci uciekało pod murami. W prawo chwiał się u szczytu domostwa blaszany znak wieńca dębowego. Była

to gospoda, lecz skromniejsza od rynkowych, bo oprócz bramy miała za ledwo po jednym oknie z dwu boków. Właśnie we wrotach stał sługa z koniem, a kował w skórzanym fartuchu podniesioną nogę konia rozpatrywał. Żwa-
we stworzenie widocznie się tem niecierpliwiło i rwało, na co dwóch parobków patrzyło jakby zdziwionych, bo koń też był do niemieckich, ciężkich niepodobny, smuklejszy od nich, z długą piękną grzywą siwą, i z głowy mu oczy czarne w obwódkach jakby koralowych świeciły.

Po drodze do gospody przodem idący w opanczy mężczyzna i spieszący za nim widocznie pomieszany chłopak prawie do siebie nie przemówili. Doszli tak do bramy, przecisnęli się w milczeniu około konia, który tylu ciekawych gromadził przy sobie, i mężczyzna od gospodarza wzięwszy klucz poprowadził chłopca na wschody.

Otworzyła się izdebka sklepiona od ulicy, pełna sakw i węzełków, siodeł i końskiego rynsztunku, którego znać w stajniach trzymać się obawiano. W mroku widać było na stole cynowy dzban, kufel i porzucone misy od jadła.

Gdy się drzwi zamknęły, chłopak żywo do kolan przypadł starszemu, a ten go za głowę ująwszy pocałował.

— A! na rany Pańskie! zawołał Józko,

co wasza miłość tu robi? Prędzejbym się był śmierci spodziewał niż pana podstarościego tutaj.

— A no, cicho, Jóźko, a no cicho, aby mnie tu cale nie było! rozumiesz? Jam tu jest a niema mnie dla wojewodzica. Masz trochę rozumu, a kochasz naszego miłościwego pana i wojewodzica też. Powinieneś wiedzieć, że co się tu czyni, to dla dobra obojga. I słuchaj jeszcze — niech cię sumienie nie boli o to, że mi powiesz prawdę wszystką, bo po to ja tu jestem, abym się o niej dowiedział. Trzeba ją mówić jak na spowiedzi.

Chłopak głowę spuścił i milczał.

— Nie pierwszym to ja raz tu — dodał podstarości — i nie pierwszy też dzień. Wiem ci ja tu już przez drugich, co się święci, nie potrzeba mi od ciebie nic, inobym wiedzieć chciał, czy ludzie prawdę mówią.

Pochodził po izbie wzdychając i pocierając to czupryny to wasa.

Dopiero teraz, gdy opończę z siebie zrzucił, lepiej go można było zobaczyć, bo się i rozprostował i twarzy nie krył. Mężczyzna był pięknego wzrostu, barczysty i silny, lat średnich, z wygoloną głową i twarzą, na której tylko wąs długi, zwity gdyby dwa ogony węzowe się plątał; oblicze, wesołe może po spolicitego czasu, było teraz zasepione i chmurne.

Przystąpił do Józka, który ręce złożywszy miał i palce łamał z zakłopotania, aż mu w stawach trzaskały.

— Pisał wojewoda do pana Janusza, aby doma powracał, pisała matka, słano listy; co mu się stało, że się na rozkaz rodzicielski nie kwapi?

Józko ramionami dzwignął.

— Albo się to miłościwy pan przedemną będzie z tego spowiadał? rzekł powolnie. Prawda, że dla mnieby i brat rodzony lepszym nad niego być nie mógł, a no od wojewodzica do Józka daleko, aby mu serce swe i myśli odkrywał.

— A tyż to oczów i rozumu nie masz?— zapytał podstarości.

— Choćby też, zawołał rażno chłopak, a no i oczy mylą i rozum zwodzi.

— Jakże ci się zda, — mówił spokojnie stając przed nim stary — cóż go tu trzyma? nauka?

— Nauka też — rzekł chłopak prędko.

— Więc i cóż jeszcze?

Józko zmilczał.

— Mów śmiało, nie młokos z ciebie, dwadzieścia lat będziesz miał, boś się z panem Januszem jednego roku rodził; rozumiesz wszystko, a ja wszystko też już wiem.

Józko tylko westchnął i oczy sobie zakrył.

— Co tu już malować i pokrywać! — mówił podstarości — nie dla nauki on tu siedzi, nie owe nowinki go tu przykuły, ino dziewczka ta, panie Boże odpuść, i to jeszcze niemiecka.

— Nie mógłbym kłamać, gdybym i chciał — odezwał się i Józko po namyśle — będę się więc spowiadał jak Bóg przekazał.

Uderzył się w piersi.

— A! bo i mnie tu życie obmierzło. Miłościwy pan nie mówi mi nic, alem ja na wszystko patrzył. Nauka go tu sprowadziła, nauka go tu trzymała, choć ladajaka, a teraz i dziewczka pewnie nie puszcza.

Podstarości ruszył ramionami.

— A cóż mu to świta, z pozwoleniem, w głowie! mieszcza niemiecka dla syna pana wojewody? Toćby i prosty szlachcic tego nie chciał, wszak ci to chłopiska grube i ród pa-skudny!!

Józiak się namyślał trzęsąc głową.

— Przebaczcie mi — odezwał się — a no wy ich nie znacie. Prawdą a Bogiem, królewska albo książęca córka nie może piękniej wyglądać jak oto ta chłopka. Gdybyście ją widzieli, zdumielibyście się. Ojciec złotnik cesarski, człek co skrzyniami chowa portugały, a królom pożyczka. Jedyna córka, to ją w jedwabnych pieluchach koronkami obszywanych chowali! I wyrosło to jak pieszczony kwiat w doniczce...



delikatne, białe, piękne... ino patrzeć jak na obraz.

Podstarości splunął.

— Tem ci gorzej, — zawołał surowo — na złe chyba prostą dziewczkę tak wychuchali; bo cóż to ją na świecie czeka? albo gruby mieszczuch, albo takie zaloty pańskie, co srom do domu wniosą. Jużci się z nią nie ożeni szlachciec ani książe.

— Ja tam nie wiem, co ją czeka — rzekł Józko — a mówię jako widzę, nie prosta to dziewczka, ale malowany obraz. Gdybyście ją widzieli, kiedy z ciotką idzie w miasto, do kościoła, a ów strój od łańcuchów i maneli, a twarzyczkę delikatną i białe ręce, co nigdy nic oprócz igielki nie tknęły, zdumielibyście się. U niej tylko kwiatek, lutnia i książka; a chowali ją na panię i uczyli wszystkiego, jakby jej wszystko umieć było potrzeba.

Podstarości namarszczył się i nogą tupnął o podłogę.

— Tem ci gorzej, — westchnął. — I głowę mu zawróciła?

Józiak spuścił oczy.

— Nie wiem ci ja nic, nie wiem, tylko, że siedzi tam często, a jak pójdzie, to się zapomni i jakby go tam przykuło.

— Cóż ojciec? i ten nie spełna rozumu! — zawołał podstarości — przecie wie, co polski

pan znaczy, przecie rozumie, iż wojewodzie córki jego nie weźmie. Jakże pobłażać może?

— Co Niemiec rozumie, albo co on wie? — począł chłopak — on się ma za równego z baronami i grafami cesarstwa, boby mu tylko pisać i skrzynię otworzyć, aby pargaminu dostać z przywiesistą pieczęcią.

— Albo go to kawał oślejskiej skóry czem lepszym zrobi? — podchwycił podstarość i ramionami ruszył — choćby wreszcie wyszlachecił go cesarz, co nam niemieckie owo świeże szlachectwo, ba nawet i stare!

I począł chodzić po izbie krokami wielkimi,

— Skaranie Boże, nasłanie Pańskie! plaga to dla domu! ale raz z tego wyrwać go potrzeba. Dosyć już wszystkiego zła. Powróci i zapomni.

— A z wiarą jak, z kościołem? — dodał ręce załamawszy. — Tem gorzej pono jeszcze... bo o kobiecie zapomni, a gdy o Bogu nie pamiętał — poratowania niema... Zmysły człek odzyska straciwszy, wiary nie...

Westchnął stary — chłopak znowu spojrzeć nań nie śmiał.

— A gdzież to tu kto wyjdzie cały z tego piekła! — odezwał się po długim przestanku. Alboż to pan miłościwy nie wiesz, co tu za zgorzenie mieszka i jakie nowinki sieją...

i co się z kościołami stało, a cóż dopiero z ludźmi.

Nie odpowiedział podstarości.

— Wojewoda pisał nie jeden raz, ani dwa, pisała matka — cóż mówił i czynił, gdy listy przyszły?

— Gdy je przywieziono, to zrazu pieczęci rozerwać nie śmiał — rzekł Józiak — a chodził i lzy mu w oczach stawały, jakby ze krwią... i jęczał. Potem gdy je otworzył, jak szalony latał. Cóż po tem? drugiego dnia już, kiedy znowu Niemcy oszwargotali, a ta go ośpiewała i słodkimi wyrazy i uśmiechy ujęła, posprzątał karty i o wszystkim zapomniał. I było tak za pierwszym razem i następnych. A gdy ostatnie pismo nadeszło, rzekł mi: Pono nam w drogę potrzeba. Ucieszyłem się bardzo, bo mnie to powietrze truje, i skoczyłem do skrzyni pakować, aż mnie strzymał: „Będzie na to czasu dosyć.“ I więcej już o tem nie wspomniał. Chodził znowu jak dawniej, a na mnie spojrzeć nie śmiał, bom mu razy kilka chciał przypomnieć... i nimem począł, usta mi zamknął.

— Oczarowali go, — odezwał się cicho podstarości — kto wie jakie oni znają sztuki i czem człowieka biorą. Mogłoby to być, gdyby nie napój i nie szatańska siła, żeby dziecko naszego pana tak rozum postradało

i wszystkiego się swojego wyrzekło — aż do Boga!!!

Nie wdawał się już Józiak w rozmowę. Milczenie zapanowało w izdebce, i ciemność była nadeszła. Chłopak się ruszył oprzytomniawszy, jakby mu pilno było do domu.

— Chcesz iść? — spytał podstarości — pamiętajże o tem, iż mnie tu niema i nie było... nie powinien wiedzieć o mnie nic. Wyrwałem się bez wiedzy pana wojewody, ani też jemu powiem ani matce, com tu odkrył. Lepiej by o tem nie wiedzieli... niech i matce inny tę gorycz przyniesie. Nakażą mu powracać pod błogosławieństwem, bo się złego domyślają, albo też je przeculi. Jam tylko oczyma własnymi widzieć chciał, własnymi uszyszysłyszeć, a czemem się ja strułem, nie będę się z nikim dzielił... Wrócę do domu jakbym na Węgry tylko jeździł. Jutro mnie tu nie będzie... Byle świt... w drogę!

Józiak podbiegł do niego...

— A! gdybyście też mnie z sobą zabrać mogli — zawołał niemal ze łkaniem — gdybyście wiedzieli, jak mi tu tęskno, jak smutno tu na tej obczyźnie. Ludzie są, to prawda, ale wcale insi niż nasi, i świat odmienny i powietrze i obyczaj i chleb i woda i język i Pan Bóg nawet... Jabym tu zesechał i umarł...

— A on? — spytał podstarości — jakto! czyż on tego nie czuje?

— Bóg tylko zna serca człowiecze — ozwał się Józko — bo są godziny, że i on tęskni i wspomina, i zdaje się jakby mu to dokuczało a sumienie go bolało i swoja ziemia ciągnęła. Ale to trwa godzinę... Młodzieź go porwie, pociągnie ta kobieta, i zapomni o wszystkim.

— Biednyż to biedny! — westchnął podstarości — boć to serce złote!

— A! lepszego na świecie niema! — podchwycił Józkiak.

— Bóg widzi, żebym go choć zdaleka rad zobaczył. Siedzę tu już dni kilka i szpieguję go, a nie śmiałem szukać, aby mnie nie poznał. Ino nie wiem, czybym zobaczywszy się wstrzymał, aby do niego nie pobiedz.

— Tylko co nie widać, jak z gospody będzie szedł na wieczerzę do domu, — odezwał się Józkiak cicho — bo się teraz u złotnika stołuje, a tam nań pewnie czekać będą. Mógłbym wam kątek znaleźć, z któregoście go niepostrzeżeni widzieć mogli.

Zawahał się podstarości.

— Pana Wojewody i naszej świętej pani dziecko — rzekł. — Już to dla mnie co najdroższego na świecie mam, poszedłbym pieszo w koniec kraju, aby je widzieć; a no, nie!

nie trzeba się zdradzić... Na nie się to nie przyda... Nie pójdę, bobym nie strzymał... Idź ty — dokończył żegnając chłopaka — idź, przybędą listy, czyń co możesz, choćbyś się mu naraził, aby co rychlej doma wracał.

— A cóż ja mogę! — spytał Józiać...

— Do serca mu przemówić z pokorą. Choć od sługi przyjmie dobre słowo, a tu go od nikogo nie posłyszysz. Przecież go Niemcy strzymywać dłużej nie mogą... i ma rozum. Niech jedzie, niech powraca. Gdy odetchnie naszym powietrzem, wszystko się to jak mgła rozwieje.

Chłopak westchnął... i dodał tylko po cichu — Amen.

Podstarości w głowę go pocałował i palec na ustach położył.

— Ale — milczeć! Józiać! żebyś mi się nie wygadał, żem ja go tu szpiegować przybył. Wszakci nie ze złego serca, ale z miłości, jaką dla nich wszyscy mamy. Własnego dziecięcia takbym nie strzegł i nie kochał jak jego.

Machnął ręką w powietrzu.

— Niech nas Bóg od nieszczęścia uchwowa. Idź, Józiać, idź... żeby się nie postrzegł, że cię niema, i nie domyślał się czego.

Chłopak jeszcze raz w rękę go pocałował i pobiegł do drzwi, którymi wysunawszy się, przemknął przez sieni ciemną i pośpieszył

uliczką ku kamienicy, na której wschodkach widzieliśmy go przed chwilą.

Oglądał się bacznie wracając, lecz szczęściem nikogo nie spotkał w drodze; zdyszany przypadł znowu u wnijscia domu i głowę zwróciwszy ku rynkowi, zdawał się stamtąd przyjscia czyjegoś oczekiwać.

Ściemniało już było i noc choć pogodna, gwieździsta, ale coraz czarniejsza nadchodziła. W rynku już było mroczno, smugi tylko czerwonych światel z okien gospód i domostw gdzie niegdzie przerzynały cienie. Na nich migaly przechodniów postacie, na chwilę stawały się widoczne i nikły znowu w pomroce. Gwar ustawał coraz, tylko ze studenckiego Złotego Gołębia śpiew się rozchodził roztwartem oknem po mieście spokojnem, niekiedy głośniejszy, to znowu przycichający. A gdy na chwilę ustał, wrzawa i szmer rozmowy krzykliwej jeszcze się dalej rozlegały.

Po bruku tętniały kroki rozchodzących się mieszczan i studentów; stróże nocni z latarkami i halebardami zaczynali swój obchód, stając u drzwi na chwilową z gospodarzami rozmowę.

Kilka minut upłynęło, nim się chłopak doczekał swojego wojewodzica.

Głos jego i śmiech wesoly poznał zdaleka. Ktoś ze studentów znać mu towarzyszył, bo

żywą rozmowę słyhać było zbliżającą się od rynku.

Dźwięczny głos młodzieńczy brzmiał jakby pieśnią życia — czuć było, że płynął z piersi pełnej dziewiczego szczęścia młodości.

Józiak bacznie ucha nadstawiał. Szli powoli, stawali czasami i rozmowa nie tajona, wesołymi przerywana wybuchami, dolatywała do chłopaka, jakby dlań była przeznaczoną.

Z pierwszego piętra kamienicy, przez otwarte okno, padał pas górnego światła daleko w ulicę. Gdy nadchodzący stanęli w niem, obu ich rozpoznać było można wyraźnie. Przodem szedł pięknego wzrostu młody mężczyzna, z promieniejącą wdziękiem twarzą, z cudzoziemska ubrany. Niemcy, wśród których często się ten strój ukazywał, nawykli już doń byli, Węgra tylko od Polaka nie bardzo mogli rozróżnić. Czarny aksamitny kontusik i pod nim z tureckiej materji żupan pstry jedwabny, takimże pasem ujęty, składał całe jego ubranie; a było mu w niem dziwnie do twarzy. Na głowie miał czapeczkę z piórkiem czaplem, na bok z fantazyą włożoną, a lewą ręką spierał się na bogato oprawnej krzywej szabli. Czerwone buty kurdybanowe na wysokich obcasach piękny kształt nogi uwydatniały. A nie tylko stopy same, lecz ręce i całą postać miał jakby utoczoną, a idąc, choć o tem nie wie-

dział, zdawał się pięknnością swą i zręcznością chwalić.

Patrząc nań weseliło się serce, takim miłym wyrazem siły, szczęścia, nadziei świeciło mu oblicze czystych i szlachetnych rysów. Czarne oko przymglone patrzyło w świat to wesolą tęsknicą, to gorącą jakąś żądzą. Na zwierzchniej wardze zaledwie ciemnym puszkciem wysypywał się wąsik młody, który niecierpliwa ręka chwytala coraz, jakby jej rosnał za wolno.

Tem poczwarniej wyglądał przy nim towarzysz suchy, długi, niezgrabny, w sukni czarnej z szerokimi rękawami, która do księżej była podobną. Na chudych jego nogach z ogromnemi stopy płaskimi pogarbione pończochy czarne i skórzane grube trzewiki zdawały się jak pożyczone wyglądać. Z pod szerokich rękawów wystające ręce niezgrabne, z długimi palcami, dopomagały ruchami do jakiegoś dowodzenia. Żyłasta szyja wystająca z sukni, w części długim, prostym, czerwonej barwy włosem przykryta, utrzymywała głowę za małą, krągłą, z oczkami czarnymi, noskiem zadartym i usty szerokimi. Twarz była młoda, życia pełna, szyderstwa i namiętności, a po bladej jej skórze tysiące piegów niby pstre malowały wzory.

Jaki traf zbliżył do siebie te dwie fizyogno-

mie tak niestworzone do pary? chyba młodość, która łączy i zbliża nawet najsprzeczniesze żywioly.

Ryży chłopak wskazał na okno kamienicy z uśmiechem.

— Pilno tam wam! nie pora o teologii rozprawiać, gdy ginekologia w sercu i myśli. Idźcież już, bo was tam pewnie piękna Fryda niecierpliwie czeka z wieczerzą i stary Hans wygląda oknem, aby do rozmowy pochwycił. Hej! hej! a cóż będzie, gdy konie zarżą i do Polski każą powracać? Czy się te dobre czasy wittenberskie przypomną??

— Mój Guściu — odparł wzdychając młodzienc — są w życiu godziny, które się nigdy nie zapominają. Do nich u mnie się liczy pobyt w Wittenberdze z wami; przedysputowane noce białe, przemarzone dni na przechadzkach, i w pyle starych ksiąg uciekłe godziny.

— I nic więcej? nic więcej? — podchwycił Gustaw ryży śmiejąc się, zniżając głos i wskazując okno — a te chwile, gdyście w śpiew jej wsłuchani mogli zapomnieć o ziemi a śnić o aniołach?

— Cyt! — rzekł kładąc mu rękę na ramieniu wojewodzie, — są to chwile, których słowy kalać się nie godzi. Chowają się ich wspomnienia w duszy na dni głodu i smutku... bo tyle się żyło, co przemarzyło...

— Dobranoc! —

To mówiąc ścisnął żywo jego rękę i podskakując podbiegł ku drzwiom domu, u którego progu Józiać już wstawszy nań czekał...

II.

W sklepionej izbie obszernej palił się wieczorny ogień na szerokim kominie, którego okładziny kamienne misternie były rzeźbione.

Dwa Satyry uśmiechnięte, zgarbione, trzymały ciężki gzyms, na którym wił się z owoców i kwiatów wieniec.

Przed kominem ława stała dębowa, kobiercem okryta, a na niej rzucona mała cytra, niedbale, w chwili zniecierpliwienia, groziła upadkiem.

Tuż ciężki stół o kręconych nogach, na wpół przyrzucony szytem bogato sukmem, zastawiony był kobiecemi fraszkami. W pośrodku roztwarta skrzyneczka z hebanu i srebra, koło niej z różanego drzewa kołowrotek i srebrny puchar, w którym pełno było trochę zaniedbanych z pospuszczanemi głowy kwiatów, i gruba księga z klamrami srebrnemi, z której kart patrzyły obrazki złożone. Obok zaczęta robótka kobieca i nożyczki na pasku.

Cała zresztą izba ta świeciła bawidelkami ze szczególnem zebraniem staraniem. Z jednej strony była szafa rzeźbiona, na której wierzchu

drewniane swawoliły aniołki, z drugiej wisiały obrazy, na półkach pełno było poustawianych srebrnych naczyń i rzeźb z kości i bursztynu.

Od sklepienia zwieszał się bronzony świecznik złożony, którego gałęziste ramiona połyskiwały w blasku ognia i jarzących świec zapalonych na drugim stole pod ścianą.

Gdyby izba była pustą, każdyby się w niej dziewiętego mieszkania domyślił, z takim wdziękiem zebrane tu było wszystko, z tak niewymuszonym smakiem poustawiane. Zarazem musiałby też był pieszczonemu domyślać się dziecięcia, którego najmniejsza zachcianka spełnioną być musiała. Kilka krzeseł i stołków rzeźbionych pod ścianami i przy stole okrywały kobiece stroje zrzucone znać po przechadzce. Na jednym jubka oszyta galonami, na drugim cienka zasłona, a przy niej oszyte wstęgami wonne rękawiczki.

W środku ściany wielkie weneckie zwierciadło, w ramach szklanych połyskujących brylantowemi rżnięciami i załamy, spuszczało się na pół jakby dla przypatrzenia pięknej twarzyczce, która właśnie sama się w niem smutno jakoś przeglądała. Stała oparta o stół, z główką na rękę i zamyślona; oczy miała wpatrzone sama w siebie, zdając się pytać, dlaczego była tak smutną.

W istocie trudną była odpowiedź na to

pytanie, bo piękniejszej twarzyczki i postaci, bo świeższego, niemal dziecięcego oblicza niktby nie znalazł na sto mil w koło — a takim obrazkom pieśczoneym zwykle dobrze bywa na świecie.

I dziewczę miało wszelkie szczęścia pozory, a jednak smutek na czole. Wiek jego trudno odgadnąć było... piętnaście wiosen ledwie przeżyła może... a wykwitła w tym domku kobiercami wysłanym, wśród cacek misternych, jak lilijka biała, delikatna, drobniuchna, że zdawało się straszno zbliżyć do niej, aby jak widmo czarowne nie roztopiła się w mgłę sinej. Na twarzy przecie nie było rumieńca, rączki miała marmurowe, a niebieskich, dużych oczów para i maleńkich warg różowe listki zdawały się zapożyczone z cudnego obrazka Van Dyka. Może dla tej piękności tak wątłej, tak bladej i nie ziemskiej trzymano ten kwiatek tak osłoniony i ukryty, pieszcząc i chuchając nań, aby nie zwiądł przed rozwinięciem...

Jasnych włosów warkocze z uplecionemi wstęgami spadały z jej główki na ramiona. Miała czarną sukienkę na sobie, a u pasa torebkę nabijaną złotem.

Strój, ruch i twarz raczej pańskie dziecię niż mieszczańską córkę oznaczały. Ale też córka Hansa Hennichena, cesarskiego złotnika

i mistrza w swej sztuce, z książecą nie jedną dziedziczką iść mogła o lepsze, a była u ojca jedyną; nie miała dawno matki i królowała w tym domu, przy ojcu starym, który nie kochał ją, ale bałwochwalczo padał przed nią.

I sam mistrz Hans nie pospolitym był złotnikiem, ale rzeźbiarzem, który kunsztu swojego uczył się po świecie i tworzył arcydzieła, które po królewskich dworach nie na wagę złota, ale pięć kroć i dziesięć kroć kupowano drożej. Wziąwszy warsztat po ojcu, Hans wziął z nim zamiłowanie swej sztuki i podniósł też ją wysoko; a że dostatek był w domu od dwóch pokoleń, w trzeciem znalazło się bogactwo. Handel kamieniami drogimi powiększył je znacznie jeszcze. W skrzyniach leżały sreber stopy, klejnotów garście, pieniędzy wory, a w szafie znalazłyby się pergamin i pieczęcie książąt i panów, co znaczne sumy winni byli Hennichenowi.

Bogactw tych swoich nie żałował on dla jedyne go dziecięcia; chował je jak królewskie, a gdy piękna Fryda westchnęła ku czemuś, ojciec nie uspokoił się, póki westchnieniu nie uczynił zadość.

Mimo to dziecię było czegoś smutne, patrzyło w zwierciadło i pytać się go zdawało, jak takiej główce ślicznej źle być może wśród tak brzydkich ludzi.

Stało tak dziewczę zadumane przed zwierciadłem, niekiedy drgając, gdy w kominie żywej sucha buczyna zapłonęła, i byłoby długo nie ruszyło się może, gdyby drzwi zwolna się nie otwarły i nie weszła niemłoda już kobieta. A że na próg wstąpiła po cichu i drzwi przemkniętych nie słyszała Fryda, miała czas wchodząca niewiasta popatrzeć na nią nie spostrzeżona. Zamyślenie dziewczęcia wyraźnie ją przełękło; załamała ręce, zmarszczyła brwi, twarz jej sposepniała. Zaszeleściła jej suknia jedwabna i pobrzękły klucze u pasa. Fryda odwróciła się żywo, postrzegła szpiega.

Wchodząca kobieta, na której czole czarne zębate czołko schodzące nisko stan wdowi oznaczało, była niemłoda, z twarzą żółtą, długą, pomarszczoną, i oczyma mocno wypukłemi. Skromny jej ubiór ciemny, domowy, nie odznaczał się niczem, a wyraz nieodgadnięty oblicza, pełen słodczy i pokory, odstręczał raczej niż pociągał ku sobie.

Dziewczę też zobaczywszy ją nie stało się weselszem, ale zdało się zakłopotanem. Upadła na ziemię chusteczkę podniósłszy, opamiętała się i pobiegła ku ławce, na której cytra leżała. Zdjęła ją z przed ognia troskliwie i schowała do szafy, potem zaczęła się krzątać przy stole, ustawiając porozrzucone sprząciki.

Ochmistrzyni, a razem pokrewna domu,

pani Gertruda, patrzyła na to gorączkowe niemal zajęcie z takim przestachem jak wprzód-
dy na smutek. Słowa jeszcze nie powiedziały
do siebie; na ostatek przybliżyła się cichymi
kroki wdowa do gospodarzącego dziewczęcia
i ozwała głosem miodowym, cichym, usilują-
cym przypochlebić się Frydzie:

— Moje dziecko! cóż ci to jest! Stałam
i patrzyłam chwilę... i przeraziłaś mnie, tak
cię znalazłam posępną. Czyżby kochanemu
dziecięciu braknąć co miało? Czybyś była nie-
zdrową? Czyby się co stało? Mów! proszę
cię! Stryj Hans gdy cię tak zobaczy, na nas
winę zrzuci... a my, Bóg widzi, chciałybyśmy
odgadnąć każdą myśl twoją.

Gdy pani Gertruda to mówiła, dziewczę
składało książkę, to zamykało skrzyneczkę
i unikało spojrzenia na nią, szukając środka,
aby odpowiedź zamącić.

— Ciociu Gertrudo! nie widzieliście no-
życzek moich?

Wdowa poczęła ich szukać, były pod rękę
właśnie.

— Ale ty mi nie mówisz o smutku?

— O jakim? ciociu Gertrudo?

— Przecież cię zastała tak zamyśloną,
tak pogażoną.

— A! zmęczyłam się tylko przechadzką!
W tych dniach ciepłych jesieni powietrze ta-
kie dziwne...

— Ale nie jesteś chora?

— Nie — nie — jak zawsze, Ciociu Gertrudo.

Wdowa znacząco pokiwała głową i złożwszy ręce jak do modlitwy stała przed nią.

— Ty bo nie jesteś szczerą ze mną... coś ci jest, o czem mi mówić nie chcesz!

Dziewczę białe poruszyło ramiona.

— A! nic niema! i mówić niema o czem.

Szeptaly tak, gdy druga postać niewieścia na ciemnem tle drzwi się pokazała. Była całkiem od pierwszej odmienną, słuszniejszą od niej, smuklejszą i z twarzy młodszą, choć do niej podobną. Ale na niej zamiast przybranej słodyczy malowała się znekana rezygnacya. Resztki wdzięku ją zdobiły... był to ostatni odbłysek młodości. Suknie jej jasne, włosy niepokryte i czoło nieosłonięne dawały się domyślać, że nie była zamężną. Wzrok dziewczęcia szybko skierował się na nią; może widziała w przybyłej wybawienie od pytań natrętnych.

Ciocia Gertruda zwróciła się zaraz ku niej z wymówką.

— Cóż jest naszemu dziecięciu, Leno! Frydę znalazłam smutną.

Leny ramiona drgnęły i po ustach przebiegł niby półśmiech dziwny.

— Ciociu Leno? wszak wieczerza gotowa?

wszak i godzina wieczery dawno nadeszła? Gdzie ojciec? spytała Fryda.

— Ojciec na dole przy swoich rachunkach jeszcze. Kazał by mu znać dano. Czy każecie przynosić wieczerzę?

Dziewczę się znięszalo.

— A! rzekło, nie trzeba ojcu przeszkadzać.

Na wschodach dały się słyszeć kroki — zamilkły wszystkie, Fryda słuchała z uwagą, zdając się oddech tamować, lecz z większą jeszcze czujnością wpatrywała się w nią oczyma chciwemi ciocia Gertruda. Niepokoiło ją wszystko.

W tem dziewczę zadrżało, blady, ledwie dostrzeżony rumieniec, jak odblask chmurki różowej, przesunął się po białej twarzyczce i w progu stał, zdejmując czapeczkę i kłaniając się nisko, młody chłopak uśmiechnęty, kręcąc jedną ręką wąsik zaledwie znaczny, drugą opierając się na szabli zwieszanej u pasa.

Ciocia Gertruda musiała go po odbiciu tego rumieńca w twarzy Frydy odgadnąć i obróciła się ku drzwiom.

Wojewodzie pokłonił się cioci Lenie naprzód, bo ta najbliżej stała, ale na widok jego się cofnęła; potem pozdrowił dziewczę, na ostatek ciocię Gertrudę, która mu jego pokłon oddała uroczyście, w tył krok robiąc i uginając nieco kolana. Przybrała powagę wielką i spięła usta z wyrazem dumy.

Dziewczę rozrzuciło na stoliku, co przed chwilą poskładało, a oczyma wpatrzyło się w przybysza. Oboje oni, piękny chłopak i biała lilijka, wzrokiem rozmawiali, nim zaczęli usta. Nie spuszczała z siebie wejrzenia — tylko Fryda smutniała a wojewodzie się uśmiechał.

— Późno przychodzicie na wieczerzę! — szepnęło dziewczę z wymówką, nie zważając na dwie ciotki, które powoli ku drzwiom w głąb pokoju się cofały, ciocia Lena pierwsza, Gertruda z wahaniem, czyby jej zostać nie należało.

— Piękna pani — ozwał się przybywający — alem ja i teraz was jeszcze zastać się nie spodziewałem. Zdała widziałem, jakieście szły na przechadzkę, myślałem, że się ona dla pięknego przeciągnie wieczora.

— Ależ już noc czarna! — szepnęło dziewczę zwracając się ku oknu, przez które w głębi na niebie ciemnem parę gwiazd brylantowych świeciło. — Przyznajcie się, hrabio Hans (tak tu zwano z niemiecka wojewodzica Janusza), woleliście studencką gospodę, niż cichą izdebkę moją. Przechodząc słyzałyśmy śpiewy. A! jakże śpiewacie strasznie... jak tam w tych głosach coś dzikiego brzmiało...

— Bo my — śmiejąc się ciągle i przybliżając do stołu, mówił Janusz — my dzikim jesteśmy ludem! Kiedy pieśń toczyć się zacznie z ust i piersi, to rośnie jak w górach

śniegu bryłka, co mała z początku, dzióbkiem ptaszęcym ruszona spada i grzebie wioski lawiną. Tak i u nas! Zacznie któryś głos dziecięcy po cichu, a no zwolna, łączą się doń inne i wzrastają i grzmia i syczą... jakby pieśń wojenna...

— Ja takiego śpiewu nie lubię! O nie! nie! — trzęsąc główką rzekło dziewczę. Pieśń wojenna to ryk... ja lubię piosnkę kościelną i cichy śpiew, co płynie jak słowiczy głos nocny po rosie, i czasem wesołą nutę dziecięcą... a wy, wy, to się lubujecie we wrzawie.

— Nie ja! — wyparł się Janusz, — o! nie ja — ja to lubię co wy, piękna Frydo; ale z naszymi braćmi trzeba to czynić, to lubić, to pieć i to śpiewać co oni. To prawo nasze.

Fryda skrzywiła się.

— Wyście nadto posłuszni, — szepnęła — tylko nie... mnie.

Z wyrzutem spojrział na nią wojewodziec. Na wschodach słyhać było chód ciężki i żywy, drzwi otwarły się z łoskotem, na próg wszedł głośno, śmiało pan domu... mężczyzna siwiejący, z głową krótko ostrzyżoną, z brodą krągłą, twarzy rumianej, oczów czarnych. Barczysty był jak robotnik, a na czole miał jasną myśl i oczy bystre i usta mowne i widać było nim przemówił, że ze słowem jak ze złotem, mistrzem być może. Twarz piękna, spokojna,

dobra, miała i dumę i powagę, i nawykła była do niej, bo się niemi wówczas mieszczanin bronić musiał przewadze i dumie szlachcica. Hans Hennichen odziany był, jak dostatni pan, w aksamit i atłas, a na szyi na łańcuchu nosił złoty medal z cesarskim wizerunkiem. Krótki mieczyk na łańcuszku wisiał mu od pasa. W progu, zobaczywszy wojewodzica, troszkę głową poruszył, a namarszczyć się nie miał czasu, bo córka doń podbiegła z otwartymi rękami, i w uścisku dziecięcia, jeśli było o czem zapomnieć, zabył wiecznie.

Zwrócił się i wojewodzie ku niemu, a Hans podał mu rękę, z rozwesoloną twarzą.

Hans potarł czoło.

— Teraz, gdy praca skończona, dajcie chleb w nagrodę. Siostró Gertrudo, każ przynieść misę i... do stołu!

Drzwi boczne zostały zamknięte, skierował się ku nim Hennichen, otworzył je sam pierwszy wchodząc. Za nim szła Fryda oczyma ciągnąc wojewodzica, a na ostatku wahająca się, ze złożonemi ciągle rękami, ciocia Gertruda. Ciocia Lena znikła drugimi drzwiami.

Izba była wcale odmienna, długa, z sufitem drewnianym, pokrytym rzeźbą w kwadraty. Na jednej z jej ścian rozpięty kobierzec, tkanina flamandzka, przedstawiał jakby piękny obraz sąd Arachny. W kącie ogromna szafa,

cała łyskała półmiskami, misami, roztruhanami i kredensem książęcym.

W pośrodku stół niski, długi, na nogach krzyżowych, okryty bielizną jak śnieg białą, zastawiony był już talerzami i kufłami. Świecznik o dwu ramionach srebrny, przedstawiający drzewo oplecione winną latoroślą, palił się woskowemi świecami.

Gospodarz zajął miejsce w końcu stołu, po jednej stronie córce, po drugiej wojewodzicowi wskazawszy miejsca; dwa pozostałe miały zająć ciocia Lena i Gertruda.

— Wiecie, hrabio — ozwał się gospodarz wesoło poczynając rozmowę, — żem ja mało w którym nie bywał kraju. Byłem młodym naówczas i ciekaw poznać ludzi i państwa różne. Wiedziałem, że się nie wszędzie nauczę co dla mej sztuki, bo ta, oprócz Włoch i Niemiec, mało gdzie równie kwitnie, ale rzemieślnikowi nie wadzi im więcej widzi i pamięta. Więc się przejeździło od Rzymu, od Grenady, aż po Wisłę i po Karpaty i było się na Węgrzech i zachwyciło tureckich krajów. I nauczyłem się naówczas poznawać ludzi jakiej są narodowości. Mówię wam o tem, byście mogli być pewni, iż się omylić nie powinienem. Widzieliście tu dziś z Polski kogo? Jam widział...

Wojewodzie się zdziwił.

— Widziałbym i ja — rzekł — miasto nie zbyt rozległe... a gdyby kto był, w rynkuby przecie stanął.

— Ulicą ciągnęli do dnia, trzech ich było — mówił Hans — jeden jechał na dzielnym koniu. Po rzędzie go poznać było łatwo, i po krzywej szabli u boku i po szerokich strzemiach coście je od Turka wzięli. Wprawdzie twarz miał osłonioną, ale mu z obu stron polskie wąsy wisiały; a dwóch pacholków za nim i troki u siodeł i koszule ich żelazne i uzbrojenie, wszystko świadczyło, że Polacy.

— Dziś rano? — ruszając ramionami powtórzył wojewodzie — dziś rano? chyba by nie stając miasto przejechali; ale któryż cudzoziemiec nie zatrzyma się w Wittenberdze i nie stanie choć popatrzeć na te drzwi kościelne, na których Luter przybił tezy swoje?

— Wielu z nich od tych drzwi ucieka — mruknął kupiec cicho z westchnieniem, ale zamilkł jakby więcej mówić nie chciał. — Szło mi o to — dokończył głos podnosząc — czyście kogo z Polski nie mieli!

— Nikogo! — odparł wojewodzie. — Ani się przer cały dzień nic podobnego nie pokazało w ulicach, boćbym lub ja spotkał, lub mi kto powiedział o tem.

Służąca która misę z polewką przyniosła, stała właśnie przy gospodarzu.

— A wasz sługa? pytaliście go? rzekł Hans.

— Małom z nim dziś mówił.

— Kaźcież go przywołać — odezwał się Hennichen — może on coś wie o tem.

I spojrzął na sługę, która głową dała znać, iż wie co ma uczynić.

Po chwili wszedł Józia.

Spytał go po polsku wojewodzie, czyby kogo z Polski nie widział; i zdziwił się on, a bardziej wszyscy, gdy chłopak zbladł, przestraszony jękać się zaczął i wypierać, że nie widział nikogo.

Pomieszanie na jego twarzy tak było widocznem, iż Janusz postrzegłszy je odprawił go przez litość, a zapewnił gospodarza, że chłopiec nie spotkał nikogo. Umilkli więc, choć i wojewodzie pozostał zamyślony i Hans nie bardzo wierzył jakoś w chłopca zeznanie.

Piękna Fryda, której wzroku nic nie uszło, dziwnie też patrzyła na Józka i spuściła potem oczy zamilkłszy.

— Moźnaby powiedzieć — szepnął Hans po odejściu chłopaka — iż sumienie ma nieczyste, tak był zmieszany pytaniem.

Janusz począł go tłumaczyć.

— Bojaźliwy jest, — rzekł, a mięsza go lada niespodziane słowo.

— Cóżby tu zresztą taka kawalkata polska robiła w Wittenberdze, gdyby się w niej zatrzymywać nie potrzebowała?

— Niemniej ją oczy moje widziały—ozwał się Hennichen — za to wam ręczyć mogę.

— Ani wąpię — dokończył wojewodzie — tylko się dziwuję, bo po gospodach o niej słyhać nie było.

— Że godzina ranna była bardzo niezwykajna, któż wie dokąd pociągnęli? — dodał Hans.

— Gdyby tylko przez Wittenbergę kto miał jechać, pochlebiam sobie, iżby zlecenie do mnie dostał i przyszedł z pozdrowieniem—mówił wojewodzie zamysłony. — Lecz mogli to być kupcy lub wędrowcy z jakiego sąsiedniego kraju.

— Bóg z nimi — przerwał gospodarz — nie mamy się co frasować, niech jadą zdrowi; mówiłem o tem, aby się moją znajomością stroju pochwalić.

Fryda spoglądała to na ojca, to na wojewodzica, którego przypomnienie kraju widocznie chmurnym uczyniło.

Tak przeszła wprędce wieczera i gdy od stołu kobiety wstały, a Hans trochę przy kufu pozostał, zatrzymał się wojewodzie także, choć go oczy Frydy wabiły. Dopiero po chwili, widząc milczącym Hansa i zabierającą się ku niemu na zwykłą wieczorną pogadankę ciotkę Gertrudę, podniósł się Janusz i zwolna ku drzwiom posunął. Stały one otworem do drugiej

komnaty, po której dziewczę niespokojnymi chodziło krokami.

Cioci Leny nie było dawno. Znaleźli się więc tak jak sami, na co ani ojciec, ani druga z ciotek nie zdawali się zwracać uwagi. Może też sądzili, iż Lena była z nimi. Oglądając się bojaźliwie do koła, Janusz pospieszył ku dziewczęciu, które stanęło patrząc nań długo jasnemi oczyma niebieskiemi.

— Nieprawdaż — szepnęło — ja to czuję, wy pewnie o wyjeździe myślicie? Wam dawno tęskno do kraju powracać?

Zmieształ się nieć wojewodzie.

— Gdybym i rozkaz ojca musiał spełnić — odezwał się — nie pozostanę tam długo. Pociągnie mnie Wittenberga ku sobie nazad... i skrzydeł pożyczwszy powrócę tu.

Dziewczę główką potrząsało.

— O, wątpię, — rzekło — o! boję się... tam was tyle węzłów trzyma... tu — nic...

Janusz spojrział na nią.

— Tak sądzicie? — spytał.

Zarumieniła się znowu lilijka i spuściła oczy.

— Matka! ojciec! dom, rodzina! ziemia, powietrze, mowa!! a wszystko to drogie.

— Czytaliście biblię? — zapytał wojewodzie.

— Codzień ją czytuję — rzekła Fryda.

— W niejbyście powinni znaleźć odpowiedź.

— A w waszych ustach jej niema?

— Bo dziś, ja nie mam prawa jeszcze dać tej odpowiedzi — odezwał się wojewodzie — jam nie swój.

— I na odpowiedź czekać każecie, póki ciocia Gertruda drugiego nie znajdzie męża? — uśmiechając się smutnie odezwała się Fryda.

Nic nie odpowiadając na to, Janusz obejrzał się szybko, w izbie nie było nikogo, z drugiej dochodziły głosy cichej rozmowy cioci Gertrudy, bawiącej Hennichena plotkami miejskimi. Janusz zbliżył się i wyciągnął rękę żebząc...

Na tę dłoń męską zwolna padła biała, maleńka, drżąca ręka dziewczęcia i przylgnęła do niej, przyrosła. Janusz zwolna pochylił się ku niej, przyłożył usta i pieczęć gorącą położył. Uczuwszy ją Fryda wyrwała mu dłoń i pospieszyła twarz osłaniając ku oknu. Nie mówili nic...

Na kominie dogasał ogień, po którym karmazynowy żar tylko już został, ciemno płonęły świece w lichtarzach, u okien był mrok szary. Stanęli sparci o nie, twarzą do komnaty, blisko siebie, z trwogą spoglądając ku drzwiom... bo rączka Frydy znowu ukradkiem spoczęła na dłoni wojewodzica.

— Nie lękaj się — mówił półgłosem coraz się ożywiając Janusz — ja mam serce co

nie zapomina... a pięknej Frydy któżby mógł zapomnieć? Ja tobym więcej daleko lękać się miał prawo, jeżeli zabawię dłużej...

— Kobieta pamięta — cicho rzekło dziewczę — bo ona ma jedno w myśli. A jakże się nie trwożyć? Sądzicież, że ja nie znam co nas dzieli, że nie wiem, jak daleko z Polski do Niemiec i od syna wojewody do córki złotnika...? Słuchałam, uczyłam się, dowiadywałam o was. Tam inny świat, obyczaj, ludzie. Tutaj zaciera się wam rysów wiele. tu zapomnacie niepodobieństwa, lecz gdy powrócicie tam!

Spuściła głowę na piersi.

— Lecz po co wracać tam macie?? A! nie! nie — poprawiła się sama — ja kocham ojca... i wy, wy także ojca i matkę macie... nie chcę was czynić nieposłusznym, ni ściągać na głowę waszą przekleństwa. Wróćcie tam... ale ztamtąd wracajcie do mnie... ja czekać was będę... cierpliwie!

— A ja niecierpliwie wyrwę się, by tu przybyć..

Mówił i znać wspomnienie domu padło mu kamieniem na piersi, a kłamać nie chciał i zaręczyć nie mógł za przyszłość.

Sam on czuł, iż to o czem marzyli, było prawie niepodobieństwem...

Duma pańskiego domu choćby uszlachconego bogacza odepchnąć musiała ze wzgardą.

Tu nienawiść rodowa do Niemca zwiększała jeszcze trudność, tu różnica wiary stawała się nieprzełamaną zaporą.

Hans Hennichen i jego córka należeli do nowego protestanckiego kościoła.

Sam on powracał do domu upojony szalem nauki nowej, której widział tylko blaski, nie chcąc i nie mogąc widzieć cieniów.

Jeszcze raz niósł do ust białą rękę Frydy, gdy zbliżające się głosy zwiastowały powrót ojca i cioci Gertrudy. Dziewczę szybko ustąpiło ku środkowi komnaty. Janusz założywszy ręce na piersi u okna pozostał.

Wtoczył się Hennichen szukając córki oczyma, która ze stołu robotę wzięwszy pilno się jej przypatrywała.

Oczy cioci Gertrudy pobiegły ciekawie także ku parze, którą zostawili tam samą, i więcej się pewnie domyśliły z oddalenia dziewczęcia, z zajęcia robotą, niż stary Hans, który rzekł śmiejąc się do nich:

— Zmieniły się bardzo czasy!... Za mojej młodości dwoje ludzi, którym razem czterdziestu lat niema, słyhaćby było z daleka, po śmiechu i śpiewie; dziś!!! stoją milczący i smutni... Fryda nie wzięła cytry, hrabia nie zabawił kapryśnego dziecka nawet trafną zagadką.

Ciocia Gertruda z tyłu stojąc, głową

poruszała w różne strony, jakby potakiwała gospodarzowi lub inaczej chciała to tłumaczyć — lub wreszcie nie myślała nic. Z twarzy jej trudno coś było odgadnąć.

— Ja — rzekł wojewodzie kłamiąc — prosiłem o piosenkę, ale mi jej odmówiono.

— Dlaczego? — ojciec spytał — ja stary byłbym się pożywił przy tem, coby młody wyprosił.

— Hrabia dziś piosnki cichej nie zrozumie, odezwała się Fryda, nasłuchał się tam studenckich pieśni, jeszcze mu w uszach tętnić muszą.

— A ty skąd wiesz o tem?

— Słysyśmy na przechadzkę mimo studenckiej gospody. Trzęsa się od pieśni młodych rycerzy, — odpowiedziała Fryda. Miałabym po niej śmieć zaśpiewać moją prostą:

*Komm, Trost der Nacht, o Nachtigall**)
a! nigdy... Dziś żadnej pieśni... nawet godzina późna... Stróże obwołują gaszenie ognia... Ojciec zmęczony... jam nie do śpiewu i lutni... O! nie... nie..

Hans spojrział na zegar stojący u ściany, który wskazywał godziny wszystkie (dwadzieścia cztery, i miesiące i dni, i księżycy; było to misterne dzieło francuskiego mechanika.

*) Dawna piosnka ludowa niemiecka:
„Chodź, nocy pociecho, słowiku“.

na które patrzeć schodzili się ciekawi. Zegar prawie piątą już znaczył (jedenastą). Fryda była w istocie zmęczoną i blada.

— A! nie! nie! nie żądajcież śpiewu od niej! odezwała się ciotka Gertruda — zmęczona jest. Wieczera była spóźnioną, przechadzka długą i są dni, w które człowiek prędzejby zapłakał niż zaśpiewał — choć sam nie wie czemu...

Fryda jakby z wyrzutem spojrzała na ciotkę Gertrudę — któż wie, może właśnie śpiewaćby była chciała i dać się tylko poprosić.

W tem troskliwy ojciec odezwał się śpiesznie:

— Pani Gertruda ma słusność wszelką, Fryda potrzebuje spoczynku.

Wojewodzie ruszył się od okna, szukając rzuconego na krzesło kołpaczka i szybko wejściem pożegnawszy kobiety, a ściśnięciem ręki Hansa, wymknął się z tej „*Puppenstube*“, w której pieszczone dziecię, otoczone cackami, po cichem z ojcem rozstaniu padło na siedzenie dumać długo, choć ciocia Gertruda gwałtem je do sypialni prowadzić chciała.

III.

Dwie izby na górze zajmował wojewodzie, z widokiem na daleką okolicę, na lasy, co ją opasywały, na mury miasta i na ogrody, co się z nich dobywały. Choć w nich dosyć dawno

zamieszkiwał, czuć było, że tu jeszcze stał tylko gospoda. W pierwszej stały tłumoczki studenckie i łóžeczko Józka i jego stolik z książkami i prosty sprzęt gospodarski, z kilku dzbanków i glinianych mis złożony. Tu więcej było nieco ładu, bo chłopak czuł się zań odpowiedzialnym i troskliwie go pilnował. Druga izba od ulicy znacznie obszerniejsza, należąca do wojewodzica, stała studenckim nieładem. W kącie skórą łosią pokryte łóžeczko ze skórzaną poduszką, a przy niem puzderko mosiądzem kute, w którym droższe rzeczy i papiery chowano. Nad niem starym obyczajem, na którego zachowanie matce poprzysiął wojewodzie, wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego i Matki Boskiej Częstochowskiej, palma i gromnica.

W pośrodku izby ogromny stół był chaosem ksiąg, których stos narzucony nieforemną górę stanowił. Widać było między nimi i folianty w drewnianych okładzinach i maleńkie książeczyny, jakie wówczas drukować poczynano, i świstki i luźne karty, których wychodziło mnóstwo. Zapisany papier, zryzki z notatkami, podarte listki wały się po brzegach stołu — a z między nich talerz pełen dojrzałych owoców jesieni wyglądał dziwnie ze swą barwą świeżą i wesołą. Na siedzeniach i ławach nie miał znać czasu Józik pozbierać rozrzuconego

odzienia, które wojewodzie próbował i pogardził niem. Pasy, żupaniki, kurtki, kontusze i płaszcze, a obok nich parę szabel i czapek czekały, by je usłużna ręka sprzątnęła. Na innym stole para kubków i duży dzban malowany z pokrywą, lichtarze mosiężne, zapomniane też odpoczywały. Józiak dopiero się zabierał do zaprowadzenia porządku i krzątał, aby powrót pana uprzedzić, gdy wojewodzie ukazał się w progu.

Zwykle zwiastowało się jego przejście śpiewką wesołą; dziś szedł smutny, zamyślony i milczący. Dopiero gdy drzwi otworzył, chłopak go poznał i tem spieszniej wziął się do składania porzrzuconych rzeczy. Stosunek pana do sługi był więcej przyjacielski niż służebny. Józiak był sierotą, ale szlachcicem, towarzyszem dawnym od szkół wojewodzica, ukochanym jego pół-bratem, ale to mu nie przeszkadzało spełniać ochnoczo wszystkiego co tylko umiał i podolał. Dawniej Janusz i on nie mieli przed sobą tajemnic i jedną żyli myślą a duchem. Od niejakiego czasu wiele się zmieniło, nie rozumieli się już jak dawniej; Józiak milczał, wojewodzie żal miał o to do niego, ale wiedząc, że go nie nawróci, szanował jego przekonania. Chłopakowi w ogóle nie podobało się nic w tych krajach, którymi pan jego był zachwycony. Zrazu się o to

spierali. Józiak w końcu zmilczał; tęsknicę swą nosił, nie spowiadając się z niej Januszowi, który tylko z twarzy mu ją mógł wyczytać. Zaledwie na próg stąpił, wojewodzie zawołał żywo:

— Józiak! sam tu! proszę.

Porzuciwszy suknię, którą trzymał w rękę, chłopak pośpieszył i stanął nieco pomieszany, Janusz popatrzał nań.

— Słuchaj no, mów mi prawdę, dlaczegóż się tak widocznie stropił, gdym cię o owych Polaków pytał, co się staremu przyśnili?

Józiak, na którego pilno i teraz patrzył wojewodzie, tym razem mocniej jeszcze zarumieniał się i zmieszał. Ręce zaczął kręcić, zabelkotał coś, oczy spuścił, trudno mu kłamać było.

— Albow to ja... się zmieszał, proszę pana? odparł po chwili wahania.

— Przecież i teraz znowu widać, żeś nie swój. Na Boga! — począł wojewodzie — czyż już do tego przyszło, że ty przedemną mieć będziesz tajemnice i zmusisz do odgadywania?

— Jać przecie nic o żadnych przejezdnych nie wiem — tłumaczył się chłopak nieśmiało. Wojewodzie brew namarszczył.

— Jakesz mi druh! mów, jakesz mi druh i wierny sługa a towarzysz! Słowo?—zapytał.

— Słowo, że o tych przejezdnych, o któ-

rych majster Hans powiadał, nic nie wiem...
nic a nic.

— A cóż ci jest, żeś nie swój?

Chłopak popatrzał mu w oczy.

— A! panie — rzekł — czyż to od dzisiaj jam nie swój? a jak mam swój być, gdym nie między swymi? Czyż tu wśród tej niemczyzny choć godzinę człowiek może mieć szczęśliwą? Ja się tu przecie duszę i zamęczam.

— Boś jeszcze dzieckiem — odparł wojewodzie postępując powoli w głąb izby. — Czegoż ci tu brak? Przecież pilno się staram, byś wszystko miał, czego ci tylko potrzeba. Żywność, napój, suknię, czas swobodny, książki, naukę masz przecie zawsze.

— Ale jakbym nic nie miał — odparł ośmielając się Józiak — głodny jestem domu, spragniony kraju, czuję się tu jakby w niewoli u obcych. I jednemu się ino dziwię, iż wy, miły panie, tego nie czujecie co ja. Wam tu dobrze, wy nie tęsknicie!

— Kto wam to powiedział! — cicho szepnął Janusz — i ja mam chwile tęsknicy, lecz rozum każe tam stać, gdzie go nabyć mogę.

— Aby nie co gorszego, proszę pana — rzekł Józiak. — Widziałem ja Niemców, co proste sadło za bobrowe stroje sprzedawali, czemużby zwodzicielstwa za naukę nie mieli dawać?

— A no! a no! już ci ty swoje poczał! — rozśmiał się wojewodzie. — Mów, mów, kiedy ci z tem lepiej; nie będę się z tobą spierał, a swoje przy sobie zostawię.

— Wiem ci ja, że moje słowa na nic się nie przydały, — dokończył Józia, — ale się rwa same z piersi, że je powstrzymać trudno. Wszak milczę dnie całe, ale wyzwany, fałszu nie rzeknę.

— Jakże ty tego nie czujesz i nie widzisz, że rozumniejsi tu są od nas? — spytał wojewodzie.

— Uczeńsi to prawda, czy rozumniejsi, nie wiem — rzekł Józia. — Może oni zresztą mają taki rozum, jaki dla nich jest potrzebny; u nas, panie miły, inny rósł i innym ludzi żywią.

— Albo są dwa rozумы? — przerwał wojewodzie śmiejąc się.

— To tylko pewno że niemiecki inszy od naszego, bo to naród też od nas tak różny jak niebo od ziemi.

Wojewodzie westchnął.

— Przesady są — rzekł — wszędzie zli i dobrzy być muszą. Możeż być człowiek rozumniejszy a lepszy od Hennichena a śliczniejszy anioł od jego córki?

Józia zmilkł i głowę spuścił.

— A co wam po tem — spytał zmilczawszy

dobrą chwilę. — Wyjedziemy stąd, żyć z nimi nie będziemy, serca tu nie zostawimy przecie, boby grzech było.

Na te słowa wojewodzie popatrzał towarzysowi w oczy i zerwał się z siedzenia.

— Józiak! ty nie wiesz, nie wiesz, jak ją kocham.

— A cóż z tego — mruknął chłopak — możecież nawet pomyśleć, abyście z niej uczynili synowę pana wojewody? Alboż się tam z tem odezwać nawet można, aby córka złotnika mogła wejść do takiego domu?? Wspomnij pan miły matkę, przypomnij ojca, wszystko, dziady i pradziady swe i imię a obyczaj nasz domowy... Alboż to może być? albożście mogli zamarzyć o tem? A jeśli nie, po cóż szaleć daremnie i ludzi tych ludzi, choćby i Niemców? -- dodał Józiak.

Janusz ręce spuścił, drgnął. — Cicho! — zawołał — cicho! ty nic nie czujesz! tyś szczęśliwy, bo nie znasz i nie wiesz co kochanie niewiasty...

— Bogdajbym go nigdy nie znał, jeślibym dlań miał o swoich zapomnieć — odezwał się Józiak.

— O swoich? — podchwycił zaczynając się przechodzić wojewodzie. — O swoich! — ba o sobie samym... Nierozum jest, choroba, ale przemożna, ale przesiłna, ale niezwycię-

żona jako śmierć; więc bolećbyś nademną powinien, a nie serce mi kaleczyć trwogą! Kiedyś kochałeś mnie jak brata... i byłeś dla mnie innym!!

Na ten wyrzut bolesny Józkowi lzy potoczyły się z oczów i jak stał, tak z żalu i uczucia klął przed nim.

— Panie mój! czyżby mnie to nieszczęście spotkać miało, żebyś o mojem sercu zwątpił? Drogi panie! a możeż to być? a godziź się to, gdy dla was jam i życie, oto tej godziny, dać gotów!

Janusz zarzucił mu żywo ręce obie na szyję i pocałował w czoło.

— Józku, nie bierz tak słów moich, goryczą mi zapływa serce, nie winienem...

I padł na łóżko zakrywając oczy, bo się wstydził, że i z pod jego męskich powiek lza pociekła. Ale wprędce porwał się i chodząc zaczął.

— Ja sam siebie nie poznaję, rzekł, do czego przyszedłem. Mógłbym się kiedy spodziewać, aby mnie myśl ta, że powrócić muszę do domu, do rodziców, przejmowała trwogą i dreszczem? żebym obcych żałował i tęsknił za nimi więcej niż za swymi? aby mnie tam nie ciągnęło nic, a tu trzymało wszystko?

Załamał ręce.

— Nie strasznaż to rzecz, mówił, że po-

wolywany wracać się wzdragam, że nie lece tam gdzie powinien, a tubym żył i wiekował i o wszystkim — dla niej, zapomniał!

— A! panie miły, panie drogi, — przerwał Józia, — tem ci pilniej od tych czarów uciekać potrzeba, bo ci chyba napój jaki zadali; alboż nie mogli rozumu odjąć jaką sztuką szatańską? O Hennichenie mówią, że złoto robić umie, więc zna może i te kunszta szatańskie, co człowieka niewolnikiem czynią.

Uśmiechnął się smutnie wojewodzie.

— Na cóż tu napój inny — rzekł — nad ten, co z jej oczów płynie? na co czary nad te, jakimi jest jej głos? na co więzy inne, gdy patrząc na nią przykutym się człowiek czuje?

— O mój Boże! — westchnął Józia — a cóż pocniemy... a co z wami będzie? jeśli już tak wami owładła.

— Ona moją być musi — rzekł ponuro Janusz — ani ojciec, ani nikt mnie nie powstrzyma, porzucę wszystko, wyrzeknę się domu.

— Nie mów, panie miły, nie kończ — podbiegając zawołał chłopak — nie godzi się, bo to bluźnierstwo. Ani możecie uczynić, co zapowiadacie. Wspomnijcie wojewodę...

Janusz zamilkł, ręką powiódł po czole, oczyma po izbie ciemnej, jakby się przebudził.

— Dość już tego — odezwał się, — w bożych rękę ludzkie losy i serce człowieka,

Kończył te wyrazy, gdy do pierwszych drzwi gwałtownie pukać zaczęto. Znać pierwszych uderzeń nie słyszeli, zajęci rozmową, więc Józiak rzucił się ku wejściu i zawołał, że wejść wolno; a wtem otwarły się drzwi i ów towarzysz ryży z małą główką, który odprowadzał wojewodzica pod dom, ukazał się w progu, prowadząc za sobą człowieka, który na kursora wyglądał.

Jakoż nim był w istocie.

— Cóż was sprowadza o tej porze? — zapytał podchodząc niespokojnie wojewodzic, widząc że kursor z za sukni zawiniętego coś w płachtę dobywa.

— Przywiódłem wam onego kursora, który nie wiedział kędy szukać waszego mieszkania a ma do was pilne pisma. Dziś rano spotkali go na drodze do Halli jacyś podróżni, a jechał właśnie z listy książęcymi od Kurfirsta do naszych panów. Byli to znać z waszej ziemi podróżni, bo rozpytawszy w gospodzie, co zaczął być i dokąd jechał, a obaczywszy pasy pod pieczęciami i świadectwa że człek był stateczny, zapłacili mu, aby wam papiery te oddał, których sami tu przynieść nie mogli.

Kursor w czasie tego opowiadania głową mu potakiwał i rozwinąwszy płachtę dobył z niej plik związany sznurkiem jedwabnym i przypieczętowany czerwonym woskiem.

Wojewodzie pobladł zobaczywszy go, drżącą wyciągnął rękę i przy podanem świetle przeczytał nazwisko swoje, poznając rękę ojcowską.

Kursor na zapłatę czekał, choć ją był pewnie wziął zawczasu, ale mu się datek należał. Sięgnął więc do mieszka wojewodzie, słowa się nie mogąc odezwać i w drugim ręku ciągle papier ściskając.

Towarzysz uśmiechnął się widząc go tak poruszonym i do Józka się zwrócił.

— Kursor dostał na piwo — a no mnie też w gardle sucho, bom się pod Złotym Gołębiem wyśpiewał. Jeśli macie się co dać napić, nie pogardzę.

Skoczył chłopak do drugiej izby, w której dzban stał i kubek wzięwszy wina mu nalał, które ze smakiem ryży wychylił.

— Bóg zapłać — rzekł — już was też nie będę nudzić, bo listy z domu sprawa wielka a świadków do niej nie trzeba. Niechże wam one dobre wieści przyniosą.

Wojewodzie prawie tych słów nie dosłyszał, gdyż drżąc jeszcze na papier patrzył, którego pieczęci złamać się wahał. Aż gdy i kursor i student precz wyszli, wolnym krokiem skierował się ku pierwszej izbie, kędy za nim Józkiak niósł światło.

Oba milczeli strwożeni. Chłopcu łatwo odgadnąć było co pisma zawierały, a Janusz też

po kilku wezwaniach do powrotu czego innego nie mógł się spodziewać tylko nowego przynaglenia, surowszego nad te, co je poprzedziły.

W tym liście, który trzymał ciągle w rękach, lękając się go otworzyć, był wyrok nań rodzicielską zapisany ręką, wyrok niecofnięty. Z tym listem kończyły się dni młodzieńczego wesela i marzeń, a rozpoczynało twarde obowiązku życie.

Józiak jakby oczekiwał na złamanie pieczęci, stał trzymając światło w rękę. Nic nie mogło pomódz wahanie. Janusz z wolna skruszył wosk i rozwiązał sznurek. List był jeden na dużej karcie cały ręką wojewody pisany, w słowach krótkich i surowych.

Mówił w nim ojciec, że chyba niedojścia listów pierwszych domyśleć się musi, nie widząc ich skutku. „Zaraz po odebraniu pisania naszego — dodawał zwięźle — masz waszmość, nie mieszkając, rzuciwszy wszystko, udać się w drogę; od czego śmiertelna tylko a obłożna choroba uwolnić go może. Nakazujemy powrót pod błogosławieństwem rodzicielskiem, pod posłuszeństwem synowskiem bez żadnej odwłoki, ani listem na pismo nasze odpowiadać wam wolno, jedno osobiście się stawić.“

Zazwyczaj rodzice donosili o swem zdrowiu, dokładała kilka słów własnoręcznie matka.

Tu nie było nic nad kilka zimnych wierszy, a ojciec podpisując je, powtórzył jeszcze, iż posłuszeństwa wymaga i na nie rachuje.

Na odwrotnej karcie stała dyspozycya znać później dodana.

„Po odebraniu pisania naszego we dwadzieścia cztery godziny masz waszmość być w drodze — nigdzie po miastach i gospodach nie spoczywać: *sub benedictione et obedientia.*“

Znał dobrze rękę ojca wojewodzie, charakter jego wyraźny, jakby z żelaznych prętów wykuty. Takim pisany był list sam, a w kodycyłu ręka widocznie drżała i posuwały się litery, jakby pana swego słuchać nie chciała. Byłoli to gniewu skutkiem, choroby czy niecierpliwości? — zamyślił się Janusz. Wszystko troje złem prawie równem dlań było.

Józiak stał, czytać nie śmiejąc ze spuszczonej oczyma, aż gdy Janusz kartę na stole położywszy, ręce załamał i głowę na nią spuścił, odszedł zwolna dalej, stojąc na straży i czekając rozkazów.

Upłynęła tak długa chwila. Wstał naostatkiem wojewodzie.

— Nieszczęsny proroku — odezwał się do chłopca — wyróżzyłeś mi straszną godzinę. Znam ojca mojego, gniewny jest. Nic listy nie pomogły, ani godziny dłużej zwlec mi nie wolno. Rozkazanie ojcowskie jest, bym jutro

puścił się w drogę. Ostatni dzień, wieczór ostatni — a potem ino Bóg jeden wie co...

Wcale przeciwnego uczucia zdawał się Józia doznawać; oczy mu się zaświeciły, niemal uśmiechnęły usta, drgnął jakby już lecieć chciał do konia.

— Więcby począc zaraz! — zawołał — bo ja do jutra nie podolam, roboty wiele, czasu mało.

Wojewodzie na łóżko się rzucił jak stał i oczy wlepiwszy w strop, pozostał niemym.

Noc była nadeszła, a grzechotki stróżów odzywały się w ulicach, głucha cisza panowała zresztą w mieście. Na niebie czarnem tysiące gwiazd mżyło, a z drugiej strony przez okno widać było ogromny księżyc zarumieniony wysuwający się z za lasów. Pod tem samem oknem drzewa ogródka gałęzmi gęsto splecionemi pięły się aż do kamiennych gzymsów jego i szemrały ledwie dosłyszczanym głosem, poruszane powiewem z daleka płynącym.

Wojewodzie wstał jak nieprzytomny, duszno mu było. poszedł ujrzawszy księżyc, to okno na ogród otworzyć. Chłodem jesiennym powiało z niego i płomyki świec stojących opodal poruszać się zaczęły. Janusz sparł się na krawędzi.

Tuż pod tem oknem jego, wiedział czyje otwierało się w ogródek.

W dole na pniu drzewa i na liściach drżących błyskał promyk światelka, które płynęło z sypialni Frydy. Tam także czuwał ktoś jeszcze... ale szyby zamknięte były — i żaden głos nie dochodził go stąd jak innych wieczorów. Tylko liście późółkle z cicha osuwając się, wiatrem pędzone szeleściły, objijając się o szyby, i ku ziemi wirując leciały.

A światło nie gasło. Dlaczego nie spała Fryda? Czy się modliła? czy o nim myślała? czy rozstanie odgadła? Wojewodzie zadumał się długo. To światelko drżące było dla niego nią samą, bo jej ono przyświecało. Cekał znużony by zagasło, nie chcąc odejść, by jego promyka nie stracić. Jutro już... świecić miało pustce i nikt się doń nie mógł tak modlić — jutro, straszne jutro... przerażało go... Poza nim Józiak już się tam krzątał, cicho znosząc co mógł pochwycić. Ta niecierpliwosć chłopca męczyła go, ale rzecz nic nie śmiał.

Wśród tych dum zadrżał — w dole brzeknęły w olów opravne szyby, połowa okna otwarła się zwolna, dojrzał białą rączkę małą, która się wysunęła, zatrzymała i znikła. W chwilę potem ukazały się złote włosy rozplynione po ramionach w nieładzie — podniosła się główka do góry. Fryda patrzyła w ciemne drzew gałęzie, ku niemu. Może go przeczuła. Serce uderzyło wojewodzie... i pochylił się

w dół jakby spodziewał się choć oddech jej pochwycić.

Piękne dziewczę osłonięte ciemną chustą, na której sploty warkoczy wiły się kapryśnie, sparło się na kamiennej okna oprawie i uśmiechnęło ku górze. Janusz widział jej usteczka różowe smutnie otwarte tym półśmiechem marzenia. Nie mogli jednak przemówić do siebie słowa. Tylko złamawszy z liśćmi zielonymi jeszcze gałązkę, rzucił ją z góry Janusz i widział, jak się na szybach strzymała, drżała, toczyła, jak ją biała chwyciła ręka i ku górze podniosła.

W tem ozwał się gdzieś z głębi głos ciotki Gertrudy, słodczy pełen i przestachu, i widzenie znikło, a wnet i szyby okna, suchą i żółtą ręką wdowy porwane, zatrzęsły się na wieki. I światło z wnętrza płynące, przytłumione spuszczoną zasłoną, zagasło...

IV.

Przez cały dzień następny nie zamykały się drzwi w izbie wojewodzica. Od rana wiedzieli towarzysze, iż jechać musi, i szli go pytać, żegnać, biadać i boleć z nim razem. Nieodstępny prawie ryży ów przyjaciel siedział posepnie, patrząc na zwijające się juki i sakwy podróżne. Józiak nie spał noc całą. Leżały

suknie, księgi, przybory poskładane i sznurami ściągnięte. Wojewodzie nie spełna wiedział co się z nim działo. W całym też domu czuć było, iż ktoś go taki opuszczał, po którym miała zostać nieprzemierzona tęsknota. Dzień ten smutny wszedł najpiękniejszym dniem jesieni, z ciepłym słońcem, niebem czystym i pogodą wiosenną. Jedwabne nici pajęczyn snuły się po odżyłych kwiatach, gdzieniegdzie dźwigając jak perłę rosy kropelkę. W ogrodzie szczebiotały ptaszki, a w ulicach wił się tłum korzystający z ostatnich dni pogody.

Ledwie ku południowi mógł się wojewodzie uwolnić od natręta, który mu ciążył. Służąca puknęła dając znać, że czekano z obiadem. Janusz ze wschodów zbiegł szybko i znalazł się w pokoiku Frydy, w progu, oko w oko z dziewczką.

Stała tak czekając nań, cała w czerni ubrana, blada, smętna, trzymając w ręku zwiedłą wczorajszą gałązkę. Nie mieli jednak czasu przemówić słowa, i ledwie pozdrowił ją przybyły, gdy weszła z przeciągniętą swą smutną twarzą ciocia Gertruda, ciekawie wpatrując się w młodzieńca.

— Prawdaż to? — zapytała — że tak pośpiesznie jechać musicie? Czy złe jakie wieści z domu? Czyż ani dnia strzymać się wam nie wolno?

— Nocą pojedę, muszę, — rzekł cicho wojewodzie — rozkaz ojca.

Fryda była tego dnia jak marmur blada; posłyszawszy te słowa odwróciła się nagle ku oknu i odeszła. Janusz postąpił kroków parę. Z wesołą jak nigdy twarzą, z drugiej izby na spotkanie wysunął się Hennichen, z którym już widzieli się zrana.

Stary złotnik ubrany był jak wczora, tylko na twarzy jakby przymuszoną, z umysłu odegraną okazywał wesołość.

— Święci się wam do podróży pora — odezwał się — będziecie mieli słońce i ciepło, a tych ku północy jadąc potrzeba. Pojedziecie do swoich, to się tam łatwo obcy zapomną.

— O nie, szanowny panie — odparł z żywością Janusz — gościnnego domu, pod którego dachem tyle się chwil spokojnych i szczęśliwych przebyło, nie zapomina się nigdy. A mam też tę nadzieję, że ojca przykazanie spełniwszy powrócę.

Hennichen bystro nań popatrzał.

— Nie radbym abyście o waszych niemieckich przyjaciółach zapomnieli, — rzekł wesoło — i dlatego postanowiłem wam choćby niepotrzebny ciężar narzucić na drogę, byście o nas pamiętali, gdy nań spojrzycie; musicie to uczynić dla mnie, a przyjąć dobrem ser-

cem. Wracając do nas kiedyś, daj Boże rychło, w zamian mi sztukę bursztynu przywiezicie, który kraj wasz rodzi a morze wyrzucą. Ja wam oto własnej pracy lichą daję pamiątkę.

To mówiąc ze stołu wziął przygotowany kubek srebrny pozłocisty. Naczyńko było niemieckie, ale cacko choćby na stół królewski. Z wielką sztuką trybowane płaskorzeźby wskroś je pokrywały, mieniając się w barwy srebra i złota. Oprócz tego wypukłym wieńcem bluszczu opasywał je u góry i dołu misternie splot rzeźbiony, a na pokrywie siedziała mała figurka aniołka. W pośród wieńca i w obwódkach świeciły drobne kamyki rozsiane, rubiny, opale i perły.

Zadrżała wojewodzicowi ręką, którą po ten dar wyciągnął — nie wiedział jak dziękować. Fryda z ciekawością odwróciła się, by dar ojcowski zobaczyć, i pokraśniała na chwilę, ale wnet bladeść znowu twarz jej okryła.

— A! to cenny dar dla mnie — zawołał Janusz, — nic piękniejszego nie widziałem w życiu, lecz jakże mam go was pozbawiać?

— Wolę wam oddać niż innemu — śmiejąc się rzekł Hennichen, — my robotnicy skazani jesteśmy na to, by najulubieńsze rąk naszych twory szły od nas w świat. Pociecha jeszcze gdy myślimy, że je tam ktoś oceni i pokocha.

— Gdybym, czego nie przypuszczam, spóźnił się z powrotem, bursztyn wysłę umyślnym bodaj posłem — dodał Janusz.

— Inaczej go nie wezmę jak z rąk waszych, rzekł stary — a no, czas się i pożywać co Bóg dał — i ująwszy wojewodzica pod rękę, wprowadził go z sobą do jadalni. Tu na osobnym stole u okna leżała czapka Hennichena, a przy niej zwit pergaminowy z pieczęcią w srebrnej puszcze ogromną. Rzucił na nią okiem mimowoli Janusz.

— Czyście ciekawi? — zapytał Hans prowadząc go ku oknu. — Od kilku już dni to otrzymałem, alem się wam chwalić nie chciał. Niewielką ja do tego przywiązuję wagę, bo myślę, że bogaty mieszczanin lepszy jest od odartego szlachcica, jakich u nas po burgach pełno — lecz u ludzi to coś waży. Jego cesarska Mość zaszczycił mnie szlacheckim tytułem, alem pragnął, aby na tarczy pamięć rzemiosła została, i mam w niej trzy kubki złociste na krwawem polu, bo pot pracy wart krwi przelanej.

Rozwinął pergamin przed wojewodzicem i ledwie mu nań dając spojrzeć, rzucił go na stół z pewnym rodzajem lekceważenia. Fryda oczyma ścigała na przemiany ojca i Janusza, który stał milczący i skłoniwszy się tylko a wieszając rękę podał Hennichenowi. Siedli

tedy do stołu. Gospodarz okazywał niezwykłą wesołość, może ażeby nią pokryć smutek dziecięcia, na którego objaw ciocia Gertruda patrzyła z jakimś przestraczem, a ile razy oczy jej spotkały się z wejrzeniem Frydy, potrząsała głową dziwnie. Nowy szlachcic mowny był i uprzejmy. Wypito zdrowie wojewodzica i szczęśliwej jego podróży, a on nawzajem pana Hennichena, obiecując swój powrót. Mówiąc o nim spoglądał na Frydę, która nie śmiała spotkać się z nim oczyma. Posepna była dnia tego i milcząca. Ciocia Gertruda składała to na ból głowy i na porę jesienną, w której zawsze delikatne dziecię cierpiało.

Gospodarz rozpytywał o podróż i przybory do niej — i tak zszedł obiad prędko, a Fryda jak tylko mogła porwała się od stołu by przejść do swojego pokoju. Właśnie w tej chwili Hennichen zawiązał niezmiernie żywą, poufną rozmowę z ciocią, tak że sama przyzwyczajona nakazywała Januszowi wstać i odejść, by im nie przeszkadzać, bo pochyleni ku sobie o coś żywo się umawiali. Nie mając co począć z sobą i popatrzywszy chwilę na piękną tkaninę antwerpską, wyobrażającą sąd Arachny, wojewodzie wolnym krokiem wysunął się za Frydą.

Ta chodząc niecierpliwym krokiem po pokoju, to biorąc, to rzucając sprzączki po sto-

łach rozłożone. Gdy się Janusz ukazał, spojrziała nań i szepnęła mu tylko:

— Za godzinę pod murami!

Pobiegła potem oglądając się do okna i smutnie główką pożegnała wojewodzica, który nie śmiał dłużej pozostać.

Godzina ta spłynęła mu na przygotowaniach do podróży; nadchodzących natrętów pozbył się pod różnymi pozory, i sam jeden osłonięty płaszczem, pobiegł czekać za mury. Było to miejsce ustronne, staremi lipami ocienione, puste i choć piękne, niemiłe mieszkańcom, może dla blizkiego sąsiedztwa nowego cmentarza, który właśnie nieco opodal murem obwiedziono. Nikt tu z mieszkanców Wittenbergi nie zaglądał i wszyscy woleli inną, choć mniej ocienioną przechadzkę, gdzie więcej ludzi spotkać było można. Pod murami zwykle przechadzali się ci, co samotności pragnęli: zakochani studenci, niepocieszone wdowy, czasem staruszek jaki, który wśród lip wygrzewał się w kątku słonecznym. Wysoki mur twierdzy od miasta to miejsce osłaniał, równoległe z nim ciągnął się sznur lip starych i zapuszczona droga kamienista, którą rzadko wóz jaki się przesuwał.

Janusz chodził tu już od kwadransa zamyślony, z głową spuszczoną, gdy na przeciwległym końcu ukazała się w czerni, zakwefiona Fryda

z ciotką Leną. Wołała ona tę towarzyszkę milczącą nad zbyt troskliwą a niewygodną Trudę, przy której słowa rzec nie było można niepodsluchanego, bo krok w krok chodziła za nią, mieszając się do rozmowy. Ciocia Lena zbierała opodal kwiatki, a nawet gdy do niej przemówiono, potrzebowała powtórzenia, nim dobrze zrozumiała, o co idzie.

Fryda biegła przodem z żywością, jakiejby się po rannym jej smutku i ruchach powolnych spodziewać nie było można. Janusz przyspieszył też kroku na spotkanie. Chwile były policzone. Słońce schylało się ku zachodowi. Na bladej twarzyczce Frydy promień wesela zajaśniał.

— Ślicznyby to był wieczór, rzekła, gdyby nie był może ostatnim — tej jesieni. Patrz pan, jak ziemia pod lipami liśćmi usłana; jak żółkną te, co się jeszcze na niej trzymają; na łące suche łądygi chylą się jak do snu, wszystko prorokuje zimę...

— A zima, dodał Janusz, nie jestże wiosny prorocstwem?

— Któż powie, że jej dożyje? — spytała Fryda.

— Dlaczegoż truć się myślami tak smutnemi — odparł Janusz — lepiej podtrzymywać nadzieję, ja myśleć wolę o wiosnie.

Ciocia Lena szukała już opodal nieco

kwiatków, których nie było. Gdzieniegdzie blada skabioza spóźniona chwiała się wśród zeschniętych listków. Fryda i Janusz mogli rozmawiać swobodnie. Odeszli kilka kroków.

Twarz dziewczęcia przybrała wyraz uroczysty i promienny, niebieskie oczy skierowała na Janusza i zdejmując z palca pierścień koniasty, bawić się nim poczęła, nie mówiąc nic... Obracała go tak w paluszkach długo, nieśmiało, aż padł w piasek u nóg jej. Janusz schylił się, aby go podnieść, dziewczę nie poruszyło się wcale. Trzymając go w rękach drżących, wojewodzie przysunął się ku niej, jakby go chciał jej powrócić. Fryda cofnęła się na krok zarumieniona i potrząsała główką. I jeszcze nie przemówili słowa. Dziewczęciu zdało się tchu braknąć i głosu. Niebieskie oczy łzawe trochę podniosła ku niemu.

— Weź go — szepnęła z cicha — jestto pierścień mojej matki; niech ci przypomni tam, gdzie wszystko każe zapomnieć o nas, tych co tu za wami tęsknić będą.

— Pani moja — drżącym głosem odezwał się Janusz — chciałbym pierścień dać za pierścień; nie mam innego nad ten, prosty, stary, bez wartości dla ludzi, a nieskończenie drogi dla mnie. Na krwawym jego kamieniu wyryte przed dwóchset laty godło nasze rodowe. Dając je, daję ci słowo i porękę...

w zastaw, moją czystą, niesplamioną tarczę, a to stanie za przysięgę. — To mówiąc zdejmował z palca sygnet z krwawnikiem, a dziewczę chciwie go porwało i zerwawszy rękawiczkę wsunęło go na palec, próżno szukając takiego, na którymby się mógł utrzymać.

Serce jej biło, niecierpliwiła się, pierścień spadał z najstarszego z tych smukłych paluszków dziecięcych — lzy miała w oczach Fryda.

— Wasz drogi pierścień rodowy, jakże mi powiada wiele — jam za mała, abym chodzić w nim mogła! Jakże to straszna wróżba!

— Ja mój nosić będę na piersiach, jak u nas relikwie noszą i świętości — dodał zmieszany Janusz.

— Tak? dobrze, i ja włożę go na siebie, przytulę, schowam.

Z niecierpliwością dziecka Fryda poczęła już szukać sznurka przy sobie; jednym rzutem rączki urwała frendzlę płaszczyka i ze zręcznością kobiecą pruć ją zaczęła. Długi sznurek jedwabny starczył na oba pierścienie.

Z cichymi szeptami wiązali je oboje i Janusz pierwszy schował ten swój skarb pod suknię. Fryda z większą jeszcze zręcznością zarzuciła na główkę czarny sznurek i zarumieniła się, czując, jak chłodny pierścień spadł jej na piersi pod suknię.

— Z pierścieniem waszym nie rozstanę się nigdy, nigdy — rzekła — wyście go długo nosili, zżył się on z wami, mówić mi o was będzie. Słyszałam, że kamienie bledną, pięknieją i mówią o tych, z którymi żyły. Opal gaśnie, gdy pan jego umiera. Ja codziennie na krwawy kamyk patrzeć będę; on mi powie barwę swoją, co się tam dzieje z wami. Nieprawdaż, hrabio Janie? nieprawda?

Uśmiechała się na pół smutnie, pół radośnie.

— Nie zmieni się on, tak jak ja się nie zmienię — odezwał się Janusz powoli — wierzcie mi...

— Ja wam wierzę, ale mamże wierzyć światu, co was otoczy, ludziom, losom? Najtwardszy człowiek pod nimi się ugina! A ja nie chcę więcej, tylko tej pewności, że wy po swój pierścień powrócicie.

— Z waszym pierścieniem — mówił Janusz i korzystając z tego, że ciocia Lena znowu zatopioną była w zbieraniu ziółek, chwycił rękę jej do ust niosąc. Fryda zarumieniała się, pobladła, zachwiała i Janusz musiał ją pochwycić, aby nie padła zemdlna. Dziecię tak było wątłe, uczucie mogło je na chwilę uczynić silnem — i mogło ubić jak piorunem. Oczy okryły się mgłą. Ciocia Lena rzuciwszy kwiatki nadbiegła co prędzej

— Dziecię kochane — wracajmy! tam o nas będą niespokojni. Słońce już nad zachodem. Truda będzie nas pewnie szukała. Obiecałaś mi, że króciuchno przejdziemy się tylko — boję się! proszę, wróćmy.

Fryda wahała się patrząc na Janusza, a ten stał smutny i milczący.

— Wszakże choć do furty miejskiej odprowadzić was mogę?

— Chodźcie z nami — odezwało się dziewczę — chodźcie.

Lena nie śmiała się sprzeciwiać. Poszli więc razem znowa, długą ulicą lipową; ale choć zwalniali kroku, wydała się im krótką, drzewa uciekały przed nimi, furta była tuż. Lena szła trochę przodem. Janusz jeszcze raz wziął dziewczęcia rękę drżącą, złożył pocałunek na niej i ledwie miał się czas cofnąć za wyskok starego muru, gdy przez furkę wybiegła szybkim krokiem ciocia Truda, przelekkła, niespokojna, z rozpuszczonym kwefem, szukając ich oczyma.

Zdawała się niezmiernie zdziwioną, widząc Frydę samą tylko ze swą siostrą, i dopiero odetchnęła, gdy je ujrzała. Janusza widać nie było.

Szepcząc coś żywo dziewczęciu na ucho, Truda uprowadziła zbiegłą, która się jej poprowadzić dała posłuszna.

Wojewodzie drogą przeciwną pośpieszył do drugiej furty miejskiej i inną bramą wszedł w ulicę. Choć cały dzień żegnali go z kolei współtowarzysze, musiał się jeszcze udać do gospody pod Złotym Gołębiem, aby kilku starszych pożegnać uroczyście. Dali tam sobie schadzkę o zachodzie słońca, a właśnie się ono za lasy wkrótce skryć miało.

Ani wczorajszego tłumu, ani wrzawy nie było dziś w izbie studenckiej. Kilku tylko starszych, między nimi ryży ów towarzysz, siedzieli nad kuflami piwa, rozmawiając po cichu.

Ogromna owa izba sklepiona, czarna, zadymiona, ze swymi długimi stoły na krzyżowych nogach, z ławami u ścian i wiszącymi na gwoździach kuflami glinianymi, wydawała się pustą i smutną.

Wolnym krokiem, z rękami pod fartuch włożonemi, potrząsając pękiem kluczów, przechadzał się u drzwi otyły gospodarz, mrużąc coś sam do siebie i nieustannie poprawiając czapki z futrem, którą miał łysinę pokrytą.

Pozdrowił on bardzo uniżenie wchodzącego wojewodzica, na którego widok wstali z miejsc młodzi i podniósłszy kufle do góry, zawołali:

— Vivat palatinides noster! vivat.

Podając ręce z kolei wszystkimi, siadł przy nich Janusz i zwrócił się do gospodarza, który przybiegł na skinienie.

— Ja dziś goszczę! — zawołał — dajcie nam przedniego sektu! Wypiję zdrowie dobrych towarzyszków, z podzięką za to, że obcego przyjęli jak brata i żem w nich znalazł przyjaciół, gdym się lękał wrogów.

Ryży podniósł głos.

— Prawda to — rzekł — że Niemiec i Polak żyli zawsze jak dwa brytany z sobą, a byle się zbliżyli, zęby sobie pokazywali. Lecz niechże starzy się jedzą jako chca, bo ich rzeczą z mieczem chodzić na granicy, a młodym sercom miłości potrzeba, która plemienia nie pyta. Czasy też to inne, nie owe, gdy się dzicz po lasach tłukła; cisną się dziś ludzie do ksiąg i do mądrości, a rozum jedna i zbliża...

Przykłaśnięto mowie.

— Wracacie do domu — rzekł drugi — nieście z sobą słowa pokoju i mądrości.

— A nie zdziczejcie tam — dodał żartobliwie trzeci — tak jak ptak chowany w klatce, który w lesie śpiewu uczonego zapomni.

Janusz nalewał sekt do szklanek.

— Prze zdrowie wszystkich uczciwych i rozumnych ludzi, jakiegobądźkolwiek narodu i plemienia; prze zdrowie dobrych przyjaciół moich i tego ogniska światła, w którym się nauczyłem myśleć...

— I myśl ze starych kajdan się wybiła — przerwał ryży. Nie zapomnijcie o tem tam,

gdzie nad nią jeszcze kajdany ciężą... i gdzie my, co je kruszymy, bezbożnymi zowiemy się heretykami. Nieście światło do waszego kraju, a pracujcie, abyście rozprószyli ciemności... Macie tam już poprzedników, którzy rolę zorali i użyźnili; wy ziarno siejcie. Wiklefova tam nauka nie była obcą, poszli inni apostołowie, bądźcie i wy jednym z nich. W narodzie waszym jest już dosyć prawników, niech do ich liczby jeszcze jeden przybywa.

Janusz milczący postawił szklanke swoją.

— Tak jest — rzekł — pracować będę, prawdy się nie zaprę... lecz znam kraj mój i wiem, że tam przebojem bym nic nie zrobił... węzowej chytrości potrzeba, aby się wcisnąć.

— I prostoty gołębicy — dodał inny...

— Ni jedno ni drugie nie starczy — zawołał surowej twarzy młodzian — ale apostołów gotowych na męczeństwo, jak oni pierwsi chrześcijanie; chytrość nic nie sprawi, ani prostota, ale odwaga i ofiara.

— Zostawcie każdemu — przerwał ryży — takie środki, jakimi go ten natchnie, *qui flat ubi vult*. Gdyby apostoła a choćby i męczennika potrzeba — dodał — szedłbym ja z ochotą. Palatinidesie nasz... skiń a pójde z tobą nawracać pogany! Ino słowo!

Janusz się zarumienił.

— Nie chciałbym na me sumienie brać — odezwał się — przyszłości twej; ani może wiesz, jak dalece prawdę mówisz, wspominając męczeństwo... nigdzie ono nie jest łatwiejszem jak u nas.

— Tem ci chlubniejsza walka — rzekł ryży. Tu jest nas dosyć i więcej niż potrzeba... z ewangelią nową nam stąd, z tej kolebki odrodzonego chrześcijaństwa, iść należy do innych narodów.

Obejrzał się.

— Tilius ma wielką ochotę do Polski — rozśmiał się jeden z końca stołu. — Prawdać to, że tam worek napchać można, ale i guza oberwać.

Ryży się zarumienił i zagniewał.

— Tak, a tu guza wprawdzie oberwać łatwo, lecz na tem koniec — rzekł wzdychając. Palatinidesie, bierz mnie z sobą!...

Janusz spojrzał nań dziwnie zamyślony.

— Zachęcać cię nie będę, ani odradzać nie myślę, a jeśli jechać zapragniesz, dla czegożbym odpychać miał.

Tilius wstał żwawo.

— Słowo się rzekło — zawołał — jadę. Nie mam ani brata, ani siostry, ani ojca, ani matki, ani żywej duszy; nic mnie tu nie trzyma.

— A no — rozśmiał się ktoś z boku —

a jejmość gospodyni, wdówka po balwierzu, u której mieszkanie, co powie?

— On ci to od niej bodaj ucieka—przerwał inny cicho — bo się lęka, aby go nie poprowadziła do ołtarza.

Śmieli się młodzi; Tilius wychylił szklanke i uderzył nią o stół.

— Hrabio Janie! idę do domu, aby związać w chustę cały mój majątek. Składa się on z dwóch koszul, starej oponczy i odartej biblii; nie wielki przybór, i za chwilkę gotów stoje... za tobą w świat.

Ci, którzy to postanowienie zrazu za żart brali, zdziwili się, widząc, że Tilius ruszył prędko z gospody. Zaczęto szeptać między sobą. Studenci sądzili, iż to być musiało dawnem postanowieniem, które Tilius sposobnej chwili objawił. Zazdrościli mu jedni, odradzać byli gotowi drudzy. Janusz milczał. Ciężar to był dlań, ale się z tem wydawać nie chciał. Jedyną nadzieją dlań ta myśl była, że kędyś Tiliusa we zborze po drodze porzuci, aby go z sobą do rodzicielskiego nie wiozł domu, gdzie mimo gościnności dawnej nie wiedziałby spełna, co z nim poczynać.

Mrok padać zaczynał, gdy wojewodzie raz jeszcze pożegnawszy towarzyszków odprowadzony przez nich w ulicę, ruszył ku domowi, kędy już konie zamówione Józiaak musiał

jużyć i do podróży gotować. Janusz trzymając się dosłownie rozkazu ojcowskiego, który szanować był nawykł, chciał przed północą wyruszyć i po księżycu dalszą odbywać drogę.

Lecz przybywszy pod kamienicę, znalazł tu niespokojnego Józka, który już całe przybrany i gotów ruszyć, niecierpliwił się chodząc po ganku.

Ledwie zobaczywszy wojewodzica poskoczył ku niemu, załamując ręce...

— Dobrze to u nas w Polsce — zawołał — gdzie nikt dnia i nocy nie pyta, gdy mu jechać trzeba, a niema praktyki, by kogo zbójcy napadli, chyba w dzikich polach, kędy się Tatarowie włóczą, lub u Tatrów, gdzie węgierskie opryszki zabiegają; a no tu nikt się na noc nie puści... ani koni nam dadzą.

— Czemu? — zapytał Janusz.

— Bo tu zbójcy po drogach powszedni chleb, i wszelakiego rodzaju rycerze na swą rękę, z którymi się spotkać nie zdrowo — mówił Józkiak — trzeba będzie do dnia czekać.

Jeszcze rozmawiali, gdy Tilius nadszedł, niosąc swój węzełek w rękę. I ten był zdania, że noc do spania, nie do podróży jest przeznaczoną... i że do dnia białego lepiej się puścić było, niż po księżycu, gdy tylko upiory i widma jeździć zwykły. Nie w smak to poszło Januszowi, zwłaszcza, że z Tiliusem na karku,

który go już opuścić nie chciał, nie mógł nawet z darowanych godzin skorzystać. Chciał więc sam iść do woźniców i przewodników o konie, gdy Hennichen oknem wyjrzał, dowiadując się, o co się spierali. Powiedział mu wojewodzie swoją biedę, dodał słowo Tilius, który rad się był pochwalić, iż z towarzyszem w drogę się puszcza.

— Przyznam się wam, hrabio miły — odezwał się gospodarz — iżem ja o tem dobrze wiedział, że nocą nie pojedziecie. Wprawdzie gościńce u nas powoli się oczyściły z drapieżnych rycerzy, a no lepiej zawsze za słońca lasy przebywać; nie łącno do takiej drogi towarzyszków znajdziecie, więc spędźcie wieczór u mnie, spoczniście potem na górze, a jak świt, niech was bogi prowadzą.

Tilius uważał się też za zaproszonego, co mu niepospolitą sprawiło przyjemność. Weszli więc na górę, dokąd i Hennichen się udał, kazawszy wina z korzeniami i cukrem zagrzać, aby było przy czem siedzieć, pókiiby wieszery nie podano.

Udali się wprost do jadalnej izby, dokąd też zaraz i ciocia Gertruda nadeszła ze zwykłą zapobiegliwością swą, dowiadując się a rozpatrując w ludziach i twarzach.

Jak zrana tak i teraz Hennichen był wesół bardzo. Ujął zaraz wojewodzica pod rękę

i zostawiwszy Tiliusa na rozmowie wielce ożywionej z ciotką Gertrudą, która się nim mocno zajęła, wciągnął go we wgłębienie u okna.

— Przypadek nas poznał i zbliżył, czas nas poprzyjaźnił — ozwał się do wojewodzica — nie bierzcie mi za złe, że stary a doświadczony zapytam was z troskliwością dobrego sługi i przyjaciela: macie-li zasób na drogę? przysłał-li wam rodzic co trzeba?

To mówiąc, w oczy mu patrzył pilno. Janusz się rumienił.

— Nie wiele potrzebuję — odparł — a zda mi się, że będę miał, ile na drogę trzeba. Niemniej dziękuję wam, panie Hennichen, za ten dowód przyjaźni.

— Nie dziękujcie — wtrącił stary — przygotowałem worek z dwóchset florenami złotymi. Nie wielka to rzecz. Nie zapotrzebujecie ich, to mi je odwieziecie lub przekażecie; a jeśli w podróży niespodzianego się co trafi, podziękujecie mi, żem przewidział. Podróżowałem ja wiele — dodał — a nie pomnę, żeby droga bez przypadku się obeszła, który zwykł na worku się kończyć. Widzę, że niespodziewanego zyskaliście towarzysza, który za dwóch jeść będzie pewnie... stoję więc przy swoim.

Podał mu rękę. Janusz już nie nie odpowiedział, wrzuciła go ta troskliwość, niemal ojcowska.

Ciocia Gertruda zakrzętała się tymczasem około wina, cukru i korzeni, postawiono kubki i zasiedli do nich, gdy Fryda weszła.

Czarny strój, który miała na przechadzce, był zrzucony, niebieską włożyła sukienkę i pas nabijany złotem; tylko sznureczek czarny, na białej szyi widoczny, pozostał niepokryty, przyciskała go rączką do piersi, a twarz jej choć smutna, była spokojną i niemal tryumfującą.

Na widok pięknego dziewczęcia Tilius się zerwał z siedzenia, ruszył Janusz, uśmiechnął ojciec, witając ręką jedynaczkę. Szła powoli, sunęła się raczej i siadła zdala od nich, a ciocia Gertruda podbiegła zaraz z zapytaniem, czy choć naparstka wina nie wypije, zasłodzonego, by moc straciło.

Ale dziewczę odmówiło, potrząsając główką.

— Jeśli nie pijesz — zawołał ojciec — skazujem cię na karę: dzisiaj nam już przy cytrze zaśpiewać musisz, choćby jedną piosnkę. Jeśli nie dla mnie, to dla podróżnego, który nas opuszcza. Niech mu dziewczica pieśń tętni w uszach ostatnia, aby miłe wspomnienie kraju naszego zachował. Nie każ się prosić bardzo, dziecię moje.

Na skinienie jego ciocia Truda wyniosła z drugiego pokoju cytrę i położyła ją na kolanach Frydy, która długo siedziała zadumana.

Nie odpowiedziała nic — brzękły struny... cisza uroczysta trwała chwilę... i znowu zabrzmiały struny, aż nareszcie srebrny głos, świeży, słaby zrazu dał się słyszeć jakby z oddalenia, i zbliżać się zdawał i rosnąć, wypełniał. Twarzyczkę przebiegały strumienie życia, oczy pały, śpiewaczka drżała, pieśń się lała potokiem srebrnym.

A była to jedna z tych pieśni wiekuiestej tęsknicy człowieka, co się rodzą wszędzie, gdzie tęskni młodość i gdzie cierpi serce; jedna z tych pieśni, które się powtarzają po całym świecie, wszystkimi języki... co wywołują westchnienie z młodej piersi, łzę ze starych oczu.

I ciocia Truda też rozplakała się słuchając jej, przypomniała sobie bowiem, jak przed laty pięćdziesiątą biegała za motylami nad Salą i zbierała w zbożu bławatki... A na tem czole, które wieniec ich opasywał, były dziś zmarszczki i czepiec wdowi z czarnym swym zębem, znak żałoby.

Janusz patrzył i słuchał... z oczów jej widział, że pieśń dla niego była nuconą, i czuł, że nigdy jej dźwięki z serca mu nie ulecą. Było to pożegnanie ostatnie.

Przed północą rozstali się w milczeniu, a do dnia siadali na koń, i z okna widać było białą twarzyczkę, która za odjeżdżającymi patrzyła.

V.

Gdy przebyli granicę, Józkwowi twarz się śmiać zaczęła, Janusz posepniał, a Tilius z podziwienia nad najprostszemi rzeczami wyjść nie mogąc, pamiętny tego, że kto pyta, nie błądzi, zarzucał nieustannie pytaniami i wykrzyknikami wojewodzica. Najwięcej jednak tylko Józkiak na nie odpowiadał, Janusz zamysłony coraz więcej puszczał mimo uszu natrętne słowa.

Niepospolitą też biedą był ten Tilius, który od dzieciństwa nawykłszy chodzić po miejskim bruku a podróże odbywać o kiju, z koniem sobie rady dać nie umiał, a siodło znajdował najniewygodniejszym w świecie siedzeniem, stworzonym na torturę człowieka. Był też nieporadny jako dziecko miasta, nawykłe wszystko za gotowy grosz dostawać lub wyżebrać. Rozumował łatwo, ale żyć na wolnem powietrzu, z coraz nowymi żywioły potrosze walcząc, było mu bardzo trudno. I wzdychał do tego, ażeby co najrychlej do szczęśliwego dobić się portu.

Józkiak i wojewodzie gdy konie uczuli pod sobą, do których im obu tęskno było, radzi harcowali wesoło; koń Tiliusa patrząc na współzawodników, dostawał też zachcianek do podskoków. Naówczas nieszczęśliwy teolog, który

z foliantami był obyty, ale z koniem porozumieć się nie umiał, głosem i zaklęciami usiłował nadaremnie hamować zapędy nierozumnego stworzenia, które wcale łacińskich imprekacyi jego do serca nie brało. Kończyło się więc na tem, że na serce rozdzierające wołanie o ratunek nadbiegał śmiejąc się Józiak i konia hamował a teologa ratował.

Tilius znajdował też, iż po gospodach nad ludźmi nie miano politowania, skazując ich na sen na twardych ławach lub sianie. Raziło i to przywykłego do niemieckich zajazdów, iż do wspólnej izby iść ze wszystkimi podróżnymi musiał, jakich Bóg dał, i u jednego się ognia ogrzewać z tymi, którzy nigdy się nie uczyli po łacinie. Słowem, gdyby nie wstyd a coraz większe oddalenie od miasta, w którym wzrósł i w którym ową wdówkę po burmistrzu zostawił, co nań wcale miłym okiem patrzyła, byłby Tilius wstyd połknąwszy powrócił *ad limina patrum* i zrezygnował się na pozostanie przy suchym chlebie ojczystym. W rachuby apostołstwa nie wchodził znać ani koń samonośny, ani gospody niewygodne, ani podróżne głody i chłody, ani tysiączne powszednie troski. Janusz natomiast i jego towarzysza a sługa, odetchnąwszy świeżem powietrzem i nogi włożywszy w strzemiona, odżyli jakby życiem nowem.

Józiakowi wszystko się śmiało i on uśmiechał się do wszystkiego. Janusz czuł się w sercu niespokojnym, a z każdym dniem trwożliwszym, jakie mu tam zgotowanem było przyjęcie!

Gdy przebyli granicę, Tilius znalazł się jakby na świecie innym; nie licząc bowiem tego, iż języka nie rozumiał, z widokiem kraju wyglądającego dziwnie posepnie, poważnie i na pół dziko, oswoić się nie mógł.

W miastach wyglądał na próżno czego niemieckiego, rzadko i tu coś takiego mógł znaleźć. Izraelici tylko zrozumiałszą dlań odzywali się mową; ale naówczas zarówno u protestantów jak u katolików wstręt do plemienia tego wygnańców, na którem zdawał się ciężyć wyrok Boży, był powszechny.

Tu jesień wiała już coraz dotkliwszym chłodem, nocy były mroźne, ranki zimne, wieczory wietrzne, a gospody, do których zajężdżali, tutaj niemieckim nie dorównywały. Wpół drogi teolog trzewiki musiał zamienić na buty i patrzył na swe nogi z podziwieniem, nie mogąc ich poznać, tak zostały zmienione. Całe ciało zbolące od jazdy domagało się wypoczynku; humor też poczynał coraz być gorszym i Tilius posepniał a trwożył się wyrzucając sobie swą lekkomyślność.

Ponieważ na ostatnim liście wojewody nie

było w pośpiechu zapomnianego miejsca, skąd go wyprawił, a często przy dworze królewskim zwykł był mieszkać, uznał Janusz właściwem skierować się naprzód ku Krakowu. Dogadzało mu to może i dlatego, że z trwogą myśląc o spotkaniu z surowym rodzicem, rad był chwilę jego odsunąć, a w Krakowie też czuł się bezpieczniejszym.

Tiliusowi wszystko było jedno, gdzie miał wylądować, byle co najrychlej buty zrzucił i konia się pozbył. Słyszał też w Krakowie o współwyznawcach i mnogich spółziomkach, co mu nadzieję czyniło, że tam ze wszystkim obcym nie będzie.

Jednemu Józiakowi Kraków nie był do smaku; lecz jego zdania nie pytano, a on go narzucać nie śmiał. On byłby pragnął co rychlej znaleźć się w domu, a w Krakowie jeszcze się miał czuć w gościnie.

Podróż z różnych małych powodów się przedłużała. Sloty niepomierne, burze jesienne, oblędy na gościńcach i przygody niespodziane przeciągały ją nad miarę. Nad Tiliusem też litość mieć było potrzeba, bo na koniu ani kilku mil dziennie uczynić nie mógł, a gdy z niego zlazł, aby się na piechotę puścić, wszyscy dlań zwalniali kroku. W gospodzie potem, byle w nią wjechali, kładł się nieborak na siano i z rana go dobudzić się nie było podobna.

W ostatku wreszcie dzień się zbliżył, gdy do stolicy dostać się mieli. Dzielily ich od niej trzy tylko mile, które pogodniejszy czas i suchsze drogi dozwalały przebyć w kilku godzinach. Późno w noc dostawszy się na nocleg do ostatniej gospody, znaleźli ją nabitą końmi i ludźmi. Miejsca dla nich nie było. Jak zwykle w pobliżu wielkiego miasta, nacisk podróżnych był znaczny. Nie pozostawało nic, chyba koczować w pobliskim lasku i na noc sobie szalać budować. Tak straszego noclegu nie miał pojęcia Tilius.

Tymczasem Józia nieulekniiony wcisnął się między ową ciżbę napełniającą gospodę i powrócił wkrótce biegnąc z nowiną, iż w niej zastał krewnego pana wojewody, pana Jeremiego, kasztelana Bełzkiego, którego pominąć Januszowi się nie godziło. Ludzi jego poznawszy, z tą wiadomością przybył zdyszany chłopak, a wojewodzie mały swój dwór pod laskiem zostawiwszy, sam pieszo poszedł pozdrowić kolligata, którego wujem zwał, choć to wujostwo dalekiem było i do obrachowania trudnem.

Był kasztelan Jeremi nie młodym już, wdowcem, człowiekiem majątnym, niegdyś wojskowym, dziś rolnikiem, ale około spraw publicznych pilnym. I on też do Krakowa dążył.

Od lat trzech nie widział już krewniaka

Janusza, którego był ojciec, acz nie bardzo sam temu rad, z narady brata swojego, za granicę wysłał, dla nauki i poznania ludzi. Lat trzy w młodzieńcu dwudziestoletnim wielką czyni różnicę. Janusz na pierwszy rzut oka do natłoczonej izby wpadłszy, siedzącego na ławie i zabawiającego się przy misie kasztelana poznał; stary Jeremi zaś nie skoro, wpatrzywszy się w niego, zakrzyknął z podziwienia.

— Jak Bóg miły! Janusz! Co waszmość tu robisz!

— Na rozkazanie ojcowskie z za granic wracam, — odezwał się młodzieniec całując w ramię kasztelana.

— A gdzież go to szukać zamýślasz? — zapytał kasztelan.

— Sądziłem, że go może w stolicy zastanę.

— Zdaje mi się, że go tam niema, a nawet upewnić was mogę, że w Rochowie siedzi. Tak ci jest! — powtórzył kasztelan spoglądając na pięknego chłopca. — Szkoda, żeś się obróciwszy drogą na Kraków, przypóźnił może, bo tam cię niespokojnie czekają.

Kasztelan spojrział tylko, i jakby dopowiedzieć nie chciał co zaczął, zamilkł nagle.

— Nie wiem spełna, czy cię tam już wprzódy ojciec wyzywał do powrotu — dodał po namyśle, ale się stary niecierpliwi pono

i zżyna, iż dotąd się waści nie doczekał. Trzeba wam spieszyć.

— Odebrawszy ostatni list, — rzekł zmieszany Janusz — anim chwili się nie ociągał, rzuciłem wszystko i jadę niemal dniem i nocą.

— Tylko że nie wprost do domu, to myłka i błąd — szepnął kasztelan. — Na prawdę rzekłszy, jeśli ojciec nie wspomniał o Krakowie, to się go tu domyślać nie należało.

Wojewodzie, mnąc w ręku czapkę, stał przed wujem zmieszany.

— No, ale to się tam naprawi — dodał wuj — bo i zlej chęci nie było.

Popatrzał znów kasztelan.

— Ojca swego waść znasz — mówił dalej — człowiek surowy, a nie może innym być, ale sprawiedliwy.

— Nie zdaje mi się, bym tak wielką popelniał winę jadąc na Kraków.

— To mniejsza — przerwał wuj — ja tam nic zresztą nie wiem, ale się lękam, by na waści jakich raportów niepotrzebnych mu nie poczyniono. Wojewoda w sprawach domowych nawet z blizkimi jak ja, nie rad mówić.. toteż nic nie wiem; ale z humoru i niecierpliwości o powrót waszmości domyślają się wszyscy, iż z pobytu tego w Niemczech nie jest bardzo rad.

Westchnął kasztelan.

— Ale to tam baję są i domysły. Wojewoda, jak wiesz, Niemców nie lubi, byłby was do nich na naukę nie wyprawiał, gdyby pan pisarz, brat, na to go nie namówił. Teraz pono tego żałuje.

W gospodzie było pełno, gwar wielki, a choć kasztelan na stronie siedział i tłum nie zbliżał się zbyt, o senatorze wiedząc, — nie miła była rozmowa przy tylu niepotrzebnych świadkach. Janusz płonął i wił się jak na mękach. Dostrzegł to wuj i po ramieniu go uderzył.

— Pan Bóg wie co robi. My wszystko przypadkami zowiemy, co nam jego Opatrzność daje, aby nasze błędy poprawić. Ot i to przypadkiem się może zwać, żeśmy się tu zetknęli; wszelako dla waści nie szkodliwy on, ale pożyteczny.

— Mój Januszkę — rzekł — nie tracąc chwili do domu ci trzeba, tam cię bardzo czekają. Mówili mi ze strony, że ojciec, choć z tego tajemnicę czyni, niespokojny wielce, a o co innego nie może być tylko o waści. I nie dziw: jedyne go was ma, lęka się kalectwa dla was. Nie na ciele może, to na duszy — ciągnął stary zniżając głos. Wiadomo to, że w Niemczech herezyi siła powymyślali, a myśmy byli i chcemy być prawowiernymi synami kościoła. Dość już nam parszywych

owieczek Niemcy napuściły, mamy już Radziwiłłów i Zborowskich i Gorków naszych i innych siła. Nie dziw, że stary się lęka, abyście i wy do domu zarazy nie przynieśli.

Słuchając tej mowy kasztelana, który coraz to ukradkiem na młodzieńca spojrział, Janusz bladł i rumienił się, niecierpliwiając widocznie.

— Niech mi pan kasztelan przebaczy — rzekł — ano u nas najczystszą wiarę herezyą zwykli chrzcic, choć ona tylko...

— Co? co? co? — podchwycił zrywając się i przysiadając wnet wuj, który ręce obie na kolanach oparłszy wpatrzył się pilno w krewniaka. — Cóż to! będziesz ty ich bronił! Januszk... ani ja tego słuchać nie chcę, ani mogę!... A toś już chyba istotnie zawarł tej szkarady, i ojciec coś o tem wie?

Janusz zamilkł.

— Nie do nas sprawa wiary należy, abyśmy ją maluczkiem rozumem naszym sądzili — mówił zwolna — to sprawa duchowieństwa i starszyzny. A któż to tam tak mądry, by śmiało powiedzieć, co czyste jest a co oczyścić należy?

Ręką rzucił kasztelan i pogroził młodemu.

— Życzę ci, przed ojcem tam w obronę nie bierz nikogo, bobyś siebie potępił w oczach jego. Wnieść do domu nowe te niemieckie inwencye, tegoby nam jeszcze brakło!

Pomruczał coś niewyraźnie.

— Jedno ci radzę — począł znowu, widząc, że Janusz umilkł — wracaj co rychlej, a jeśliś czego się niepotrzebnego nasłuchał, o tem, przeżegnawszy się, zapomnij... Do Krakowa potrzeby nie masz nawet, ojca tam nie znajdziesz; więc prosto w swoją drogę.

Wojewodzie zafrasowany zmilczał chwilę.

— Przyznam się wujowi — dodał po chwili — iż muszę do Krakowa choć na chwilę zwrócić...

— A to po co? — zawołał stary.

— Niemcam z sobą wziął, towarzysza z Wittenbergi. Jeśli takie ojca a pana usposobienie, darmoby go do Rochowa wieźć, nie miłyby tam był gościem... lepiej go bodaj w Krakowie zostawić.

Kasztelan z ławy wstał i ręce złożył.

— A któż ci tę myśl poddał, abyś nam taki wiózł gościniec? — zawołał. — Dopiero ci radzi byli. Rzuć go kędy chcesz, bodaj na rozstajnych drogach, byleś go w domu nie pokazywał. Psamiby go wojewoda wyszczuć gotów, zwłaszcza jeśli heretykiem pachnie.

— Aleć to młody chłopak, więcej sam uczyć się pragnący, niż drugich nauczać — rzekł Janusz.

— A po co nam Niemiec? i czemu tam doma nie siedział? co on tu będzie robił? — dodał ruszając ramionami kasztelan.

— Dlatego też myślę się go zbyć i na krakowskim bruku zostawić, kędy więcej znajdzie takich jak sam, i laniej tam się pomieści, a do Rochowa go już nie powiozę.

— Ani się waż — dodał wuj — coby on tam robił, kiedy pewnie innej mowy oprócz swojego szwargotu nie zna?

Widocznie zaniepokojony zeznaniem siostrzeńca, kasztelan wstał i począł po niewielkiem kółku, jakie koło nich zostawało, przechadzać się a raczej dreptać, bo miejsca na chodzenie brakło.

— Byle na dzień, przespawszy się tu gdzie na sianie, ja też do Krakowa zmierzam; jedź waść ze mną, kiedy już konieczna. Niemca tam posadz a sam do domu ruszaj, nie oglądając się. Czas wielki! czas wielki! bo tam was czekają niespokojnie.

Z wyrazów tych powtarzanych wniósł wojewodzie, iż mu się nie łatwo może przyjdzie przed rodzicem usprawiedliwić z opóźnienia. Pamięć stosunków domowych trochę się była pobytem za granicą zatarła, wracała teraz i poczyniała napełniać go strachem. Z niepodległego, jakim był w podróży, powracał pod rozkazy rodzicielskie i surową ojca opiekę. Wszystkie marzenia, któremi żył, przed tą groźną rzeczywistością pierzchały.

Janusz westchnął, czuł, że go czeka nie-

jedna boleść i ciężkie przejście; ale męstwo też w sobie miał, którem spodziewał się pokonać wszystkie trudności. Już to spotkanie z wujem uczyło go po części tego, z czem miał walczyć. Wszakże daleko więcej pobłażający kasztelan mówić mu nawet nie dał i ust otworzyć w obronie wiary nowej, którą Janusz z całą dobroduszością młodzieńczą, jasne jej tylko widząc strony, poślubił.

Z temi myślami kłębiącemi mu się po głowie Janusz zabierał się do wyjścia, gdy kasztelan go spytał, gdzie noclegować myśli. Nie było sposobu, tylko się z Niemcem kędyś do chaty wprosić, bo w gospodzie już miejsca nie było. Nakazał tylko przeciągający się już do snu wuj Jeremi, aby nazajutrz rano stał przy jego kolebce siostrzan i razem z nim jechał.

Nie było to na rękę Jannszowi, iż się musiał z niezgrabnym Niemcem popisywać, lecz na to rady nie miał. W niebytności ojca wuj też miał pewną władzę, której oprzeć się nie godziło.

Tak się rozeszli, a chłopak pobiegł do koni, które już Józiak wraz z Tiliusem pomieścił w obórce chłopskiej. W chacie też ubogiej ustąpił kmieć izby dla podróżnych. Pierwszy to był tego rodzaju nocleg, w izbie bez podłogi na klepisku, obok pieca, w którym

gospodyni wieczerę gotowała, z dziećmi, które bosy w koszulinach płacząc uwijały się, płosząc swobodnie przechadzające się kury. Tilius się pogrążył w zadumie. Mało bywając po wsiach, teolog nie znał się z tym pracowitym żywotem ludzi skazanych na wiekuistą nędzę. Sądził więc, że to krajowy obyczaj i niedostatku powszechnego jest miara. Milczący, żałował tem więcej teraz żony po burmistrzu i izdebki schludnej, jaką u niej zajmował.

Czekała go też niespodzianka od Janusza.

Gdy do skromnej bardzo wieczerzy zasiedli, którą prawie sam nabiął składał i kawałek chleba, Janusz się odezwał z westchnieniem, iż mu jeszcze długa pozostawała droga do domu, którą pospiesznie odbyć musi.

— Zda mi się, kochany Tiliusie — rzekł — że ci już musiało to podróżowanie dokuczyć, boś wcale do niego nie nawykł. Radziłbym ci więc jakiś czas w większym mieście jak Kraków pozostać, gdzie i o Niemca nie będzie trudno. Tu gdy spocznieś, później cię do siebie wezwać mogę, gdy czas będzie po temu.

Tilius spojrział koso.

— Bardzoby mi się to uśmiechało, ażeby przestać raz chodzić w strzemionach — odezwał się cicho — wolę ławę niż konia. Ale w obcym mieście co ja pocznę?

— Znajdziesz swoich na pewno, dodał Janusz. Zresztą ja cię bez grosza nie zostawię. Tilius pomyślał.

— Wszakem ci się apostołowania podjął — rzekł — w mieście prędzej znajdę z kim je począć, skoro Niemcy tu są. Powinni mi być radzi, że im czystą, u źródła zaczerpniętą naukę przyniosę.

— Na wsi nie mielibyście pewnie ani z kim dysputować, ni kogo nawracać, — dodał Janusz.

Niemiec pomyślał trochę i nie rzekł już nic. Zasnął potem na sianie twardym snem podróżnych i przez sen tylko śniąc o męczeństwie, krzykiem swym budził wojewodzica, skarżąc się, iż go szatani napastowali.

Rozedniało nareszcie i Józiaak się mleka gorącego postarał, aby na czczo nie wyjechali, donosząc, że kolebka i ludzie kasztelana już się do drogi sposobili. Konie były posiadłane, złamany Niemiec dosiadł swojego z trudnością. Gdy kasztelańska kolebka ruszała, wychylił się stary z niej, ażeby zobaczyć Tiliusa, i na twarzy jego znać było, że zgarbiony teolog śmiesznie mu się wydać musiał. U kolebki pojechał Janusz, który z koniem obejść się umiał.

— To mnie cieszy — odezwał się Jeremi — że asińdziej nie zapomniales między tymi

Szwabami z koniem sobie poczynać, bo kto konia lubi, o tym ja nigdy nie desperuję. Szwab, którego wiesz, tak mi się wydaje, jakby całe życie pieszo chodził. Co z takiego człowieka może dobrego być?

Już dzień był jasny, a nawet i słońce się z za chmur pokazywać zaczynało, gdy w dali Kraków, i zameczysko na Wawelu, i wieżę Panny Maryi, i mury i bramy ujrzeli.

Kasztelan, jak miał zwyczaj zawsze, gdy do jakiego miejsca dojeżdżał, począł modlitewki odmawiać przeżegnawszy się; czego że Janusz nie uczynił, pewnie w umyśle jego *malam notam* dostał. Tilius miasto zdala do znajomej sobie Norymbergi porównywał. Na widok jego jakoś mu serce rosło, bo myślał sobie, że gdzieżby też miasto być mogło, aby w niem nie było Niemca.

Ani się opatrzyli, gdy ich mnóstwo wozów i fur wieśniaków z okolicy, dążących z żywnością i różną kupią do miasta, otoczyło. Ciężko się było przecisnąć przez te tłumy, bo to dzień był targowy, a pora jesienna, kiedy wszystkiego podostatkiem w domu i każdy gospodarz i gospodyni ma z czem wyjść.

Jeszcze przed bramami przekupnie zaczęli wstrzymywać pieszych i jadących, targując co wzięli i niemal siłą ich grabiąc. Oprócz tego ubogiego ludu i kupeczących siłą też kon-

nych z pańskich dworów i pocztów różnych zjawilo się, i dziwnie postrojonych pacholków w barwy i dworzan, na których Tilius spoglądał, nie wiedząc spełna, panowie to byli czy słudzy.

Im bliżej ku bramie, tem się ścisk stawał większy, kolebkę więc puściwszy przodem, Janusz z Tiliusem za nią pozostał; a tu mu pierwszy raz przyszło się zawstydzić towarzysza, gdyż swawolna młodzież i służba przyglądając się temu Niemcowi, nie siedzącemu, ale wsadzonemu na konia, poczęła go niemilosiernie wyszydzać. Szczęściem, że Niemiec cale nie rozumiał wyrazów, jakimi go witano, i z twarzy tylko a ruchów miarkować mógł, iż tu pożądanym wielce nie był gościem. Młodzież podbiegła aż z końmi tuż, aby mu w oczy zajrzeć i drwiąc go witać, tak iż Józiak stanąć musiał z boku i zasłaniać go od napaści.

W bramie znęcone przykładem uliczniki i paupry, na których nie zbywało, pędzili też za wjeżdżającymi, wołając na różne głosy: Ave Rabbi i tym podobnie.

Tilius zbladł, bo mu się zdało, że to już męczeństwo się pocznie; lecz we Floryańskiej bramie jakoś to ustało, choć przed obrazem Matki Boskiej na niej zawieszonym czapki nie zdjawszy, wedle obyczaju, mógł być dostać napomnienie. W ulicy dalej, przy ciasnocie

tych co w rynek ciągnęli, nie było miejsca ni czasu Niemcowi się przyglądać. Jechali więc nie zaczepiani, gdy z boku okrzyk się dał słyszeć i Tilius wezdrgnął, bo imię i nazwisko jego wymówione wyraźnie doszło mu do uszu. Obejrzał się niespokojnie i on i wojewodzie, i pod bramą kamienicy zobaczyli człowieka w opończy ciemnej, który ręce do góry wzniosłszy, na Tiliusa wskazywał, aby się wstrzymał.

Niepozorna to była figurka, mała wzrostem, z długą twarzą bladą, zawinięta w płaszcz daleko dłuższy i szerszy niżeli go potrzebowała. Na głowie czapka czarna, aksamitna niegdyś, jakby rozplasniona, część mu czoła i trochę oczów pokrywała.

— Gustavus!

— Heinrich! — dało się słyszeć razem, i Tilius z konia począł niezgrabnie się zsuwać z takim pośpiechem, iż o mało z niego nie spadł. Ziomek to był Wittenberczyk, którego szczęśliwy traf postawił na drodze Tiliusa, znajomy z lat młodzieńczych, znacznie jednak od niego starszy. Więc zapomniawszy niemal wojewodzica, Tilius pobiegł przyjaciela ścisnąć. Szło mu śnać jednak o to, aby i Janusza nie stracił, pociągnęli bowiem razem przy koniach, karmiąc się rozmową.

— Człowiecze! — mówił mały zdyszany

cały — a ciebież tu jaka nieszczęśliwa gwiazda przyniosła? Ażali ci życie nie miłe? Jam już przeklął losy moje za to, że mnie krewny tu sprowadził. Po cóż ci było do tego bałwochwalczego wlec się kraju? a co ty poczniesz? a toć lud na nas wre, a studenciby przez ulicę przejść nie dali, gdyby protestanta przewąchali.

Tilius nie wiedział sam co odpowiedzieć, wskazał na wojewodzica.

— Mamy my tu, prawda, takich co nas protegują i osłaniają, mówił dalej mały, a no oni sami kryć się i z głowami uchodzić muszą, a jest już nas tu więcej nawracających, niż tych coby się nawracać dali.

Tilius zżymał ramiony, gorąco mu było. Zbliżali się właśnie ku Pannie Maryi, przy której ścianie wystawiony krucyfiks świeczkami i lampami gorzał cały, a mnogi lud na klęczkach, na bruku i słocie, na głos śpiewał pieśni pobożne.

— Tu — zawołał mały — miej się do czapki, czy chcesz czy nie chcesz, bo nas bałwochwalczy ukamienować gotowi.

To mówiąc sam zdjął z głowy biret, a Tilius rad nie rad czapkę też zrzucił i milczący przeszli wśród tłumu, którego pieśń szeroko w ulicy i rynku się rozlegała.

Widok tej pobożności gorącej, szczerzej,

jakiej już od lat wielu w Niemczech rzadko gdzie spotkać było można, sprawił na Niemcu wrażenie dziwne. Ogarnął go przestrasz i żal niezmierny, iż cichą Wittenbergę porzucił. Poszeptawszy z towarzyszem i ciągnąc go za sobą do gospody, Tilius sunął się już za wojewodzicem piechotą. Tu w rynku też zatrzymała się kolebka kasztelana i Janusz też z konia zsiadł. Niemcy rozwiedziawszy się tylko, kędy szukać mieli Janusza, oba razem zanurzyli się w tłumie i zniknęli; czemu i on wielce rad był, bo tu dopiero poczuł i zrozumiał, jak niemiłego dobrał sobie towarzysza, i więcej niż kiedy pozbyć się go postanowił.

VI.

W głębi wielkopolskich lasów leżał Rochów, stara sadyba i gniazdo rodu Rochitów, z których wojewoda pochodził.

W połowie szesnastego wieku, której sięga opowiadanie nasze, nie było nigdzie, krom miast wielkich, tego przepychu i zbytku, jaki później pańskie dwory i domy Rzeczypospolitej odznaczał.

Dobrze ktoś nazwał ówczesną Polskę obozem wielkim rycerstwa. Nieprzyjaciel często sięgał dawniej w kraju wnętrzości; za Zygmunta dopiero Starego większego nieco

spokoju zażywać kraj zaczął, ale to obyczajów nie zmieniło. W drewnianych po większej części dworach szlachta się najzamożniejsza mieściła, nie budując na wiekiistość, nie rozkładając zbytńio; bo często od Tatara uchodzić było potrzeba, a sam pan domu wczasu używać nie mógł nigdy: albo na koniu siedział, lub sejmował.

Rochów należał do niewielu wyjątkowych grodków, które z dawnych bardzo czasów pozostały. Była to murów garść rzucona na pagórku nad rzeczką i stawem, które w okrąg drzemiące, czarne otaczały lasy. Tuż pod górą zamkową, na podzamczu, skupiła się mała miejscina, w której tylko wieża kościółka nieco wynioślejsza, z poza drzew nad dachy szarych domostw się wyrykała.

Starego zamku nie przerabiano na sposób nowy. Mury jego dziś już były prawie niepotrzebnymi, a co wpośrodku ich stało, prostemu obyczajowi starczyło. Na spodku pagórka rosły lipy i klony obejmując mury do kola.

Pańska to była rezydencya, bo wojewoda liczył się do najzamożniejszych w Rzeczypospolitej, ale majątńością swą na okaz nie szafował. Mnogie na okół włości należały do Rochowa, niby małe państwo stanowiącego; lecz dochody ówczesne szły albo do kufrów zamczystych na czarną godzinę, na potrzeby

ogólne, lub w posługach się przeżywały, nie dla siebie, ale dla godności imienia. Rolnictwo naówczas jeszcze nie było głównym dóbr dochodem; ani dziesiąta część pól, później wydartych z pod lasów, jeszcze się nie uprawiała. Dochody z barci, pszczół, osypów, danin, lasów, stanowiły największą część bogactwa ówczesnego; rola zaś ledwie potrzebom dworu licznego i domu starczyła!

W dobrach wojewody, jak w domu jego, ład i porządek panował wojskowy; rządy były acz surowe, ojcowskie. Nikomu tam niczego nie przebaczone, lecz nikogo prześladować też nie dano; a gdy nieurodzaj i grady głód sprowadziły, karmiono całe włości ze spichrzów pańskich, nie utyskując na to.

Stary pan, gdyż go pod tem imieniem znano pospolicie, sam się wszystkiem trudnił, wiedział o wszystkim i niemal był włodarzem, tak pilno wglądał w rzecz najmniejszą.

Na zamku rochowskim ludno było i dwor-no, cała ta załoga po żołniersku trzymana była w ryzach. Miał wojewoda żołnierza własnego i służbę mnogą, ale ciurów i rozpasanego żoł-dactwa nie cierpiał.

Stary zamek, jak był jeszcze może za Ja-giełły i krzyżackich wojeń, tak pozostał dotąd. Mury z kamieni i cegły wzniesione niegdyś, grube i niepozorne, zwały się wiekami w jedną

masę, w której gdy teraz okno wybijać czasem przyszło, to jej żelazo nie brało. Baszty i rondele przy murach stały pustkami dawno, trzymały się jednak tak cało, że z nich jeden nie wypadł kamuszek. Okolny mur, wyjąwszy kawała ściany co się zsunęła wdół i padła nierozbiwszy w fosę, stał też nienaruszony.

W pośrodku jego stara wieżyca przysadzista była też tylko pamiątką wieków, w których ją wzniesiono, służyła bowiem za skład wszelkiego łomu i niezdarnego sprzętu. Tuż przy niej ciągnął się zamek bez piętra, długi, wszelkich ozdób pozbawiony, do klasztoru podobny, z oknami wązkiemi, utrzymany czysto i schludnie. Wysoki dach gontowy wznosił się nad nim, a z jednego boku małe pięterko zdawało się służyć tylko na to, aby spiczaste jego pokrycie blaszany wietrznik z wyrzniętym na nim herbowym Rochem utrzymywało.

Opodal za tym domem smutnym i ponurym wirydarzyk, w którym wojewodzina ziola i kwiaty pielęgnowała, sam tylko nieco stok góry ożywiał i uweselał.

U wnijścia stara baszta z zasklepionym korytarzem—niegdyś broną, jeszcze nad wrotami wiszącą, zamykanym—zajęta była przez żołnierzy i dwornię. Między nią a zamkowymi

murami wzniesiona figura z kamienia, w której wgłębieniu z jednej strony był wizerunek Chrystusa przywiązanego do słupa, z drugiej Matka Bolesci, miała z obu stron lampy, które co wieczora gorzały. Co piątki przed figurą Chrystusa śpiewano pieśni i litanie, co soboty przed Matką Boską. Oprócz tej oznaki pobożności na samym murze zamkowym, nagim zresztą, widać było starą rzeźbę, Kalwaryę wystawiającą, którą czas i słoty zniszczyły.

Wnętrze zamkowe składało się z izb i sal sklepionych, z oknami wązkiemi z błon w olów oprawnych, głęboko w grubym murze osadzonych. Ogromna sień w pośrodku dzieliła budowę na dwie nierówne połowy. Jedną część, w prawo, zajmował sam wojewoda i służba jego przyboczna, drugą komnaty gościnne i do przyjęcia, za którymi była sypialnia, izby i alkierze wojewodzinej i fraucymeru. Wyjąwszy kilka komnat, których ściany były kobiercami okryte, mur obielony tylko wyglądał w innych, z pod rozwieszonych zbroi i wizerunków. Nie zbywało na kosztownościach, ale to były drogie prastare ruchomości, które w oczy nie były. W jadalni szafy przepełniały srebra ciężkie, konwie ogromne, dzbany, roztruchany, misy i półmiski, stoły nawet z blachy srebrnej i beczki kute ze złożonymi obręczami; przepych ten stary wszakże na oko zdał się

niepokaźnym, bo go raczej chowano niż się nim chlubiono.

Jedna izba, przy jejmościnej sypialni, świeższym blaskiem się odznaczała. Tam i ko-bierce okrywały podłogę i tkane szpalery ściany, i nie brak było szaf, sepetów, skrzynek, zegarów, a co do niewieściego obyczaju przynależało.

Po drugiej stronie pokoje wojewody, poczawszy od pierwszego obszernego, w którym przyjmował przychodzących, po rycersku się stroiły. Zbroje na ścianach, jedna przy drugiej gęsto wisiały oznaczone, a nad każdą hełm i do niej rękawice i wszelkie potrzebne żelastwo. Było tam wiele takich, których już używać zapomniano, ale je dla pamiątki i od przypadku zachowywano; a że wojewoda wszelkiej broni był ciekawym, więc i nową sprowadzaną z Włoch, Hiszpanii, Niemiec ściany sobie zawieszał. Nie było prawie gdzie palcem tknąć, żeby żelaza nie spotkać, okrom w środku jednego miejsca, zajętego przez odwieczny krucyfiks kamienny, z długimi włosy przyprawnymi, które z głowy jego spadały. Było podanie o nim, iż ilekroć ród Rochitów nieszczęście jakie spotkać miało — płakał. Przed tym krucyfiksem wieczorne często, szczególnie w wielki post, odbywały się modlitwy; tu gromadził się dwór z wojewodziną

w czasie burzy i gromów. Ławy dokoła służyły przychodniom do spoczynku, jeżeli ich wojewoda zaraz przyjąć nie mógł.

Po dwu wschodach wniście stąd prowadziło do sypialni wojewody, która była też jego kancelarya. Łóżka tam, nad które skromniejszego mnichby mieć nie mógł, prawie widać nie było i nic coby do wygody służyć mogło. Stół z księgami; szafy z papierami, para obrazów pobożnych, szeroki komin w kącie i najulubieńsza broń wojewody całą izbę zajmowały. Z okna widać było okolicę daleko i gościniec, który dawniej jedynym był do Rochowa ze świata wiodącym.

Druga izba podobna, do której wchód był z sali zbrojami obwieszanej, służyła pisarzom wojewody, których zawsze pod ręką miewał kilku. Tu krom stołu, polic z księgami, metrykami, do których wpisywano listy i akty, nie było nic prawie. Wojewoda gdy z sypialni w ścianę zapukał, mógł mieć zawsze na podorędziu pisarka, bo tam siedziało ich kilku, po całych dniach listy wyprawując.

Drzwi żelazne z komnaty pańskiej prowadziły do skarbczyka, od którego klucz sam tylko wojewoda miewał, a mało tam kto oprócz niego wchodził. W nim stały skrzynie z warami i co najdroższe dokumenta i klejnoty, rzędy, a co było w domu kosztowności, których mało kiedy używano.

To były główne komnaty obszernego domostwa, w którym się mnoga służba, goście, rezydenci i czeladź mieściła, nie pożądamy wygod wielkich.

Z tych czasów gdy jeszcze zamek w oblężeniu bywał, albo go się mógł obawiać, w jednej ze starych baszt narożnych, urządzona znajdowała się kaplica. W obyczaju jednak było popolitym, osobnego sobie nabożeństwa zamkowego nie sprawiać, a wspólnie z innym parafianami i ludem się modlić; w dniu więc nawet słotne i wietrzne jechał lub szedł pan wojewoda do miasteczka, do kościoła przy probostwie, i tam ze dworem swym mszy słuchał a obrzędom był przytomnym. Miała rodzina pańska tylko ławę osobno przed ołtarzem, do której proboszcz zwykle z patyną przychodził. Jeszcze przed objęciem Rochowa przez teraźniejszego posiadacza kapliczka w baszcie z tego powodu zaniedbaną została. Bardzo w niej rzadko odbywało się nabożeństwo, krom jednego dnia w roku, w lipcu na św. Wawrzyńca, który był patronem zamkowym. Utrzymywał się tu ołtarz zawsze i trochę sprzętu, a burgrabia przewietrzył starą kaplicę, w której się czasem kto, gdy stała otworem, pomodlił.

Zimą i latem porządek był na zamku ściśle zachowywany i zegarem mierzony. Wszystko

godziny swe miało oznaczone, od których nigdy nie odstępowano, i każdy też z ludzi dworskich zajęcie miał właściwe, i dozór nad nimi pilny odbywała starszyzna. Dlatego choć się ludem roił zamek, gdy z niego się to wysypało wszystko, w dni pustym się niemal wydawał, bo każdy był na swem miejscu i przy swej robocie.

Rodzina pana wojewody składała się wówczas z niego, żony, świętej słabego zdrowia niewiasty, i z syna, którego był, prawie mimo woli swej, za granicę dla nauki odprawił. Pobudką mu do tego był rodzony brat, pisarz koronny, człowiek wcale odmiennego charakteru i usposobienia od pana wojewody, tak że w nich trudno było rodzeństwo rozpoznać. Wojewoda surowym był, poważnym i ścisłym w spełnianiu obowiązków od młodości—mało mownym a czynnym. Brat jego starszy, pan pisarz, zdolniejszym się zdał, żywszym daleko, ruchliwym wielce, umysłu bystrego; — lecz mu na cnotach i statku braterskim wcale zbywało. A choć porównania między dwu uczynić nawet nie godziło się, tak dalece młodszy przewyższał rozumem i powagą starszego brata — rzecz dziwna, starszy ruchawym umysłem, wymową i siłą woli wielki wpływ na wojewodę wywierał. Opierał mu się zawsze z razu dziedzic Rochowa, a no w końcu przekonany

a raczej zahukany ulegał. Przyczyniało się do tego nie mało i to pojęcie a przekonanie, iż pan pisarz głową był domu i rodu, której pewne posłuszeństwo i akomodowanie się należało.

Dobra pana pisarza, niegdyś jedność z Rochowem składające, ciągnęły się więcej ku Mazowszu, a stolicą ich było Zalesie Rochowskie, miasteczko ze dworem nowszym, który już pan pisarz sam sobie wystawił i przestawiał bez końca. Niecierpliwy a nowostek zawsze jakichś pragnący, pisarz budował i walił, nie mogąc się wydziwić bratu, iż w nieporuszonem prawie starem zamczysku mógł wymieszkać.

Pisarz wdowcem był bezdzielnym, co mu też pewną przewagę i wpływ dawało w Rochowie, gdy szło zwłaszcza o wojewodzica, bo wedle wszelkiego podobieństwa miał on być spadkobiercą i po nim, a jedyną rodu głową. Nie można było wprawdzie zawierzyć pisarzowi, ażeby się jeszcze nie ożenił; szczęściem tak częste czynił i zmieniał plany, zawiązywał i zrywał umowy, że do lat pięćdziesięciu pięciu nie powtórzywszy związków małżeńskich, trudno już, by się miał o siwych włosach kusić na nie. Jak umysłem tak ciałem, pan pisarz był w nieustannym ruchu i było go widać raz na dworze króla, to na wsi, to po

województwie przejeżdżającego się, ba nawet pozagranice Rzeczypospolitej. Ale jak prędko do serca brał każdą rzecz i zachciewał nowości, tak też rychło ją sobie obrzydzał. Niestalszego umysłu trudno było wyobrazić sobie. Niemal za każdym nowem widzeniem wojewoda znajdował go innym, coraz odmiennym i to co wczoraj miłował, dziś już poniewierającym. Najlepszego serca, łacnym był do czynienia dobrego i szczodrym do zbytku; gniewał się prędko, gwałtownie, przebaczał potem chętnie i sam z gniewu własnego się wyśmiewał.

Z tego to brata namowy gorącej, gdy oba dwory królewskie Zygmunta Starego i następcy jego cudzoziemcami przepełnione były, a młodź się do Włoch i Niemiec rwała po naukę i polor obyczajów — wojewoda też zgodził się na wysłanie syna jedynaka, aby się w świecie przetaił. Ale obawiając się zbytków i rozpusty na włoskich książęcych dworach, posłał go do Niemiec tylko i zalecił do nauk przykładać.

Pisarz to bardzo pochwalał, ciekaw i on był nowinek religijnych jak innych i z apostołami nowej nauki chętnie biesiadował, rozprawiał, często nawet się godził w rzeczach wielu; jednak gdy przyszło z kościołem zerwać i pójść na manowce, stanowczo się zapierając starej wiary, pisarz się cofał i temperyzował,

tak jak bardzo wielu naówczas z wyższego duchowieństwa i panów, którzy z protestantami sympatyzować się zdawali, przecież za nimi zadaleko pójść nie chcieli.

Wojewoda był prawowiernym i ani słuchać nie chciał o nowinach żadnych, pobożną niezmiernie wojewodzina, a do tego kąta kraju zapadłego i cichego ówczesne prądy wcale się jeszcze nie zakradły.

Staruszek proboszcz rochowski, który wiele czytał a przeżył też nie mało, wesołym umysłem patrzył na to, co innych przestraszało. Nowe herezye wydawały mu się zawsze starych naśladowaniem albo przedłużeniem, więc w nich niebezpieczeństwa nie widział i lekce sobie ważył. Nawet kiedy go porywczy pan pisarz na dysputę wyzwał, odpowiadał mu więcej żartami niż poważnie, zbywając go lada czem.

Poza granicami Rochowa było pomniejszej szlachty dosyć, siedzącej na dwu i na jednej wiosce, a rodziny te wszystkie od wieków nawykłe były do klienteli Rochitów się liczyć. Pomiedzy nimi a wojewodą i pisarzem stosunek był patryarchalny, mało co odmienny od tego, który łączył wieśniaków, na ziemiach wojewodzinińskich siedzących, ze dworem. Szlachta ta na zawołanie zawsze stanąć gotową była, w dnie uroczyste napełniała

podwórze i sale zamkowe, z niej się składała przyboczna straż, dwór, i wszystko co wojewodę otaczało. Córki szły do fraucymeru wojewodzinej, sprawiano im wesela na zamku, do chrztu dzieci trzymał wojewoda, a uchowaj Boże nieszczęścia, jak w dym do niego szli wszyscy po radę, pomoc, pożyczkę lub protekcję. Promień tego wpływu wojewody i pisarza sięgał bardzo daleko, o mil dziesięć i więcej szlachta się czuła dla nich do akomodowania obowiązana. W sprawach kraju nie postanawiało tutejsze rycerstwo nic, póki by się w Rochowie zebrawszy nie naradziło i języka nie wzięło.

Stan ten społeczeństwa wiekami wyrobiony był wiekowi właściwym, — i choć na oko zdawać mógł się podług dzisiejszej miary niewolą, dawał w Rzeczypospolitej, mimo to zerwanej i szarpanej różnymi prądami, pewną spójnię i jedność, grupował ludzi, wyrabiał karność i siły. Do samoistności mało kto się wówczas poczuwał i był usposobionym, należało więc mieć się czego trzymać i wiedzieć, w jaką iść drogę. Cały tedy ów ką, można rzec, zostawał pod rozkazami pana wojewody, z pod których nikt wyłamywać się dotąd nie myślał.

Dopiero od lat kilku zawitały tu niespodziane wcale zdań różnice, które stary pokój

zakłóciły. Nie dawały się one jednak czuć tu tak bardzo, jak w okolicach Zalesia Rochowskiego, u pana pisarza. Nieopatrny ten człek, który łatwo się ludziom umiejącym wygadać dawał powodować, sprowadził tu był naprzód prześladowanego przez duchowieństwo w Krakowskiem człowieczka, któremu dał małe u siebie probostwo i przytułek. Z razu cicho siedział przybysz, rad że kawałka chleba dostał, ale to nie trwało długo. Wkrótce począł intrygować na innych sąsiednich księży, donosić o różnych nadużyciach, poduszczać przeciwko nim ich własnych parafian, jątrzyć pana pisarza — i tak zawzięła się tu wojna, która miała większe niż się spodziewać było można następstwa. Nie ulegało już wątpliwości, iż ów Zaranek należał do jednej z sekt jakie się wówczas rodziły łatwo i mnożyły wszędzie. Sprowadził on sobie zaraz koadjutora; a że im małej wiejskiej parafii nie starczyło, przyszło do tego, że namówiwszy ludzi, siłą a mocą kościół parafialny w Zalesiu zajęli, księdza z niego wyrzucili, obrazy i ołtarze wyrugowali i nowe swe nabożeństwo instalowali. Dowiedział się o tem pan pisarz zapóźno, a gdy na miejsce przybył, tak go obejść umiano, iż pod pozorem wolności sumienia, gwałt sumieniem zadać dozwolił i nowochrześcianom dał się przy parafii utrzymać. Nie pozostawało

tym co się z dawną w sercach wiarą zachowali, jak szukać sobie jakiegoś przytułku. Wystawiono więc na prędce szopę za miastem, do której ksiądz staruszek z nabożeństwem wynieść się musiał.

Wojewoda gdy się o tych wypadkach dowiedział, słał do brata, a później sam do niego umyślnie jechał, aby plagę tę odwrócić; lecz zastał pana pisarza tak opętanego wymową i zręcznymi argumentami Zaranka, iż przerażony kacerstwem, zgryziony, uciekł z jego domu nic nie sprawiwszy.

Popędził w ślad pisarz za bratem, aby go przejednać, tłumacząc mu się ze swojego postępowania tem, iż wolę parafian i sumienia ich szanował; a że człowiek był w gruncie dobry, choć słaby, zaklęciami i łzami wojewodę złamał i zgoda w rodzeństwie nie została zachwianą. Na jedno tylko nie zgodził się Rochowski pan, to żeby Zaranek, jak pragnął, sam dla wytłumaczenia się do wojewody przybył. Zakazawszy najuroczyściej, aby noga jego na gruncie Rochowa nie powstała, a szlachcie opublikowawszy, żeby do kacerskich nabożeństw i nauk do Zalesia się nie udawała, zamknął się u siebie pan wojewoda.

Łatwiej mu wszakże było w Rochowie się odgrodzić od zarazy, niżeli jej między panów braci nie puścić. Łaknęły umysły nowości tych,

o których prawiono wiele; ten i ów nie myśląc wcale o złem, przez prostą ciekawość się wykradzał cichaczem na nabożeństwo do Zalesia. Tu łatwa wymowa Zaranka i piękne pozory, którymi barwił sprawę swoją, działały nieznacznie, lecz skutecznie. Podobało się to ludziom, że niby oni świat oczyszczać mieli, a nowości im barwiono jakby były do starych tradycyi powrotem. Nieznacznie więc mnożyli się adherenci i skutek był widoczny, bo nie w jednej rodzinie ojciec się z synem a brat z bratem i mąż z żoną nie rozumiał. Co jedno wyśmiewało, drugie czciło... i pokój domowy a zgoda precz poszły.

Do Rochowa tylko to zło nie zawitało, bo tu straż była pilna, — a gdy kto słówkiem zaczepił o sprawę, która wojewodzie na sercu leżała, już drugi raz, wzięwszy odprawę, pokazać się tu nie śmiał.

Na zamku stary obyczaj panował, pilnowała go wojewodzina sama, stróżem był i wojewoda, wiarę w sercu mając głęboką, chociaż nigdy on z nią chwalić i popisywać się nie lubił a w rozprawy żadne nie wdawał.

Wojewodzina ze znacznego była domu pańów Gorków i miała tę boleść, iż we własnej rodzinie dożyła odszczepieństwa; dlaczego, kochając ją wielce, zerwać z nią była zmuszoną. Gdy jej to wyrzucali krewni, odpowiadała

cicho: Zerwaliście wy z Bogiem ojców waszych, możeż ja pozostać z wami?

Niewiasta była z natury łagodna i miłosierna, lecz coś z surowości męża odbiło się na niej; przez niego poznała, iż są wypadki, w których pobłażać się nie godzi. Jak on tak ona była najpracowitszą służebnicą swego domu, bo na pracy i modlitwie dzień dla niej i część nocy schodziła. Miłość dla męża i przywiązanie do dziecięcia starczyły jej na zapełnianie życia—a niktby powiedzieć nie umiał, które z tych uczuć w sercu jej przemagało. Dla ojca wprawdzie musiała nieraz okaz miłości ku synowi poświęcić, lecz ona nienaruszoną i całą pozostawała w niej, acz utajoną i poskromioną. Wiele lez kosztowało jej wyprawienie jedyne go dziecięcia za granicę, które i dlatego ojciec wysyłał, aby go macierzyńskie pieczyoty zbyt nie popsuly. W ciągłym niepokoju o losy ukochanego syna przeżyła wojewodzina lata pobytu jego za granicą, lecz starała się nie okazywać tego po sobie. Wola męża była dla niej święta. Wiadomości od Janusza przychodziły rzadko i to urzędowe rzecz można, w listach, w których donosił ogólnymi wyrazy o zdrowiu i powodzeniu. Listami tymi musiała zadawałniać się matka. Gdy jej ostatni przynosił wojewoda, zostawiała go na stole, lub wkładała w książkę od nabożeństwa

i odczytywała tak długo, aż nie nadszedł nowy. Naówczas składała go do akt swoich serdecznych...

Lecz oprócz tych wiadomości miał wojewoda swoje sekretne, na które grosza nie żałował. Wstręt w nim obudzało szpiegowanie dziecięcia i ten rodzaj nieufności względem niego; powiedział jednak sobie, iż czuwać nad synem było obowiązkiem. Nie wiedział bynajmniej Janusz, jak pilne nań miano oko.

Dobraný do tej smutnej funkcji człowiek, mieszczanin z Krakowa, rodem Niemiec, siedział w Wittenberdze i donosił regularnie, co się z wojewodziec działo. Z początku jednak sługa ten wahał się pisać na co patrzył, wiedząc, jakie to uczyni na wojewodzie wrażenie. Nie było w jego listach nic o Hennichenie i jego córce, ani o zwróceniu się Janusza ku religijnym nowostkom. Późno dopiero, gdy już na oboje nie było lekarstwa, doniósł nadzorca co się stało, a wojewoda gwałtownie zaczął się domagać powrotu. Zdaje się, że w listach swych Niemiec nigdy całej nie objawił prawdy; odkrył tylko z niej coś, lękając się dumy wojewody obrazić. Było tego aż nadto dosyć, by powrót przyspieszyć.

Z własnego już natchnienia wyjechał podstarości, dla przekonania się w miejscu, jak rzeczy stały; a powróciwszy do Rochowa,

o podróży swej androny prawil, aby nie dozwolić się domyślić, gdzie istotnie bywał i po co. Wojewoda, który go dosyć lubił a nie podejrzewał nigdy o fałsz, kogo na nim nie złapał, nie bardzo się dopytywał o przygody.

Z dnia na dzień, obliczając godziny, oczekiwano w Rochowie przybycia wojewodzica. Wahał się stanowczo matce przyobiegać powrót dziecka pan wojewoda, ale jej zapowiedział, iż się wielce spodziewa rychłego przyjazdu syna.

Po długiej niebytności, gdyż Janusz wprzód był inne zwiedził Niemiec części, a w samej Wittenberdze więcej roku gościł, wojewodzina nie okazując tego po sobie, z najżywszym niepokojem syna umiłowanego wyglądała. Nie przyznając się do tego czekała go co dnia, obiecywała sobie co wieczora, widziała go w każdym tumanie na gościńcu, słyszała w każdym tentencie konia. Wojewoda tak samo krył w sobie niepokój i wesołość odegrywał, o ile on kiedy mógł być wesołym. Oboje unikał mowy o dziecku, choć tylko o niem myśleli.

Na zamku było jakoś pusto, nikogo oprócz domowników, i życie płynęło trybem zwyczajnym, nie postrzeżone, na pozór powolne, w istocie z przerażającym pośpiechem, jaki jednostajność rodzi.

Jesienne słońce zapadało za lasy, gdy na gościńcu tuman kurzawy się ukazał.

VII.

Wojewoda stał w oknie sypialni i patrzył zamyślony na gościniec — tą drogą spodziewał się widzieć przybywającego syna, którego przyjazdu pożądał i obawiał się zarówno. Byłżeby to on? rzekł w duchu, patrząc na kłęby pyłu, które wiatr zachodni zwijał i ku górze jak obłok dymu unosił.

Mimowolnie, wedle obyczaju starego, zaczął się modlić, krzepiąc ducha. Nie wiedząc wszystkich przygód syna, wiedział już dosyć by się domyślać, że z drogi, na jakiej widzieć go pragnął, wyboczył. Rozmyślał więc, jak mu postąpić należało, surowo czy łagodnie; i wahał się, bo kochał, — a w ostatku zdał wszystko na natchnienie, jakie mu Bóg ześle w chwili stanowczej. Nie widziany przez nikogo złożył ręce, spojrzął na wizerunek Ukrzyżowanego, westchnął i zdał się spokojny na Opatrzność.

Kurzawa na gościńcu zbliżała się i wśród niej trzech jezdnych rozpoznać już było można; właśnie tę liczbę, w jakiej Janusz miał przybyć, bo mu liczniejszego pocztu ojciec wzbierał i więcej go na żołnierza niż na wodza sposobił.

W istocie on to był, — z bijącym sercem zbliżał się ku staremu zamkowi i więcej strachu niż radości doznał, ujrawszy te mury.

Wspomnienie tylko matki uspokajało go i rzeźwiło, na myśl o niej żywiej biło mu serce. Zwolnili kroku koniom, choć Józiak się wrywał i oczyma łez pełnemi spoglądał na grodek Rochowski.

Byli jeszcze o dobry kawał drogi od niego, gdy ich już oczy wojewody i kilku ze dworu poznały. Podstarości, który trafunkiem na górnem piętrze w bramie się znajdował a miał wzrok doskonały, pierwszy zoczywszy przejeżdżających, zbiegł ze wschodów i nie obrachowując co czynił, do wojewodzinej pośpieszył.

Zastał ją siedzącą nad robótką, zamysloną tak, że go przybywającego nie posłyszała, z oczyma łez pełnemi. Gdy ujrzała podstarościego stojącego przed sobą, zawstydziła się i łez swych i zatopienia w myślach; prędko otarła oczy i uśmiechnęła mu się z za łez z dobrotliwym tym twarzy wyrazem, który umiała zachować przy największej nawet boleści.

Skłonił się nisko stary.

— Z czem przybywasz, mój przyjacielu? — zapytała nie domyślając się nic — czy cie wojewoda przysyła?

— Sam przybyłem i mam nadzieję, z wesołą

nowiną — rzekł podstarości ponawiając ukłon. Możem się omylił, lecz mi się zda, że nasz panicz... przybywa.

Na te słowa porwała się z siedzenia wojewodzina i padła na kolana u krzeszła, naprzód zaczynając od modlitwy. Wstała natychmiast drżąca, nie mogąc przemówić słowa i usiłując pohamować wzruszenie, które głos jej odbierało. Położyła rękę na namulanej dłoni podstarościego, cicho, złamanym głosem odzywając się:

— Gdzież jest? widziałeś go? gdzie? —

A czy jej szukały dokoła... jakby wnijsć miał.

— Poznałem panicza naszego i Józiaka na gościńcu, lada chwila tu być powinni.

Wojewodzina trzęsła się cała.

— Dałeś znać wojewodzie?

— Nie śmiałem, — rzekł podstarości — ani mi się godziło może, przyszedłem tu tylko.

— Bóg ci zapłać, dziękuję, mój stary — rzekła po cicho wojewodzina i siadła znowu nie mogąc się utrzymać na nogach.

Właśnie w tej chwili zatętniało w bramie. Janusz błady, z bijącym sercem wjeżdżał w nią, a pacholik wojewody poznawszy przybywających pobiegł do starego z oznajmieniem. Zastał go w pośrodku izby stojącego w milczeniu

Zimno przyjął nowinę i chłopca odprawiwszy

skinieniem. przechadzać się zaczął. We dworze całym widok Janusza radość wielką i zamieszanie wywołał. Powybiegali wszyscy witając, ale że się obawiano wojewody, nikt zbyt głośnymi oznakami nie objawił wesela. Twarze się tylko uśmiechały i rękami a czapkami witano.

U bramy zsiadł wojewodzie z konia i choć sobie serca dodawał, z niemalą obawą skierował się wprost ku mieszkaniu ojcowskiemu. Choć dziecięciu, niewolno było wniść nie oznajmiwszy się wprzód. Stał tedy wojewodzie pod owym wizerunkiem starym Chrystusa w sali żelaznej, a pacholik poszedł o nim opowiedzieć. Nie okazując najmniejszego poruszenia, wojewoda głosem spokojnym kazał synowi przyjść. Czekał nań w pośrodku komnaty stojąc. Twarz jego przybrała wyraz nadmiarę surowy, poważny i ostry — nie ojcem się stawił, ale jakby sędzią.

Janusz wszedł, stanął w progu, głowę schylił, kilka kroków do nieruchomego dotąd podszedł ojca i przykląkł schylając się do jego kolan.

Złym to było znakiem, iż ręki do pocałowania mu nie dał wojewoda, milczał.

— Dlaczegoś na pierwsze zawołanie nie przybył? — rzekł surowo i zimno.

— Chciałem się dłużej uczyć jeszcze, — wyjąknął Janusz.

— Posłuszeństwo nad naukę lepsze, — odezwał się ojciec.

— Jeślim zawinił, mimo mej woli, proszę o przebaczenie, — rzekł wojewodzie. Stary milczał.

— Wina jest większą niż się wam zdaje, — począł wojewoda, — władza rodzica jest zlaną od Boga, nieposłuszeństwo ojcu niczem, ale obraza Bożą grzechem. Także poczynasz waszmość życie?

Janusz spuściwszy oczy milczał.

— Rozmówimy się o tem dłużej swojego czasu — rzekł wojewoda — matce waszej przyczyniłoby to zbyt wiele boleści do niepokoju jakiego doznawała, gdybym surowym się, jak powinienem, okazał. Zostanie więc sprawa między nami dwoma, o czem nikt wiedzieć nie ma. Teraz idź waszność pozdrowić matkę i z nią razem wracaj tu, abyśmy przed obrazem Chrystusa, opiekuńczym domu naszego, podziękowali Bogu za powrót syna — acz marnotrawnego i nieposłuszeństwem skażonego.

To mówiąc coraz bardziej poruszonym głosem, wojewoda na drzwi wskazał. Ręka mu się trzęsła i głos także.

Janusz skłonił głowę, zwrócił się, wyszedł. Dopiero gdy się drzwi za nim zamknęły, stary odetchnął, jak gdyby wielki ciężar mu spadł z piersi, poszedł zwolna do okna i poczuwszy zimny pot na skroni, otarł go dłońmi obiema.

Od chwili, gdy jej podstarość o synu oznajmił, wojewodzina siedziała z oczyma spuszczo-
nemi w swem krześle, przejęta, przestraszona,
oczekująca. Szmer na zamku odbijał się w jej
sercu, oczy podnosiły ku wnijsciu. Długa, wie-
kami trwająca chwila przeszła, nim krok syna
pospieszny poznała w sali i załamała rękę,
usiłowała się powstrzymać, ale to było nad
siły jej i zerwawszy się z siedzenia wybiegła
do progu, właśnie gdy Janusz wchodził. Ukląkł
przed nią biedny ściskając jej kolana, ręce
matki objęły jego szyję i pocałunkami poczęła
okrywać głowę dziecięcia, nie mogąc przemówić
słowa. Łzy połykała tylko. Janusz się też jak
dziecię rozplakał. Po długim dopiero uścisku
puściła go, aby nań popatrzeć.

Jakże pięknym wydał się w oczach matki;
jak rozkwitłym, choć bladość jeszcze okrywała
twarz jego.

— Dziecko moje! Janek mój! — powta-
rzała. — Wszak pozdrowiłeś ojca?... wszak byłeś
u niego?

Z trwogą rzuciła to pytanie.

— Tak jest, odezwał się Janusz, rozkazał
mi przyjść tu i powrócić na modlitwę.

Z pośpiechem wojewodzina natychmiast
poruszyła się z miejsca, choć sił jej brakło
jeszcze i musiała się oprzeć na ramieniu syna.
Błada była i drżąca. Przesunęli się tak przez

wielkie sale i sień i weszli do sali żelaznej. Tu wojewoda oczekiwał na żonę, stojąc przed starym Chrystusa wizerunkiem.

Jak tylko weszła, wojewoda oboma kolanami padł na twardą posadzkę, obok niego zajęła miejsce matka, za nimi w tyle musiał ukłęknać Janusz. We drzwiach Józiak, który się zjawił na ucałowanie nóg państwa, kląkł przy progu. Sam wojewoda począł modlitwę dziękczynną głośną.

Janusz, który nawykł był wszelkie tego rodzaju obrzędy religijne uważać za bałwochwalstwo, który nie jeden raz głośno się zarzekal, iż nic podobnego więcej nie popełni, zawahał się wprawdzie chwilę małą, czy mu nie przystało tuż zaraz walkę stoczyć o modlitwę, — lecz widok matki, dla której byłoby to ciosem śmiertelnym, wstrzymał go, kląkł po cichu. Sumienie tłumaczyło, iż siebie wystawić mógł na zemstę ojca, lecz matki na męczarnie narażać nie miał prawa.

Zaczęła się po tem litania dosyć długa. Na nabożeństwie tem mieli czas w duchu uspokoić się wszyscy: surowy ojciec, trwożliwa matka, Janusz nawet, który tu walkę widząc nie wczesną, na inny ją czas odłożyć był zmuszony; wzdrygała się kłamstwu dusza młoda, eierpiał, widok matki zbolalej był jego uniewinnieniem.

Powstał na ostatku wojewoda i wejrząwszy tylko na syna, rękę podał żonie, prowadząc ją nazad do jej mieszkania. Kilku słowy powołał za sobą Janusza, który poszedł posłuszny.

Pierwsza ta rozmowa byłaby może dość trudną się dla wszystkich stała, gdyby szczęśliwy los nie przyniósł na tę chwilę proboszcza.

Przyjazd jedynaka w mgnieniu oka od zamku rozszedł się z ust do ust podawany, na miasteczko.

Proboszcz właśnie z pacierzy w kościele odmawianych powracał, gdy mu chłopak znać dał o tem; a że do całego domu przywiązanym był staruszek i Janusza dziecinę jeszcze ukochał, więc jak stał przybiegł rodzicom powinnować, a młodego pobłogosławić.

Starowina był tak pogodnego oblicza, jakby w życiu karmił się tylko pogodą i spokojem. Wypelzła głowa, resztką białuchnych włosów otoczona, śmiała się dobrocią i miłością przez dwoje oczu siwych a jasnych. Usta miał młode i twarz rumianą, choć zgarbiony w pól chodził pod ciężarem lat blisko osiemdziesięciu. Wojewodzina szanowała go jak ojca, mniej może lubił sam wojewoda, który go za łagodnym i za pobłażającym uważał, ale w nim duchownego szanował. Staruszek stał pokornie w sieni i przechodzących dopiero powitał eichemi słowy.

Janusz, którego on był pierwszym a najulubieńszym nauczycielem, pobiegł doń żywo i począł ścisnąć z uczuciem wielkiem.

— A jakżeś to wyrósł! wojewodzicu kochany, na niemieckim tym chlebie, o mój Boże! was mu się sypie!

I płakał staruszek. Podał mu rękę Janusz prowadząc za rodzicami. Wszyscy tak razem weszli, milcząc prawie, do pokoju wojewodzinej. Wskazał wojewoda krzesło księdzu, ale Januszowi siąść ani było można zamarzyć. Pozostał przy drzwiach wedle obyczaju, dopóki się wojewodzie nie zdało kazać mu zająć miejsce i to, jak zwykle, opodal od starszych, u drzwi.

Ani się też mógł sam pierwszy odezwać przybyły, a powinien był czekać, aż go wezwą do mówienia. Litując się nad jego położeniem sam wojewoda, który jednak unikał spojrzenia nań i zbliżania się, spytał go pierwszy, jak podróż odbył i kędy jechał.

Musiał się więc przyznać Janusz, iż na Kraków drogę kierował w nadziei, że tam ojca zastanie i prędzej mu submitować się będzie; opowiedział też o spotkaniu z kasztelanem Jeremim, ale Niemca zataił, wcale o nim nie wspomniawszy. Drugi to już raz od przybycia swojego czuł się w walce z sumieniem i prawdą i upokorzonym.

Staruszek ksiądz zadał kilka pytań o Krakowie i co było słyhać o królu, który podówczas się nie znajdował w stolicy; matka wtrąciła coś o życiu w Niemczech i na obcych krajach. Tak przeszła chwila do wieczerzy, którą zwykle jadano w wielkiej sali pierwszej, bo co było przedniejszego u dworu, z państwem prosty ich stół dzieliło.

Wyszła wojewodzina z mężem, zaproszono proboszcza. Nakryty był stół na osób przeszło dwadzieścia. Wszyscy już szeregiem stojąc oczekiwali na państwo.

Po jednej stronie nieliczny fraucymer wojewodzinej z *panią starszą* na czele, po drugiej mężczyźni, wedle wieku i obowiązków do szarego ustawieni konca. Tu stał podstarość i kilku siwych, a na ostatku młodzież szlachecka, która przy kancelaryi służyła. Dworzanie zajęli miejsca za krzesłami państwa.

Misy już cynowe, bo na powszedni dzień innych nie używano, stały na stole. Większa część dworu łyżki zapasne miała z sobą, tylko województwu obojgu i kilku osobom przygotowano je na tuwalniach przy talerzach. Noże też nosili wówczas wszyscy, a widelce, tylko co były z Włoch sprowadzone, rozpowszechniać się zaczęły i w powszechnem nie były użyciu. Podano miednik i nalewki z wodą, a tuwalnie do rąk otarcia; ale wprzód jeszcze ksiądz stół pobłogosławił.

Już byli tedy wszyscy do polewki w milczeniu zasiedli, bo przy stole jak w kościele pospolitego czasu zachowywano wielkie *decorum* szanując dary boże, gdy rumor się stał około bramy i głosy donośne słyszeć się dały, z jakimi mało kto na zamek wjeżdzać się ośmielał.

Zmarszczywszy brew podniósł wojewoda głowę, przysłuchując się wrzawie niezwyklej, i na podstarościęgo skinął, ażeby szedł zobaczyć, co się tam stać mogło; chociaż domyślał się poniekąd przybycia starszego brata, bo ten jeden miał odwagę domu wojewody nie poszanować, a cicho się nigdy sprawić nie umiał.

Podstarości łyżkę rzuciwszy, już miał wstać, gdy przeciwnemi drzwiami ukazała się w istocie znana postać pana pisarza. Wchodził już, ledwie opończę zrzuciwszy, w obłożonych od konia butach, szablą pobrzękując, czapką trzęsącą, śmiejąc się i witając razem. A był mężczyzna rozrosły, ogromny, karku grubego, twarzy rozlanej a szerokiej, z podbródkami trzema, spasy i oblicza dziwnie wesołego, choć już wiek mu i głowę posrebrzył i wąsy pobielil.

Na widok jego wojewoda wstał, podniosła się gospodyni, ruszył Janusz i poczęli go wszyscy witać z respektem, jaki głowie domu

należał. Spojrzawszy z uśmiechem na Janusza, którego bardzo lubił, poszedł pan pisarz do ręki bratowej, wyściskał wojewodę, a potem wojewodzica ująwszy w pół rękami silnemi, niemal go od ziemi podniósł, aby mu lepiej spojrzeć w oczy.

— Kiedyżeś to, ty pątniku mój, z peregrynacyi swej powrócił? — zawołał, żeśmy o tobie nawet nie słyszeli.

— Przed godziną — odezwał się Janusz...

— To chyba! siadając podle niego począł pan pisarz. — Powiniennem też to być poznać po uśmiechniętej twarzy wojewodziny JMości i wczas się widzę przedstawiłem tu, przeczuciem jakimś, aby też waści powitać.

— Bardzo wczas — wtrącił wojewoda poważnie, — jeśli pan brat chciałeś go widzieć i pobłogosławić, bo mu tu długo popasać nie dam.

Wszyscy spojrzeli zdziwieni wielce na wojewodę, i znać się to na twarzach malowało, gdyż ojciec dodał zaraz:

— Tak ci jest, jako mówię.

— Ledwieście go doczekali! — zawołał pisarz.

Matka blada w talerz patrzała.

— I właśnie przeto, że się przypóźnił, to mu tu popasać już nie można. Ustąpiłem rądom ludzkim iżem go słał za granicę; muszę

być też posłuszny obyczajowi i prawu, a pocać z niego rycerza robić, gdy dotąd móla zeń tylko czyniono. Któryż to z nas, panie bracie, we dwudziestu skończonych leciech jeszcze w polu nie bywał? Słyszana to rzecz? pierwsze pole tak późno? A kiedyż żołnierskiej a rycerskiej sprawy się nauczy?

— Ja bo nie widzę, dlaczegooby koniecznie rycerzem miał być — odparł pisarz.

— A czemże? Wszak do stanu duchownego powołania nie miał, więc szlachcic coby miał poczynać? Nie zostaje mu nic, ino wojny się uczyć, papieru dosyć najadłszy.

Pisarz ramionami zżymnął.

— Ono to tak bywało, — odezwał się, — ale czasy zmienne, inaczej teraz ludzie się pracą dzielą. Niekoniecznie każdy szablą ma wojować.

— A od czegoż szlachcicem jest i tarczę ma? czy dlatego by za nią siedział z pergaminem w rękę? Ja stary czcę obyczaj! Książki duchownym zostawić, świecki musi żołnierzem być, dopóki na koniu usiedzi. Tak bywało i tak być musi, chcemyli być cali.

Tak mówił wojewoda i nikt mu już naganiać tego nie śmiał — tylko matka spojrzała na syna i westchnęła.

— Ano i wojny niema — odezwał się pisarz.

— Znajdzie się ona zawsze, ku Dzikim Polom wyjechawszy — dodał wojewoda — na kresach; a gdyby wojny nie było, to są przecie czaty.

Postanowienie to ojcowskie dziwnie się w uszach Janusza odbiło, lecz słowa za sobą rzec nie mógł; któżby się śmiał naówczas głowie rodziny sprzeciwić lub nawet odpowiedzieć.

— Ja myślałem, że go do kancelaryi królewskiej damy, — odezwał się pisarz.

— Aby zniewieściał za stołem — przerwał wojewoda żywo. — Szanuję króla i dwór jego, ale mi się tam szkoła zda nie wyśmienita pod te czasy, lepsza w obozie.

Na tem rozmowa się przerwała, gdyż pisarz wobec całej dworni siedzącej u stołu przedłużać jej nie chciał. Wszystko co otaczało stół, więcej pono oczyma wojewodzica jadło niż wieczerzę. Kobiety i pani starsza z ciekawością się przypatrywały trochę niewieściej piękności panicza, mężczyźni wychylali głowy, aby go lepiej widzieć mogli; goniły go uśmiechy i nieme powitania starszych znajomych.

Tak krótka zeszła wieczerza, po której gdy znowu nastąpiła modlitwa i dworzanie nalewki i miednice przynieśli z tawalniami dla państwa i dostojniejszych gości, reszta

biesiadników pożegnawszy się wyszła, a pisarz i wojewoda odprowadzili wraz z Januszem gospodynię do jej komnaty.

Tu też nie długa była zabawa, bo pan pisarz zmęczony drogą poziewał i wojewoda znak dał do rozejścia. Chciał przybyły pociągnąć z sobą do wyznaczonej izby Janusza, lecz wojewoda coś szepnął i sam mu towarzyszył. Chciała pewnie i matka poufnej, dłuższej, sam na sam z synem rozmowy i łaknęła jej, lecz rozkaz wojewody był wszechmocny, a ten mu iść na wypoczynek polecił.

Podstarości już czekał w pierwszej izbie na Janusza, aby mu nowe jego ukazał mieszkanie. To które on wprzód zajmował, zajęte było, a że bez dyspozycyi wojewody nic się nie działo, on też sam i mieszkanie synowi wyznaczył. Zdziwili się wszyscy posłyszawszy o niem, lecz ktoby się był ważył sprzeciwić.

W obszernej bramie, którą żołnierz nadworny zajmował, były na piętrze dwie izby opuszczone, niegdyś za więzienie pono służące, ponure, wilgotne, zimne i niewygodne a zniesławione od wieku.

Przed powrotem wojewodzica zawołał był burgrabiego sam pan, zapytał o ową *kunę*, bo ją tak zwano, i przykazał wymyć i wybielić, dwa tapczany postawić, stół, ławę a co

było potrzeba, aby tam mógł człowiek wymieszkać. Nikt się zrazu nie domyślał, dla kogo kuna służyć miała, aniby kto śmiał przypuszczać iż dla wojewodzica. Była w tem wyraźna wola ojca, aby młodego upokorzyć i wypróbować, a może rozpuszczonego na swobodzie srogim rozkazem do karności znowu nałożyć.

Zdziwił się Józiak, gdy do zdjęcia juk przyszło a o izbę zapytał, że mu ową kunę wskazano, bo już burgrabia rozkazy miał. Opierać się ani powoływać do wojewody nie było sposobu.

Szepnęła o tem pani starsza jejmości; pobladła matka, lecz do męża iść nie śmiała, wiedząc że rozkazów nie zmieni, w pierwszej przynajmniej chwili i właśnie dlatego że go o to naglono. Był to i dla wojewodzinej znak, że na syna ojciec był gniewnym, co zresztą z całego z nim obejścia czytała. Trzeba było uczynić co przykazano.

Gdy podstarości szepnął na ucho Januszowi o kunie, — zarumienił się chłopak, krew mu uderzyła ku skroniom, ale chwili się nie zastanawiając poszedł milczący.

Patrzali za nim dworscy zdala z politowaniem. Nie tyle było niewygody co upokorzenia przed ludźmi. Józiak znosząc tłómoki płakał i rękawem lzy ocierał.

W milczeniu przebiegł Janusz stare a czarne wschody wiodące na piętro i wszedł do izb przeznaczonych, w których już pościel zastał zaslaną, a Józka na stołku u progu, przybitego tą niedolą.

Surowość ojcowska, co złamać miała Janusza, podniosła go — rzekł sobie w duchu, iż ją zniesie, ale się nie ugnie. Dopóki żał mu było rodzica, pokornym się czuł wobec niego; w tej chwili tryumfującemu już do zbytku nad jego słabością — postanowił się oprzeć. Nie było mowy o buncie przeciwko władzy, ale o wytrwaniu biernem na duchu.

Rzucił się jak stał na posłanie. Józkiak się zbliżył chcąc coś rzec, ale mu ręką wskazał tylko, by odszedł.

Ze spartańską, umyślną prostotą izby były wyporządzone; sam wojewoda tego dnia rano potajemnie chodził je oglądać. Sprzęt był od siekiery i ledwie to co pierwsze potrzeby zaspokoić mogło. Nad głowami łoża tylko Józkiak przybił obrazek, palmę i gromnicę.

Dowiedziawszy się od Dubrowinej, którą panią starszą nazywano, bo nad fraucymerem miała zwierzchność, o naznaczeniu kuny dla syna, wojewodzina załamała rękę, pobladła, ale nie rzekła słowa. Poprosiła ją tylko z cicha, aby jej znać dała, gdy wojewoda odprowadziwszy pana pisarza do swojej sypialni powróci.

Nie upłynęło pół godziny, gdy Dubrowina przyszła z oznajmieniem, iż wojewoda poszedł do siebie. Wziąwszy tedy lichtarz ze świecą, wojewodzina przeżegnała się i puściła niespokojna przez sale ku mieszkaniu mężowskiemu.

W sali żelaznej otwierające się drzwi posłyszawszy wojewoda, który może odwiedzin się tych spodziewał, przemknął nieco swoje, aby zobaczyć, kto przychodzi w tej porze, a ujrawszy żonę niespokojny ku niej pospieszył.

Zeszli się więc tak właśnie na pół komnaty przed obrazem Ukrzyżowanego, około którego nikt nie przechodził żeby mu czci nie oddał, Wojewodzina przyklęła chwilę.

— Moja Moniusiu — łagodnym głosem ozwał się wojewoda poruszony — cóż cię tu sprowadza? Potrzebujesz spoczynku, a ja uspokojenia.

Właśnie stali w progu sypialni, kiedy tych słów domawiał. Wojewodzina uknęła przed nim i wyciągnęła ręce.

— Panie mój! — zawołała — co ci dziecię zawiniło, że je karzesz nie tak na ciele, jako na duszy, wobec obcych i swoich? Jedyńy nasz powraca, a ty go jakby do więzienia ślesz. Jeśli winien, ja, matka przychodzę cię przebłagać za niego. Miły mój, co się stało?

— Moniko kochana — poważnie rzekł

wojewoda — nic się nie stało, ani to jest karą co ci się nią wydaje, a może próbą jest i potrzebną. Gdybyśmy córki mieli, pewniebym ci prowadzenie ich zostawił. O syna się upominam. Hartu mu potrzeba i charakteru, niech niewieściuchem nie rośnie. Co w was cnotą jest, to w nas byłoby słabością i błędem. Cóż się stało, iżem go jako żołnierza wsadził między żołnierze? Przecież nie zachoruje od tego.

— Panie mój, mężu mój — słabym głosem poczęła wojewodzina spierając się o stół, bo chwiała się z obawy i wzruszenia — czyż myślisz, że serce matki lada czem uspokoić potrafisz! Gdyby miał łaskę u ciebie, inaczejbyś go przyjął. Ja czuję gniew twój i truchleję.

Wojewoda milczał długo.

— Mylisz się, nazywając to gniewem. Serce ojca nie zna gniewu na dziecię; ale surowem być musi, choćby krwawemi łzy to oplakało. Uspokój się, moja dobra Moniko; kocham go, ale im mocniej przywiązany doń jestem, tem mniej pobłażającym być mogę. Niech dwa dni tam przemieszka, a inne mu się znajdzie pomieszczenie. Spróbować go trzeba.

Wojewodzina już słów nie mogąc znaleźć, złożyła ręce i modliła się tak postawą do

nieubłaganego ojca, który pozostał zimnym i surowym.

— Idź, moja Moniko, spocznij i bądź spokojna, ojcem jestem.

Znając męża nie śmiała już głosu podnieść biedna kobieta; ujęła więc przyniesiony świecznik i zabierała się odejść, gdy wojewoda przystąpiwszy do niej, w rękę a potem pocałował ją w czoło i zwolna przeprowadził aż za sień pustą.

W sali czekała Dubrowina, popatrzała na panią swą, o nic pytać nie śmiała ani potrzebowała, z twarzy jej czytała, że z niczem wracała nie pocieszona.

Można to było prawie przepowiedzieć zawczasu, gdyż wojewoda nigdy od żadnego z postanowień swych odstępować nie był zwykły.

VII.

Jak na wszystko w Rochowie, tak na ranne wstawanie postanowione były zimą i latem godziny. Stosował się do nich pierwszy sam wojewoda; a jak opóźnić się nikomu nie godziło, tak też uprzędzić chwilę pobudki nie było wolno bez przyczyny.

Stosowali się i obcy mniej więcej do obyczaju dworu. Dzień się poczynał wczesnie, a kończył też z nocą prawie nadchodzącą; przed północą wszystko spało, przed brzaskiem

się budziło. Jeden tylko pan pisarz, ilekroć bywał w Rochowie, jak to był człowiek samowolny i życia wielce nieregularnego, bo czasem we dnie sypiał a po nocach światło u niego gorzało, — nie stosował się do zwyczajów wojewody. Nie śmiano mu nic rzec. Następnego dnia nie zdziwił się też nikt, gdy go ujrzano w kożuchu, bo poranek był chłodny i wilgotny, przechodzącego podwórce zamkowe po cichu. Właśnie stróże nocni odchodzić mieli na miasto, gdy się pan pisarz z sypialni swej wymknął, obejrzał pilno do koła i pod murem, cichaczem ku bramie pociągnął. Tu jeszcze spało wszystko, i z nikim się nie spotkawszy do drzwi kuny dostał się niepostrzeżony.

Na noc ich tam nie potrzebowano rygłować, stały więc na klamkę ledwie zawarte; bez przeszkody wszedł pan pisarz, Józka śpiącego głęboko pominął i do drugiej izby, rozglądając się ciekawie wsunął po cichu. Sądził, że i Janusza śpiącym jeszcze zastanie; zdziwił się mocno ujrawszy go w całym ubraniu siedzącego na posłaniu. W istocie noc mu tak przeszła na rozmyślach i walce wewnętrznej, na półśnie, na marzeniach, na wspomnieniach może o tej Frydzie, której obraz z szarymi murami straszego jak więzienie zamczyska nie mógł się pogodzić.

Ujrawszy wchodzącego — stryja, Janusz podniósł się zwolna, zdziwiony, równie jak on, iż go czuwającego zastał.

— Cóżżeś to jak przyszedł rycerz, nie zrzucając odzieży na czatach noc przebył?— spytał drzwi od pierwszej izby przemykając pan pisarz. — Mnie też sen nie brał, nie wiedziałem co zrobić z sobą, zwlókłem się do waszeczki.

Siąść chciał pan pisarz, ale za stolkiem, któryby go bezpiecznie mógł strzymać, na próżno się oglądał — nie było go w mieszkaniu całym, i rozmyśliwszy się przysiadł na posłaniu.

— Coś tu się u was na burzę zabiera — począł usadowiwszy się wygodnie — ojciec na waści krzywo patrzy, a z nim ciężka sprawa. Chciałem go wczoraj wybadać, co na was ma w sercu, ale mi się to nie udało; wojewoda się nie spowiada nigdy, chyba przed księdzem. Musieli cię donieść przed nim, domyślam się więcej niż wiem. Co tam było? — zapytał pisarz — mów mi otwarcie!

Na to pytanie, życzliwe pewnie, lecz natarczywe do zbytku, Janusz, znając stryja, odpowiedzieć nawet nie mógł. Najlepszego serca pan pisarz był gadułą i języka, gdy się raz rozpaplał, utrzymać nie mógł. Wojewodzie więc ruszył ramionami i rzekł:

— Ja nie wiem, co mi tam zarzucać mogą!

— Już to pewnie naprzód żeś się z herezykami kumał, bo to największy grzech w oczach wojewody — począł pisarz. — U nich się wszystko herezyą nazywa, co tylko nie w starą kolej idzie. Ale to darmo, mospanie — dodał bijąc ręką po kolanie — cały świat już chce swobody sumienia i uwolnienia z tej niewoli i ciemnoty, my też się w tyle od innych zostać nie chcemy. Jeżeliś tam tego ducha nowego zachwyił, trzeba wytrwać.

Spojrzał na Janusza, który milczał posępnie.

— Nie idzie o to, — począł znowu — aby zrywać z katolickim kościołem, ale aby oczyścić go i do pierwotnej nauki Chrystusowej powrócić. Ja jestem duszą i sercem z tymi, co nad tem pracują. Cieszyć się będę, gdy i was znajdę na tej drodze — ale potrzeba w niej wytrwać!

Janusz z przyznaniem się jeszcze wahał.

— Co! ty milczysz? — przerwał pisarz, — tu już z Wittenbergi pisano, ciesząc się, iż cię zjednali dla reformy. Wiem ja o tem, wiedzą nasi koryfeusze; być może, iż się i wojewoda dowiedział. *Inde irae*. Gniewają się i on i jemu podobni, bo wiedzą, że nie zwyciężą. W senacie mało już kto nieprzyjacielem nowej nauki; znajdziesz jej zwolenników w biskupich krzesłach, po kraju nawracanie idzie

gorąco i skutecznie; wielu się już oczy otworzyły.

— Jam i za młody i samowolny nie jestem, ażebym się czynnie mógł do czego przykładać, — rzekł wreszcie Janusz. — a ojcu się opierać...

— W rzeczy sumienia starszy Pan Bóg niż ojciec! zawołał pisarz. — Nie masz się co lękać, wytrwać potrzeba.

— To też wytrwam, spodziewam się — rzekł Janusz.

— I jawnie mu opowiedz konfesję swoją — dodał stryj — przy pierwszej zrzeczności. Nic nie pomoże milczenie i udawanie, lepsza już walka jawna.

Janusz westchnął.

— A! ale matka, matka moja! — szepnął cicho.

— Matka za tobą stanie, bo cię kocha — mówił pisarz, — stanę i ja w potrzebie; może też złamiemy wojewodę, choć z nim trudna będzie sprawa. U mnie już zbór nowy w Zalesiu, namnożyło się ich wszędzie: w Poznaniu, w Lesznie, w Krakowie, w Wilnie; duchownych z sobą mamy wielu. — Tu westchnął pan pisarz.

— Prawdę rzekłszy — dodał — nie wiele oni wszyscy warci i lepszegom się zastępu dla prawdy spodziewał. Dotąd samo śmiecie

i oszarpańcy jej służą, tacy co się z kucharkami poženili lub coby radzi bezkarnie suknię kapłańską szarzać. To bieda nasza!! Mój Zaranek gdyby niebył nowatorem, toby go wyśmienicie pod pręgierzem postawić można. — Zamyślił się pan pisarz. — Wszędzie początki trudne — szepnął — no a ty co myślisz?

— Do duchownej falangi jać przecie się zaciągać nie myślę — odezwał się Janusz. — Jeśli ojciec, jak wczoraj mówił, każe na koń sięść, temu się sprzeciwić nie mogę.

— Rachuje na to, że ci z głowy wywietrzeje nauka — dodał pisarz, — a no, czyń jako chcesz. Nic nie powiem, z tego com tu widział i przeczuwam, wnoszę, że moje położenie między wami przykreby było a nikomu nie pożyteczne. Pojadę więc dziś, gdy ludzie powstają, albo do Zalesia lub do Poznania. Dłużej tu nie mam co gościć. Tylkom ci to chciał powiedzieć, abys na mnie rachował, bo ci krzywdy uczynić nie dam; masz do mnie ucieczkę i opiekuna we mnie. A więcejże mi tam nic do powiedzenia nie masz? — uśmiechnął się pisarz.

Janusz począł dziękować, do zwierzeń nie był skłonnym; chciał też wprzód obmyśleć sposób postępowania, nimby z ojcem wystąpił do walki, w której cale się nie spodziewał zwycięstwa. Nie miała naówczas władza rodzi-

cielska ograniczenia żadnego, sprzeciwienie się jej, jako płynącej z prawa Bożego, wszyscy zarówno potępiali, do jakiegobykolwiek należeli kościoła.

Nie odbierając odpowiedzi, pisarz z wolna ruszył się z siedzenia i począł wyciągać; wstał i Janusz by go pożegnać.

— Czas mi się przekraść do mojej izby — szepnął pisarz odglądając się, — słyszę że tam się już ludzie na zamku ruszają. Więc zdrów mi bywaj, mój Januszu, a jeśli cię z domu rodzicielskiego bieda wygna, boć wszystko to może być z wojewodą, mój ci za przytułek służyć będzie.

Janusz w rękę go pocałował. Pisarz uściśnął synowca z uczuciem gorącym, na które nieszczęciem wcale rachować nie było można. Kochał on łatwo, ale wyjechawszy za wrota ostygł prędko, a wojewodzie znał go już z dawnych czasów.

Tak się rozstali. W pierwszej izbie już Józiak na pacierzach klęczał; na zamku ruch się poczynał. Pisarz więc, mimo starania, ażeby się przekraść napowrót niepostrzeżonym, widziany był w podworcu przez ludzi i donieść się to musiało do wojewody, że synowca odwiedzał. Jakoż w chwilę po powrocie do izby swej doczekał się tam brata.

Nie spytał go wojewoda o nic, ano znać

było, że o wszystkim wiedział. Chłodny był jak zawsze i surowy. Gdy mu pisarz zapowiedział, że jechać chce zaraz z rana i konie sposobić kazał, nie zatrzymywał go wcale.

— Słuchaj, braciszku — ozwał się w końcu starszy — o jedną cię rzecz obligować będę dla własnego dobra twojego; dla Janusza nie bądź ostrym.

— Zostaw mi to — krótko odparł wojewoda.

— Ojcem jesteś, masz prawa, — mówił pisarz — przecież ich nadużywać się nie godzi. Wiem ja co na sercu masz, papistą jesteś zagorzałym, w synu przeczuwasz nowatora, ale siłą go nie przerobisz.

— W synu? w dziecku mojem — gwałtownie oburzając się zawołał wojewoda — miałbym się kacacza domyslać! Wcale nie! przypuścić tego nie mogę nawet. by dziecię Moniki i moje, prawowiernie wychowane, dlatego że na chwilę między zarażonych wpadło, miało chorobską obrzydliwego dostać! To po prostu być nie może. Dostyc już w rodzinie nieszczęśliwości żeś waćpan indyferentny lub gorzej, boć o herezję cię nie posądzam, dość tego że panowie Górkowie poszaleli, mój syn...

— Twój syn, wojewodo, rozumniejszym będzie od ciebie — przerwał pisarz śmiejąc się. Starzec odstąpił krok od brata.

— Żal mi cię, — rzekł, — starszym jesteś odemnie a na podziw płochym. Rzeczy można iż sobie z wiary świętej czynisz igraszkę, że cię to zabawia iż się o nią wojna domowa zawezmie. Opamiętaj się, panie pisarzu. Serce twe znam, dobre jest i szlachetne, ale się ludziom i lada błyskotliwym myślom dajesz wodzić po dziecinnemu. Aż ty tego nie widzisz, że my tu na robieżach chrześcijaństwa zgodą i jednością stoimy tylko? że u nas siać domową waśń to kryminal i przepowiednia śmierci — że to matkobójstwo jest!

Pisarz się namarszczył.

— Co ty mi wyrzucasz? — krzyknął — my od kościoła nie odrywamy się, ale Chrystus przekupniów z niego precz gnał i my to czynimy; oczyścić potrzeba kościół.

— Słuchaj, bracie, przecieżby do tego dzieła czystymi też rękami brać się potrzeba — począł wojewoda — wasi doktorowie, teologowie i reformatory, to hałastra chleba chciwa a nie prawdy, blichtr wam w oczy rzucają. Lecz mniejsza o to, duchownych to sprawa, myśmy dzieci kościoła, nie ojcowie, co nam o tem sądzić?

— A od czegoż rozum? — zaburczał rozgniewany pisarz — ale ja się z tobą o to rozpierać nie myślę, zostawmy to na boku; o dziecko mi twe idzie, boć to i moje jakoby

adoptowane, po coś się z nim wczoraj tak obszedł?

— Jak obszedł? co? — spytał wojewoda.

— Przyjąłeś go gdyby obcego i do kuny zapakował. Co przeciw niemu masz?

— Przeciwno niemu dotąd nic — gwałtownie i stanowczo rzekł wojewoda — gdybym co miał, nie do kuny tej, alebym go do lochu wrzucić się nie wahał. Któż za dziecko odpowiedzialny przed Bogiem i ludźmi?

— Nic więc przeciw niemu na sercu nie masz?

Wojewoda zamilkł chwilę.

— Jedno to — dodał — że mi się na rozkazanie w porze nie stawił, a nieposłuszeństwa nie cierpię.

Namarszczyła mu się brew i począł się żywo przechadzać po komnacie.

— Pomędzy mnie a dziecię moje nawet tobie nie dopuszczę się mięszać — odezwał się po przestanku.

— Chcesz, by po mnie dziedziczył, prawda? — zawołał pisarz — toć mi też prawa pewne daje.

— Jesliby one z mojemi wejść miały w kollizyą — rzekł wojewoda — nie chce dla syna dziedzictwa, bobym je kupił upokorzeniem dla siebie. Masz waszmość rozwiązane ręce.

Ten zwrot rozmowy zmieształ nieco pisarza, który choć gorączka był, łatwo nad sobą silniejszemu charakterowi dawał panować. Zmilkł pisarz, łagodząc sprawę i mitygując.

— Co ci to? co! — zawołał — i żeś się zaperzył; przecież po twą władzę nie sięgam i nie uzurpuję jej, a że za dzieckiem proszę, toć nie wina.

— Nic mu się nie stało i prosić o co niema — mówił ponuro wojewoda. — Winy na nim dotąd innej nad opieszale i gnuśne posłuszeństwo nie znajduję; gdyby istotnie się okazała, od kary go ani nawet rodzona nie wymodli matka.

To rzekłszy wojewoda zamilkł, a pisarz też odzywać się już nie śmiał. Zawołał tylko swych ludzi nie zwlekając.

— Konie gotowe? — zapytał.

— Stoją u drzwi — rzekł zawołany.

Pisarz za czapkę wziął.

— Polewkę ci przyniosą — ozwał się gospodarz.

— Jużes mnie nią napoił, panie bracie — odezwał się pisarz — mam jej dość. A zatem, Bogu was polecam i żegnam.

Wojewoda zmilczał, dumniejszym tylko się stał i chłodniejszym jeszcze. Nie pożegnali się uściskiem ani podaniem dłoni. Pisarz skłonił się i za próg kroczyl. Lecz że to od ludzkich

oczów i plotek trzeba było się obronić, wojewoda nie dając nic znać po sobie, odprowadził brata aż do drzwi i stanął, gdy na konia siadał, żegnając go tak, aby nikt się sporu domysleć nie miał prawa. Pisarz też zachował pozory, i choć w sercu się burzył, pozdrawiająca brata uprzejmie ruszył z Rochowa.

Właśnie gdy do bramy dojeżdżał, zaczęto dzwonić na domowe wspólne nabożeństwo. Kapliczka była otwarta. Wojewodzina pragnąc Bogu za powrót syna podziękować, chciała mieć mszę na zamku. Staruszek proboszcz przysłał wikarego. Sygnowano więc w mały dzwonek zawieszony u baszty, a na znak ten co żyło w zamku gromadzić się zaczynało. Ile razy ze mszą świętą kapłan się zjawiał, by w tej kapliczce Św. Wawrzyńca nabożeństwo odprawić, nikt ze dworu od stawienia się na znak dzwonka wolnym nie był.

Janusz, który noc całą spędził bezsennie, zaraz po wyjściu stryja rzucił się na posłanie i twardym snem zdjęty usnął. Później już dzwonka nie słyszał lub słyszeć nie chciał, bo Józiak kilka razy budzić go próbował, wiedząc o obowiązku; wkońcu nie mogąc tego dokazać, sam przynajmniej do kaplicy pośpieszył. Była ona tak mała, iż zaledwie przedniejszych ze dworu i starszyznę objąć mogła. Czeladź i milicya stawała rzędami

w podwórzu naprzeciw wielkiego ołtarza i tak mszy z odkrytymi głowami słuchała. Po drugiej sygnaturze przybyła wojewodzina, zgromadzili się dworscy, zajmując każdy miejsce swoje, — tylko Janusza, który powinien był stanąć za ojcem, nie było. Kilka razy obejrzał się pan wojewoda niespokojnie; wreszcie przy klęczniku swym na kolana padł i tak ze złożonymi rękami na modlitwie gorącej, jakby oderwany od świata, pozostał do końca.

Wojewodzina z większem jeszcze przerażeniem szukała syna oczami niespokojnemi; książka wypadła jej z rąk drżących, nie mogła się modlić, a gdy do Sanctus Janusz się nie zjawił, zesłabwszy niemal, blada opadła tak, iż ją ochmi-strzyni, dostrzegłszy to, podchwycić musiała i podeprzeć. Resztę mszy spędziła z głową na klęczniku spartą, płacząc po cichu. Parę razy, jakby jeszcze nadzieję miała słabą że syn nadzie-dzie, rzuciła przełękłe wejrzenie ku miejscu, które powinien był zajmować, ale to pustem zostało do końca.

Po odśpiewaniu pieśni pobożnych powstali wszyscy, służba i dworscy odpływać zaczęli, jeden tylko wojewoda pozostał przy swym klęczniku. Ksiądz przyniósł mu patenę do pocałowania; głowę ku niej podniósł, schylił ją potem i jakby ruszyć się nie mógł, dał wszystkim wynijść.

Wojewodzina blada stała we drzwiach kapliczki czekając na męża; kilka słów szepnęła Józkowi, który znikł. Sparwszy się o drzwi z głową spuszczoną nie ruszyła się, aby przy wnijsciu zaraz spotkać się z wojewodą. Wiedziała jak strasliwym gniewem musi przeciwko synowi wybuchnąć; pragnęła więc, choć częścią jego jakimkolwiek środkiem odwrócić. Serce się jej ścisnęło, bo czuła winę dziecięcia, którego bronić musiała.

Po długiem wyczekiwaniu wojewoda jak sprężyną żelazną poruszony wstał, twarz jego blada była jak marmur, ale spokojna; zmarszczenie brwi tylko i zacięte usta zwiastowały burzę wewnętrzną. Powiódł oczami po kapliczce, zobaczył żonę stojącą i z wolna, przykląkwszy przed ołtarzem, począł iść ku drzwiom. Tu stała stara kamienna kropielnica, na której dnie wyschłej wody kilka kropel pozostało. Wojewoda długo szukał ich palcami drżącemi, przeżegnał się i stanął przy żonie. Nie mógł mówić, usta krzywiły mu się dziwnym konwulsyjnym bolu wyrazem.

— Janusz chory! — pośpiesznie, nie witając go nawet, odezwała się matka.

— Daj Boże, by obłożnie chorym był, — odparł ojciec — inaczej nieprzebaczonem jest to lekceważenie religii, ofiary świętej i rodzicielskiej boleści. Daj Boże, by chorym był nie występny! — powtórzył ojciec.

— Panie mój! — szepnęła drżącym głosem wojewodzina — chory jest.

— Moniko! powracaj do swojej komnaty! idź — rzekł wojewoda chmurno — idź, zostaw ból mnie. Com powinien, uczynię. Idź, proszę — idź, rozkazuję.

Błędniemi oczyma nieszczęśliwa matka potoczyła do koła, chcąc wiedzieć, czy mają świadków. Z podwórca wszyscy byli znikli. Szybko przybliżyła się do męża i pochwyciła go za rękę...

— Bądź litościw nad dziecieniem — zawołała — mnie w serce uderzysz, bądź litościw!

Nic już nie odpowiadając, wojewoda ujął ją pod rękę i prowadził ku zamkowi. Przez całą tę krótką drogę nie mówili z sobą. Wojewodzina płakała po cichu. U wniścia do dworu czekała na panią Dubrowina. Tej powierzywszy wejrzeniem żonę, wojewoda jakby odetchnąć chciał, zatrzymał się w progu. Wnet jednak, przypominając obowiązek, krokiem śmiałym poszedł ku bramie.

Janusz w czasie mszy się przebudził, wstał i odzienie zmieniwszy czekał zadumany, ażali go nie wezwą. Wiedział on pono, co czynił i co nań spaść miało.

Po skończonej mszy nadbiegł Józia z oznajmieniem iż wojewodzina chorym go uczyniła,

ażeby słabością się tłumaczył. Janusz zmilczał. Chwila stanowcza zbliżała się. Wojewoda znać unikając rozmowy we własnem mieszkaniu, gdzie łącznie przez młodzież z kancelaryi podsłuchanymi być mogli, zwolna szedł na bramę sam do syna. Kroki jego były hamowane i powolne, znać przed ludźmi wielkiego poruszenia okazać nie chciał. Po chodzie poznał ojca Janusz. Siedział na łóżku przy stoliku, gdy wojewoda wszedł. Na widok jego powstał. Chciał się do ręki zbliżyć, ruchem nakazującym odepchnął go stary.

— Co ma znaczyć, żeś z nami nie był na mszy? mów! — odezwał się.

Janusz pomilczał chwilę.

— Modliłem się tu, rzekł, bom się opóźnił.

— Czy ci wspólna modlitwa kościoła wstrętliwa już jest? — zapytał ojciec głosem drżącym — czyś przestał być synem kościoła, czyś chciał mi pokazać, że zrywasz najświętszy węzeł jaki cię wiąże z nami? mów.

— Nie zmażę ust kłamstwem, — począł nabierając śmiałości Janusz — nauczyłem się inaczej modlić, a do modlitwy przed obrazami ręką człowieka stworzonymi mam wstręt i odrazę. Dlatego nie poszedłem do kaplicy.

Wojewoda zbladł i zatrząsł się cały.

— Nie jesteś przy zmysłach — zawołał — tobież sądzić co przesądziły wieki! tobież

odrywać się od nas, zapierać Boga naszego dla mrzonek i szaleństw ludzkich!! Nie będę z tobą dysputował; dziecięciem mojem jesteś i grzech twój spada na mnie a poprawa moim obowiązkiem. Tego nie ścierpię.

Odwrócił się ku drzwiom, za którymi stał Józia wylekły.

— Podstarościgo mi wołaj! — krzyknął. Janusz stał jak wryty.

— Zeznajesz się więc kacerzem?

— Jeśli kacerstwem jest wierzyć w czystą ewangelię Chrystusową, jam nim — rzekł Janusz.

— A ty i tobie podobni nauczają nas co czystem jest! i mądrzejszymi będą od tradycyi wiekowych! — łamiąc ręce odparł wojewoda. — Szał jest i obłąkanie.

Pośpieszny chód podstarościgo słyhać było na wschodach do kuny wiodących. Wystraszony starzec przywłókł się do progu

Wojewoda stał blady czekając nań.

— Uczynisz ze mną co chcesz, ojcze a panie — odezwał się wojewodzie — pozostanę przy wierze mej i nie ulegnę.

Straszny wewnętrznym gniewem, nie odpowiadając na głos syna, wojewoda otworzył drzwi ku podstaroścemu, wskazując Janusza.

— Więźnia masz — zawołał — syn mój obraził ojca i więcej niżeli ojca, winien sądu i kary. Do lochu z nim, na chleb i wodę.

Podstarości słysząc to, załamał ręce.

— Panie — począł.

— Milczeć — przerwał ojciec. — Do lochu z nim, rozumiesz. Wy mi za niego odpowiadacie. Rozkazy moje poszanowane być powinny. Sędzią tu jestem i władzcą, i przed Bogiem tylko odpowiadam za to co czynię. — I raz jeszcze powtórzył: — Do lochu z nim!

Janusz nie odzywał się, stał w miejscu jak go zastał ojciec, głowę spuścił, milczał. Podstarości zakrywając sobie oczy, lamentował.

— Odpraw mnie pan, ale ja stróżem dziecka waszego nie będę.

I padł na kolana.

Potrącił go ze wzgardą wojewoda, wyszedł do pierwszej izby i przez okno głosem wielkim burgrabiego zamkowego wołać począł.

Stary klucznik na głos ten co sił po wschodach biedz zaczął. W progu czekał nań coraz straszniejszy gniewem wojewoda i drżącą ręką pokazując mu syna, wołał jakby nieprzytomny:

— Więzień wasz, do lochu z nim, na chleb i na wodę; głową mi zań odpowiesz, rozumiesz.

Stojący dotąd nieruchomie Janusz poruszył się i w milczeniu zbliżył do burgrabiego.

— Prowadź mnie — zawołał.

Nie odwracając się już więcej i poprze-

dzając starego klucznika spuścił się po wscho-
dach.

Cała ta scena odbyła się w krótkim prze-
ciągu czasu, gdy wojewodzina powróciwszy
do izby swej modliła się i czekała, a kobiety
widząc ją omdlewającą cucily. Żaden hałas
i oznaka tego co się tu działo, nie wyszedł
poza obręb bramy.

Wniście do lochu, który za więzienie słu-
żył, też było u wrót. Burgrabia posłuszny szedł
za Januszem, który z niecierpliwością jakąś
wyprzedzał go ku temu miejscu i ręką we
drzwi zaparte uderzył. Musiał je odemknąć
burgrabia i nie wiedząc sam co czyni, wpu-
ściwszy pańskie dziecko do lochu, zatrzasnął
za niem podwoje, a sam padł nieprzytomny
w prog.

IX.

Gdy Janusza wyprowadzono, wojewoda nie
wyszedł za nim; jak skamieniały stał zrazu
w zamyśleniu głębokiem. Ocucił się z niego
nie rychło. Nie było przy nim nikogo. Podsta-
rości zwlókl się do pierwszej izby i tu głowę
na rękach położywszy płakał a jęczał. Józiak
drżał i przytomność cale stracił.

Po krótkim namyśle wojewoda zawołał
chłopca, rozglądając się po pustej kunie.
Wszystkie tłómoki podróżne Janusza nagro-

madzone tu stały, nie było czasu tknąć ich. To co z sobą z Wittenbergi przywiózł, przed wojewodą leżało. Skinął, natychmiast nakazując rozwiązywać juki. Posłuszny chłopak, choć ręce mu służyć nie chciały, jał się czynić co kazano.

Z niecierpliwością odrzucił stary wszystko, wołając o papiery i księgi. Tych spory był zasób w istocie. Wyrzucono na podłogę pargaminowe folianty i wiązki notat ręką Janusza pisanych i mnogie listy towarzyszków jego i co tylko życie nagromadzić mogło. Były tu ślady stosunków z głównymi koryfeuszami reformy, i dowody przyjaźni z Hennichenem i listy Frydy i piosnki dla niej pisane. Na jaw przez te zdradzieckie papiery wychodziło wszystko; lecz wojewoda, który miał męstwo zajrzeć w głąb tego co mu śmiertelny cios zadawało, po kilku rzutach oka na siłach opadł. Popchnął nogą księgi, usiadł na stołku i wsparty na rękę, patrząc oczyma osłupiałemi na stos leżący przed sobą, pozostał zamyślony bezprzytomnie.

Potrzebował rozmysłu nad tem co dalej pocznie, i zimnej rozwagi do tego sądowego badania przeszłości syna. U nóg jego leżały najdroższe pamiątki tej miłości niewinnej z Frydą, na które surowy starzec patrzył z obrzydzeniem i zgrozą. Długi pobyt w Za-

chodnich Prusach dał mu znajomość nieszczęsną języka, w którym listy dziewczęcia pisane były. Kilka z nich pochwycił i popchnął nogami, chcąc je w proch zetrzeć. Czoło okrywało się to purpurowym gniewem, to bladością śmiertelną. Lecz niczem były te dowody płochości chłopięcej obok zgrozy, jaką go napęniały księgi, które za ledwie wzięwszy w ręce rzucał ze wściekłością o ziemię i ściany. Był to zbiór w istocie najjadowitszych paszkwilów i najobrzydliwszych potwarzy przeciw temu kościołowi, którego on był wyznawcą. Trucizna więc z nich weszła już w serce i życie jego dziecięcia.

Nie było więc może na straszną chorobę ratunku.

Kubek Hennichena zgniótł wojewoda pod butem, domyślając się w nim jakiejs pamiątki. Zapisane papiery, które stanowiły dowody winy syna, odsunął na bok; ale księgom nie mógł przebaczyć niecierpliwemu starzec. Wyszedł natychmiast, wołając ludzi głosem, któryby martwych pobudził. Pacholkom nadbiegłym rozkazał pobrać wszystko co znalazł i wynieść w podwórze przed drzwi kaplicy.

Uniesiony jakimś szałem biegł za nimi sam, rozkazując je ułożyć na stos i suchem obrzucić drzewem.

Ludzie co go zawsze spokojnym i panem

siebie, ale groźnym znali i widzieli, strwożeni kryli się po kątach. Strach padł na zamek cały. Co żyło, z drżeniem spełniało rozkazy. Przyniesioną żagwią wojewoda sam podpalił stos nałożony i na kolana rzucił się u drzwi kaplicy. Na modlitwie spędził tu czas, dopóki ostatni szczątek ksiąg heretyckich nie spłonął. Odetchnął dopiero, gdy zobaczył garść popiołów, które wiatr rozwiewał. Rozżarty jeszcze nieuhamowanym na modlitwie gniewem, powlókł się wojewoda do zamku. W sieniach zatrzymał się chwilę, jak gdyby się namyślając, i skierował ku mieszkaniu żony.

O wszystkim co się stało, mało kto z otoczenia wojewodziny wiedział, a nikt i słowem oznajmić się jej nie ważył. Biedna matka oczekiwała z obawą śmiertelną wiadomości o synu. Godzina ta spłynęła w trwodze i we łzach, a gdy chód wojewody posłyszała w sali, powiększył się jeszcze strach ten, bo w długim życiu nauczyła się poznawać stan duszy męża nawet po ruchu jego i chodzie. Nigdy jeszcze nie słyszała go tak niespokojnym krokiem idącego ku sobie. Wojewoda unikał tego, by się przed żoną pokazywać, dopóki by nie ochłódł i nie oprzytomniał. Tym razem pamięć go i wszelki wzgląd na nią opuścił. Dopiero w sali sam opamiętał się, że nad biedną ofiarą litość mieć powinien,

Zamiast wnijsć zaraz do niej, padł na siedzenie, rozmyślając co ma poczynać, jak się przed nią wytłumaczyć, co odpowiedzieć, jeśli go spyta o dziecie.

Dobra chwila minęła w tych myślach, których ani skupić nie mógł, ani ich opanować. Obowiązek ojca walczył w nim z powinnością męża oszczędzenia męczarni żonie. Znał warte jej zdrowie, które już wprzód sam niepokój o Janusza nadwerężył. Wyżej jednak nad to wszystko widział swe obowiązki chrześcijanina i wiernego syna kościoła. Pobłażanie i powolność zdawały mu się zbrodnią, czuł że inaczej postąpić nie mógł.

Gdy się to działo na zamku, choć żywa dusza nie dała poznać po sobie, iż oko obce padło na wojewodę, że był świadek jego gniewu i czynności, wszyscy niewymownym strachem ogarnięci i litością nad losem syna, którego kochali, naradzali się w ciszy co począć, jak go ratować. Nie rozumiano spełna skąd gniew powstał, widziano tylko straszne jego skutki: Janusza zamkniętego w więzieniu, spalone księgi i wojewodę w roznamietnieniu bezprzykładnem.

Podstarości, który się już za odprawionego i nienależącego do dworu uważał, szukając ratunku, zbiegł natychmiast na plebanję do księdza. Staruszek spokojnie pacierze po mszy

rannej odprawiał, gdy ujrzał go wpadającego bez czapki i ze śladami łez świeżych na twarzy. Przeląkł się niewymownie, spiesząc przeciw niemu.

— Co ci jest? co się stało?

— A! ojcze! — zawołał przybyły — sądny dzień na zamku. Wojewoda syna do więzienia wrzucić kazał! książki znać heretyckie, które w jego jukach znalazł, spalił sam na stosie. Miotał się niemal jak szalony. Co się stanie z biedną panią naszą, gdy ona o losie dziecka się dowie! Znasz wojewodę, w surowości nie ma miary. Idź! powagą swą, miłosierdzia wyrazami przywiedź go do opamiętania. Ratuj też dziecko nasze to jedyne!

Ksiądz za głowę się chwycił.

— Cóż ja tam poradzę! i jakim prawem wnijdę między ojca a dziecię!

— Prawem duchownego, mój ojcze! alboż ci potrzeba się tłómaczyć, z czem i dlaczego przychodzisz? Idź, proszę a błagam!

Staruszek choć się wahał, dał się jednak nakłonić. Po krótkim rozmyśle narzucił płaszcz i poszedł, postanawiając po drodze wnijsć tak jakoby nie wiedział o niczem.

Właśnie wojewoda siedział jeszcze w sali nie śmiejąc wnijsć do żony, gdy siwa głowa staruszka ukazała się w progu. Nigdy ona pożądanszą nie była dla wojewody. Pośpieszył ku niemu, obejmując go rękami drżącymi.

— Bóg mi cię zesłał — rzekł — przychodzisz w porę, abyś pocieszył i wlał męstwo. Wielkie nieszczęście na dom mój spadło. Syn, syn, jedyne dziecko wrócił mi zepsutym, zuchwałym, obcym. Zaraza heretycka doń przystała. Dziecka mojego nie poznaje.

Staruszek słuchał w milczeniu, ze spokojem wielkim.

— Panie wojewodo, uspokójcie się! Młodość przyjmuje łatwo, lecz zło nie wrasta w nią. Może ono nie zaszło tak daleko, tak głęboko jak sądzicie. Powolnością, łagodnością zwyciężyć je można.

— Grzechemby było pobłażanie — prze-rwał wojewoda. — Dowody winy jawne: pogardził ofiarą świętą, przyznał mi się sam. Spaliłem obrzydłe księgi, które przywiózł z sobą, do więzienia go wtrącić kazał.

— Do więzienia? wy? dziecko wasze? — zapytał ksiądz ręce łamiąc.

— Niech cierpi by się upamiętał!

Po twarzy staruszka przebiegło drżenie bólu.

— Cóż męczeństwo pomoże? — zawołał — utwierdźcie go w uporze!

— Cofnąć się nie pora — rzekł wojewoda.

— Pozwólcie mi do niego zniść — począł staruszek chwytając ręce wojewody.

— Idźcie!

Cała ta rozmowa odbywała się w sali,

z której głos nie dochodził do wojewodzinej; szmer jej tylko słyszała, nie poznawszy nawet po dźwięku mowy staruszka.

Szybko zawrócił się on zaraz, nie wiedząc sam dokąd ma iść; przeprowadził go aż do drzwi stary, i oddawszy w ręce sługi, sam na swe miejsce w sali powrócił. Nie spieszył do żony, chciał czekać powrotu plebana. Z rozkazem otworzenia mu więzienia towarzyszący sługa poszedł aż do burgrabiego, który pańskie dziecko osadziwszy w lochu, czekając co chwila spodziewanego uwolnienia, jak padł był na progu, tak na nim pozostał.

Sklepiony ów loch przy bramie od niepamiętnych czasów za więzienie służył. Była to sklepiona izba z jednym oknem małym u góry, które chwasty i krzaki zewnątrz zakrywały. Ciemna, wilgotna, bez podłogi, śmieciem zawalona, nie miała nic oprócz ławy z muru do koła biejącej, która za łoże i siedzenie służyła. W środku sparta na jednym słupie, podtrzymującym sklepienie, miała jeszcze u niego pozostałe z dawnych czasów rdzawe kolce żelazne, do których więźniów przykuwano. Tu winowajców osadzano. Gdy wojewodzie wszedł tu i usłyszał drzwi zatraskujące się za sobą, w ciemności począł się zwolna rozpatrywać i rozmyślać o swoim losie. Tak mu spłynęła ta godzina do przyjścia staruszka,

Drzwi odryglowały się zaczęły i zdziwiony ciemnicą tą i opuszczeniem więzienia, ksiądz ukazał się na progu, z burgrabią. Nie chciał naprzód oczom wierzyć, ażeby do tej wilgotnej jamy ojciec syna wrzucić kazał. Tłómaczył się wystraszony burgrabia, że innego więzienia nie było a wojewoda wyraźnie mu to wskazał.

Wszedł więc rozpatrując się w tym lochu.

— Dziecko moje — zawołał — cóż się to stało? mów mi? coś przewinił!

— Ja się winnym nie czuję — odparł Janusz. Gniew ojca począł się od tego, żem modlić się z innymi razem nie chciał.

— Modlić się? — łagodnie spytał siadając przy nim staruszek, — dlaczegoż? Nie czujeszże potrzeby modlitwy? nie znaszże tego Boga, w którym żyjemy wszyscy?

— Mój ojczy — rzekł Janusz — nauczyłem się czystszej modlitwy, nie do obrazów i posągów ręką ludzką czynionych, ale do Ojca w niebiesiech.

— Alboż my się do obrazów modlimy? zapytał ksiądz. — One nam tylko uprzytomniają pamiątki wiary naszej i jej dzieje. Dziecię moje! więc dla pochwalenia się z tem, iż lepszą sobie gdzieś znalazłeś naukę niż ta, którą my i kościół żyliśmy wieki, z pokolenia w pokolenie podając ją sobie; dla poświę-

czenia o tej smutnej prawdzie, iż niema nic, na coby się rozum ludzki nie targnął, — wyzwałeś mściwą rękę rodzica i zakrwawiłeś serce matki. Postąpiłżeś w duchu ewangelii nauki Chrystusowej?

— Mój ojciec — rzekł Janusz — zdaje mi się, że uczynił co kazało sumienie. Co wyznaje, to jawnie poświadczył.

— Moje dziecko, zdumiewam się twej cności; lecz jesteś ty tak pewny, że zrodzona od niewielu lat prawda, a przez cię od niedawna przyjęta, jest nią istotnie? że to nie obłąd ludzkiej dumy i próżności, która choćby światem wstrząsać miała, szuka gdzieby świeciła i rozgłosu nabyła?

Janusz zamilkł chwilę.

— Mój ojciec — rzekł — próżnobyście mnie nawrócić pragnęli. Z ewangelii uczyłem się wiary takiej, jaką ją niepopsutą podały wieki, i tej trzymać się będę.

— I my też w ewangelii czytamy — odparł staruszek — ale się podpieramy doświadczeniem wieków i tem co przeszło w żywym słowie od uczniów Chrystusa aż do nas. Czy sądzisz, że pisane więcej zawiera niż to, które brzmi lat półtora tysiąca jednym dźwiękiem po dni nasze?

Zamilkli. Staruszek westchnął.

— O mój Boże! — rzekł po chwili —

jakże to płonne ludzkie nadzieje! Myśmy z radością dnia powrotu twego czekali; serce matki poilo się nadzieją, a tyś je żółcią napoił. Cóż ci była winna ta święta, biedna, tylu już cierpieniami wypróbowana niewiasta, żeś jej taką boleść zadał? Moje dziecię — pomnij na matkę.

— Ależ ja ją kocham nad życie — przewał Janusz — przecież ona odemnie ofiary sumienia wymagać nie może.

Wstał Janusz rozgorączkowany.

— Mój ojczy, — rzekł — ja nie chcę być nawróconym, i proszę was, przestańcie o tem. Szanuję władzę rodzica i będę jej posłuszny, ale żelazna jego dłoń mnie nie złamie. Jeśli chce, bym zgnił w więzieniu, niech się dzieje wola jego.

Staruszek pomieszany był wyraźnie.

— Nic ci nie powiem więcej — rzekł, — ale przeczytaj ewangelię i przypomnij stary zakon o poszanowaniu rodziców. Matki zdrowie i życie może w rękach twoich!

— Cóż trzeba, bym uczynił? abym skłamał? bym się zaparł prawdy? odwołał to com wyznał? Ojczy, ja tego uczynić nie mogę.

Nie miał już co począć więcej staruszek, powietrze więzienne go dusiło, a dziwny upór Janusza zdumiewał; chciał co prędzej powrócić

do wojewody, spodziewając się stąd wyrwać więźnia. Pożegnał go więc słowy łagodnymi.

Wojewoda czekał nań wyszedłszy z sali we drzwiach sieni, niespokojny.

— Coś uczynił, panie wojewodo, — począł niedochożąc do niego staruszek. — Sądzę że omyłką się stało zamknięcie syna waszego w tej jamie smrodliwej.

— Więzienie jest jedno, innego nie mam, a com uczynił, to się stało — porywczo odparł wojewoda. — Chcieliżście bym zuchwałemu wygodne słał łoże! Niech cierpi!

Ksiądz spojrział, wojewoda lzy miał na oczach, ale gniewem trzęsły mu się wargi.

— Czy obiecał poprawę? czy się kaja? — zawołał.

— Nic nie wiem — cicho odezwał się starzec, — nie miałem siły mówić z nim o tem, tak przerażony byłem tym lochem.

— Zmieńcie mu więzienie! — dodał błagając.

— Nigdy wyroku nie zmieniam — odezwał się wojewoda twardo.

Kapłan zdjął czarną czapeczkę przed nim i nie mówiąc słowa powlókł się na plebanią. Sam jeden, zostawiony sobie, wojewoda rozmyślał co uczyni z żoną, i jak jej wyrok swój oznajmi.

Ona czekała nań. Wahał się jeszcze, czy

ma iść do niej; lecz czas upływał, milczenie dłuższe byłoby słabością. Poszedł.

Na widok wchodzącego pana, co było kobiet przy wojewodzinie, pierzchnęło; została sama, w pokorze i rezygnacyi, wyczekując co jej oznajmi. Stary usiąść musiał, ochłonął znacznie.

— Moniko moja, — odezwał się — serce ci zakrwawię. Janusz wiary odstąpił, powrócił nam obcym, chlubi się swem odstępstwem, głośno wyznaje winę swą jak cnotę. Musiałem być surowym. Osadziłem go w więzieniu.

Wojewodzina załamała ręce.

— W więzieniu! — krzyknęła.

— Nie mogłem inaczej; albo go się wyrzec i wygnać, lub go poprawić muszę. O dziecku nie zwątpiłem, nie trwóż się, módl się i miej nadzieję.

Domawiał tych słów, gdy postrzegł, że biedna kobieta, która bolu swego wypowiedzieć nie mogła, pochylona na siedzeniu, omdlała.

Stało się tedy wielkie zamieszanie w domu, bo pan wojewoda do żony bardzo był przywiązany, a nie mniej wszyscy co jej służyli. Zawołał zaraz na Dubrowinę, bo sam sobie począć nie umiał z kobietą osłabłą, i strach go zdjął o nią. Nadbiegła pani starsza z krzykiem, a głowę straciła ze strachu, że nie wiedziała jak trzeźwić. Inne też popłoszone sługi, które

przytomność wojewody onieśmielała, biegały z jednej komnaty do drugiej, ręce tylko łamiąc i lamentując. Nieskoro dopiero jedna z młodszych wodą twarz skropiła i wódek przyniesiono, tak, że wojewodzina z omdlenia wyszła, a postrzegłszy co się z nią stało, zawstydzona była słabością swą. Zobaczywszy iż wracała do przytomności, wojewoda kilka słów cichych przemówił do niej i wyszedł.

Dzień to był nazamku tem pamiętny, iż wszystko z powodu tych wypadków z klubów wyszło i godzin oznaczonych nie pilnowano. Wojewoda do stołu nie siadł, nie było i samej pani, dworscy tylko w milczeniu siedli i nie wiele też posiliwszy się, w milczeniu się rozeszli po swoich kątach, tak że na zamku jakby wymarło. Trwoga poszła po wszystkich.

Józiak w izbie na gorze łamał ręce, nie wiedząc co dalej pocznie; a że był do pana przywiązany i myślał że mu się na coś przydać może w więzieniu, pobiegł do burgrabiego prosić, aby go z Januszem razem zamknął. Na to nie mógł się o własnej sile stróż ważyć. Józiak więc poszedł do wojewody i prosił aby o nim oznajmiono. Stary był w swojej sypialni, kazał chłopca wpuścić.

--- Moje miejsce — rzekł Józiak — tam gdzie pana mego; prosiłem się do lochu, ale mnie bez przykazania pańskiego burgrabia

dopuszczyć nie chce. Proszę więc, aby i mnie zamknięto.

Skłonił głowę — wojewoda popatrzał nań.

— Sług w więzieniu niema — rzekł — idź i czekaj. Gdybyś potrzebnym był, kazałbym ci być z nim iść.

Dostawszy odprawę Józiak, a wiedząc że z wojewodą się spierać nie godziło a prosić go byłoby próżno, w milczeniu za drzwi się wysunął. Poszedł jednak błądzić około bramy. Burgrabia sam siedział na straży. Przez drzwi mówić z Januszem było nie podobna, bo choćby nie broniono, głosby żaden przez okute dębowe podwoje dojść nie mógł do wnętrza. Powlókł się więc chłopak do koła rozglądając, i tak na okno od lochu natrafiwszy odezwał się do Janusza. Ale nie rychło otrzymał odpowiedź; zamyślony Janusz nie prędko usłyszał że nań wołano, podszedł więc do swego towarzysza.

— Panie — odezwał się Józiak — prosiłem się u stróża i u samego pana wojewody, aby mnie z wami zamknięto, ale mnie nie dopuszczono. Chciałem byście o tem wiedzieli, aby mi na sumieniu lżej było. Powiedzcie co mam czynić i czy czego nie potrzebujecie?

— Opatrzę mnie tu w to czego mi wolno potrzebować, — odparł spokojnie Janusz. — Wola Boża; ciężki i smrodliwy loch, ale

cięższa niepewność. Co najgorszego stać się mogło, stało się. Spokojniejszy jestem. Idź i spocznij.

Józiak zapłakał i tak przy kracie pozostał.

Czasu obiadu zawołano burgrabiego do tworu, wojewoda krótkimi słowy nakazał: dzbanek z wodą, chleb do więzienia dać, więcej nic; na posłanie wór ze słomą i derę końską.

Nikomu na myśl nie przyszło od spełnienia rozkazu się wyłamywać. Zaniesiono więc co nakazane było, więcej nic.

Stary burgrabia, który sam musiał wykonywać rozporządzenia pańskie, przyszedłszy ze dzbanem, chlebem i pościelą, zapłakał, przeprasząc Janusza, iż narzędziem się stał męczarni dla niego.

— A cóż mam począć? — zawołał ręce podnosząc — dzieci, żona, wnuki, wszystko na łasce pana naszego. Muszę posłusznym być, a gdybym się oparł, cóż to pomoże? znalazłby się inny, któryby gorzej może dał się we znaki.

Janusz mu nic nie odpowiedział.

Burgrabia nędzny ów loch trochę oczyścił z wiekiustych śmieci i brudów, chociaż kątał tylko jeden nieco się dał znośniejszym uczynić.

Tak nadszedł wieczór. Zamek cały milczał wśród głuchszej jeszcze niż zwykle ciszy.

Ludzie opowiadali sobie, iż wojewodzina była chora i że do łóżka ją zanieść musiano.

Jednakże o zwykłej godzinie modlitwy zwlekła się, aby z dworskimi ją odprawić i nie okazać się słabą na duchu. Wyszedł i wojewoda, ale bez rozmowy już rozstał się z żoną i zamknął w swej sypialni.

Nikt pewnie religijniej nie spełniał woli pana domu nad świętą tę niewiastę, której życie spłynęło na tym zamku wśród cichej pracy i modlitwy. Poddawała się ona i teraz męzowskiemu wyrokowi, ale serce matki ma prawa swoje. Pierwszy raz w życiu zdało się jej, iż nie pytając wojewody mogłaby starać się zbliżyć do syna i los jego osłodzić a skłonić go do ulegania posłusznego ojcu, do powrotu do religii, od której nie chciała nawet wierzyć, aby mógł odstąpić.

Tłumaczyła sobie postępowanie płochością i butą młodzieńczą i myślała w duchu, iż może wojewoda na ten raz za gwałtownie z dziecięciem postąpił. Pragnęła widzieć je, mówić z niem, a prosić o to nie śmiała. Już z rana wojewoda mówiąc z nią oświadczył, iż pociechę widzenia matki odjąć musi skazanemu, bo się jej stał niegodnym. Starczyło to za zakaz myślenia nawet o dostaniu się do więzienia. Nigdy w życiu wojewodzina nie marzyła nawet o tem, aby jej coś bez wiedzy męża

czynić i przedsiębrać przyszło. Teraz, między dwoma obowiązkami rzucona, sama przed sobą tłumaczyła się, a pragnęła koniecznie widzieć syna. Była pewna, że jej słowa go nawrócą i spokój a szczęście domowi dadzą.

Gdy Dubrowina krzątała się koło niej wieczorem, nakłaniając do spoczynku, wojewodzina wyciągnęła ręce ku niej i szepnęła:

— Ja go widzieć muszę; idź, prosz, czyn co chcesz: gdy zapadnie noc, ja pójdę, choćbym tylko przez okno od lochu mówić z nim miała. Ale pan wojewoda nic o tem wiedzieć nie ma. Dubrowino! życie moje, ja widzieć go muszę, a nie, to umrę.

Wylękała sługa, uspokoivszy ją kilku słowami, wybiegła.

X.

Nie było może naówczas w całej Rzeczypospolitej dwóch domów mniej do siebie podobnych nad Rochów i Zalesie rochowskie, choć oba do rodzonych należały braci.

Jak życie, jak ludzie, tak dwory się różniły, i kto w jednym sobie podobał, pewnie drugiegoby nie zniósł. Pan pisarz zrazu, gdy jeszcze był żonatym i spodziewał się, że rodzinę mieć będzie, chciał sobie na wzór zagraniczny, bo wiele po obcych krajach bywał,

wystawić dwór z kamienia i cegły wspaniały, i nic na to nie żałował. Sprowadził był nawet kamieniarza Florentczyka, który włoskim stylem pałac budować rozpoczął. Szło z tem bardzo trudno, bo nie tylko ludzi, ba i kamienie i cokolwiek do domu potrzebowano, zdaleka sprowadzać musiano. Cegłę nawet od Torunia wieziono a kafle z Gdańska. Znudzilo się to w końcu panu i Włochowi, który zatęskniwszy za krajem, wrzekomo na czas odjechał a potem więcej nie wrócił. Został więc pałac poczęty, w którym i jednej izby mieszkalnej jeszcze nie było. Później drugi się budowniczy trafił, który kawał muru, bo już o całym mowie nie było, wspaniale dokończył. Ale to nie starczyło na liczny zawsze dwór p. pisarza i jego upodobanie w przepychu a zbytku. Kazał więc po domowemu na fundamentach jakie pozostały, dalej murować, a że nie po myśli szło, tyle prawie walono co budowano. Były lata że się nie robiło nic i słomą pokryte ściany czekały; to znów z całą siłą i pospiechem gromadzono robotników, aby co prędzej fantazyi pańskiej dogodzić.

Z tych robót około dworu w Zalesiu wyrosło coś osobliwego, co do niczego nie było podobnem. Założono też i wirydarze wielkie, wydarłszy kawał lasu, z którego tylko większych nieco drzew pozostało. Kopano kanały

i wodę sprowadzono; chciał bowiem mieć pisarz fontanny jak we Włoszech, do których trytony i posągi z daleka przywozić kazał; a stało to suche, bo woda nie starczyła i do góry iść nie chciała. A że się łącno zrażał, co prędko zaczęto, jeszcze prędej porzucano.

I trzeba było może nie-jednego życia ludzkiego, aby dokończyć to co pozaczynano.

Miasteczko u brzegu rzeki splawnej położone miało się nie źle i zabudowane było dość porządnie, ale w nim różnego narodu siedziało wiele, który się z sobą nie bardzo godził.

Z pana pisarza człowiek był dobry dla drugich, najgorszy dla siebie. Z kolei porywał go kto chciał, czynił z nim co mu się podobało, aż doprowadził do tego, że go trzeba było wypędzić. Wszelakiego rodzaju obieżyświaty i forfanty wędrowali, jakby sobie znak dali, do Zalesia; przyjmowano ich wszystkich gościnnie, wpijali się tu łatwo, ale potem wyrzynać ich trzeba było jak kleszcze. Pisarz z kolei to w domu siedział i tu się gorąco zajmował wszystkim, nawet tem bez czegoby się obejść mógł, to jeździł nigdzie miejsca nie zagrzewając. Od czasu zwłaszcza gdy nowiny religijne w Polsce się zjawily, spokoju nie miał. Wszystkich sekt próbował i z kolei

do niemal każdej należał, ale w końcu, lub dla rzeczy lub dla człowieka, rzucał każdą z nich. Nie było bezprzykładnem, że odrzuciwszy którą, wracał do niej; a co dziwniej, mimo tych wyboczeń, nie chciał nigdy przyznać żeby z kościołem stanowczo zerwał — i widywano go, podług starego obyczaju w katolickich kościołach płaczącego, gdy pieśni dawne nucone słyszał. Był to, jak się naówczas wyrażono, człowiek osobliwego nabożeństwa, a najbieńdniejszy z ludzi, bo nigdzie i nigdy spokoju sobie nie znajdował.

Już zdala patrząc na Zalesie widać było, że tam nie zwyczajny szlachcic ani pan gospodarował. Dwór od miasteczka dzieliła tylko ulica, przed laty kilkudziesięciu wysadzona drzewami, które się pięknie rozrosły. Stały tam dawniej figury murowane, ale je potem nowatorowie pod pozorem bałwochwalstwa pozdejmowali i tak próżne słupy zostały. Po-dwórzec szeroko był zakresłony, a w pośrodku jego miała być fontanna; ale tylko kamienia na nią nazwożono i trawa na nim rosła i krzaki a bryły się pokruszyły, poczerniały od sloty i słońca. Dalej wznosiły się mury, które do koła podwórzec obejmować miały, z prawej strony dokończone i wspaniałe, z lewej ledwie odrosłe od ziemi, w pośrodku nietynkowane i słomą okryte. W prawo też była

kaplica, w której począwszy od katolików, ewangelicy, nowochrześciany, bracia czescy i aryanie gościli. Poza gmachem ciągnęły się wirydarze, pięknie zarysowane, ale zarosłe i zdziczałe...

Tuż obok pałacu stajnie i budowy dla dworu licznego z drzewa były na prędce poklecone, niepokazne i obrukane.

Wszedłszy wewnątrz, ten sam nieład uderzał. Sale były od marmuru kosztownego jedne, zawieszono przednimi obrazami, a obok podkończone ledwie izby z prostą podłogą z tarcic, w których oprócz stołów i ław z sosnowego drzewa nic nie było. Jak u wojewody na wszystko godziny ściśle oznaczono, tak tu ledwie nie codzień żyło się inaczej. Wieczera czasem przychodziła po północy, a obiad wieczorem... Spieszyli się wszyscy a na nic czasu nie było. Sług mnóstwo a usługi pasz. Nikt nie wiedział co miał robić, dworscy czasem do formalnych bitw przeciwko sobie występowali, że ich wodą oblewać musiano, aby poskromić. Pisarz wiecznie zajęty na nic czasu nie miał; gdy mu to dojadło, zaprzęgać kazał do kolebki lub na konia siadał i z domu się wynosił.

Pomiędzy ludźmi dosyć takich było, co tu po kilka razy służbę porzuciwszy wracali, jeden tylko Borzykowski, marszałek dworu, do

siwego włosa wytrwał; ale ten się z pisarzem codzień ujadał, a że człowiek uczciwy był, choć się z nim klócił pan, w końcu go ścisnął, obdarzał i przeproszał.

Borzykowski, prawdę rzekłszy, więcej tu panem był niżeli sam pisarz. I szczęściem, że się go nieco obawiano, boby dwór dawno do góry nogami się wywrócił.

Miał pan pisarz wolę wyjechawszy z Rochowa udać się do Poznania, ruszył był nawet gościńcem ku temu miastu; ale o milę drogi ziewnął i zawrócić kazał, a potem spieszył już tak do Zalesia, że o mało koni nie poochwacano.

Przybywszy do domu i zjadłszy, położył się spać; kilkanaście godzin smacznym snem wypocząwszy, dopiero w ręce klasnął, aby Borzykowski przychodził.

Musiał nań jednak poczekać, bo właśnie był jeden z dworzan drugiemu szpetnie głowę rozplątał i zaszywano ją, a Borzykowski dozorował, bo mu chłopca żal było.

Pan pisarz nieodziany, w kożuchu popielicowym, boso, u komina siedząc palcami kręcił, jak miał zwyczaj, gdy się bardzo nudził.

Gdy Borzykowski wszedł, zerwał się do niego, uściskał, bo go lubił i tęsknił za nim.

— Otóż i powróciłem — rzekł wzdychając, — u pana brata byłem... Syn mu z zagranicy

przybył, po długiej niebytności... Zhasałem się okrutnie. Co u waszmości słyhać?

Borzykowski minę zrobił zafrasowaną.

— A kiedy tu u nas co dobrego? — rzekł — bez mała sądny dzień. Jaworowi Papuski głowę wszetecznie rozbił, ledwieśmy mu ją zalepili i zszyli.

— Głowa! to mu nic nie będzie! — rzekł pisarz — u nas głowy twarde; byle uchowaj Boże nie brzuch i nie nogi.

— Nasz duchowny Zaranek do ślubu się sposobi.

— A z kimże? — spytał pisarz.

— Z mieszczanką; sam blisko pięćdziesiątletni dobrał sobie taką, która nie wiem czy szesnasty skończyła.

Pan pisarz ramionami ruszył.

— Rozumny człek, teolog nie pospolicity, a codzien głuństwo robi.

— Gdyby tylko głuństwo, toby go jeszcze było znieść można, ale niezdarne rzeczy. Nie dość że staremu proboszczowi kościół odebrał, jeszcze mu pokoju nie daje i lud przeciwko procesyom buntuje. Mieszczan to jeszcze łatwo, a no jak się wieśniacy dowiedzą, jeszcze go kiedy gotowi doraźnym sądem ukarać. Człek niespokojny. Od kilku dni sobie jeszcze z Krakowa kompana dobrał, który tylko po

niemiecku szwargocze a na żyda wygląda — i kościół poczęli na nowy sposób przerabiać, Borzykowski westchnął. Po chwili dodał:

— Przybłędów mamy dosyć,

— A kto tam taki!

— Flamski, człek, który szczury wyprowadza; Niemiec, który cudowne wody i oleje sprzedaje, i Włoch, który się opowiada muzykantem. A no — zapomniałem... jest też jeden z Rusi, który z samym panem pisarzem mówić chce, bo ma coś tajemnego bardzo do objawienia.

— Pewnie do sakwyby rad zajrzał — rzekł pisarz — niech poczeka, tegom nie ciekaw.

— Jest też pątnik, który nam tu całe wieczory o podróżach opowiada, człowiek bardzo rozumny. Dziesięć lat na galerze u korsarzy robił.

— Tego mi na wieczór dacie — dodał gospodarz — ale, posłuchaj mnie, Borzykowski. W Rochowie się gotują bodaj wielkie rzeczy: ojciec z synem pewno się nie pogodzą; gdzież Januszowi *refugium* szukać jeśli nie u mnie? Czuję to dusza moja iż tu przybędzie, bo tam nie wytrwa. Przystosóbcięż mu mieszkanie, jakby dla własnego dziecięcia.

— A gdzie? — zapytał Borzykowski.

— Ty wiedzieć musisz.

— Pytam, bo zaprawdę nie wiem — mówił marszałek — miejsca u nas niema.

Pisarz się mocno oburzył.

— Jak to miejsca niema? w takich gmachach?

— Ja go nie widzę.

— To znajdź, szukaj, zrób, postaw, niepotrzebnych powyrzucaj, a miejsce musi być, bo chłopca ino nie widać. Buchnie tam prędzej niż się spodziewają, i nie będzie dlań rady tylko uchodzić.

Borzykowski szepnął:

— Ze dżdżu pod rynnę — ale tego pisarz nie posłyszał.

Tak się rozmowa skończyła, a że pora była obiadowa, kazano dawać jeść, chociaż kucharze zaklinali się że nie gotowo. Stół zwykle zastawiany był w nieskończonej jeszcze sali, której połowa okien zabita była deskami a zamiast podłogi tok tylko ubity służył. Ławy z tarcie cienkich uginały się pod gośćmi. Nie był też pan pisarz na powszedni dzień zbyt trudnym w zastawie. Cyna i glina starczyły i łyżki musieli mieć wszyscy; piwo ze dzbanami stawiano dla pospolitych biesiadników, a wino tylko dla jegomości, który niem raczył dostojniejszych wedle własnego wyboru.

Dwór barwę niegdyś miał; ale ta z powodu częstych bojów nie w najlepszym była

stanie i młodzież wyglądała w niej bardzo biednie.

Do tej izby jadalnej zebrało się ludu bożego bardzo wiele, prawdziwa ucztą ewangeliczna. Z miasteczka przyszedł ks. Zaranek, wiodąc za sobą ryżego Niemca, który nie kim innym był jeno znanym nam Tiliusem. Oprócz nich znalazł się Włoch, muzykant i pątnik i dużo innych figur samemu gospodarzowi nieznanym. Wszystko to, gdy pan pisarz miejsce swe zajął, hurmem ławy przekraczać zaczęło i miejsca swarząc się zabierać. Szczęściem Borzykowski trochę mógł utrzymać porządku grozą.

Najbliżej wielkiego ołtarza siedział ks. Zaranek, któremu z oczów nie ciekawie patrzało. Lisowato wyglądał, uśmiechając się, pochlebsko, i jeno skinienia pańskiego zdawał patrzeć aby mu wtorować. Z drugiej strony usiadł ów pątnik, w płaszczu czarnym oszytym skorupami, z tykwą u boku; ale brudny i zszarzony nad podziw, co się chyba długą peregrynacją tłómaczyć mogło. Chociaż dwór był cały nowej wiary i z pielgrzymów do miejsc świętych drwiny sobie strojono, on się wcale ich lękać nie zdawał. Człek był i silnie zbudowany i języka mu nie brakło.

Poczęła się rozmowa, czysta wieża Babel, bo co para, to inny język brzmiał.

— A wyście się tu do nas skąd dostali? — zapytał pan pisarz pątnika.

— Po długiej pielgrzymce do domu powracam, — rzekł pątnik, — byłem w ziemi świętej u grobu Zbawiciela, w Compostelli, w Lorecie, w Rzymie.

— Hm! hm! — odchrząknął Zaranek, — pewnie i odpustów dostaliście.

— Dobrze żem dla siebie u trybunału pod łaską wyrobił rozgrzeszenie, — odparł pątnik, — z tego rad, bom ciężki grzech miał na sumieniu, o drugich nie myślałem.

— Więc choć relikwie i agnuski mieć musicie? — począł szydersko Zaranek.

— I tego nie mam, bo mnie zbójcy dwakroć w drodze do skóry odarli, — mówił pielgrzym, — a gdybym i miał, tobym się z tem nie popisywał, bo tu inny mnie odór dochodzi.

— A jakież? — spytał Zaranek.

— Spalenizna — rzekł pątnik — szczególnie od was. Niech mi pan pisarz przebaczy iż tak otwarcie mówię, ale wiem że choćby z nowotnymi trzymał, ze starych drwić u siebie nie dopuści. Wolno każdemu duszę zbawiać jako chce, ale z tego w co kto wierzy szydzić, jest rzeczą niekzenną!

Zaranek zmilkł i w talerz głowę spuścił, pisarz się uśmiechnął.

Trzeba było rozmowę niebezpieczną odwrócić, bo z pątnikiem widocznie zła sprawa.

Jał więc Zaranek polecać jako teologa Tiliusa, dodając iż właśnie z synowcem pana pisarza do Krakowa przybył.

— Dobrze tylko że nie do Rochowa — dodał gospodarz — boby go tam mój brat nieochybnie wyświecił z miasteczka niepo-
cześnie.

— A cóż z synem uczyni? — spytał Zaranek szydersko się uśmiechając — boć i synowczyk pański tej wiary co i my.

— Jak? co i my? — rzekł pisarz, — albo to waszmość wiesz jakiej ja, albo ja wiem jakiej waszmość? A wreszcie i za jutro nie ręczyć, bo to się teraz mieniąją konfesye jak koszule. Ja waści podejrzewam że i koszuli nie masz i konfesyi też.

Zarumienił się Zaranek, a drudzy śmiać się zaczęli. Purpura gniewu zabiegła mu twarz bladą i pomścić się było mu pilno.

— Zatem rewokuję co się rzekło — odparł — ale przy tem stoję, że do sakramentu jednego wielką ma skłonność — począł złośliwy Zaranek. — Com się to nasłuchał od Tiliusa o jego amorach z piękną jak anioł córunią złotnika.

Pisarzowi łyżka wypadła z ręki. Szlachcicem był do kości. Spojrzał na mówiącego i wargę zamykając dodał:

— Mój teologu, wiele ty pięknych rzeczy

wiesz z nauk świętych, a no w świeckich znać jesteś nieuk. Gdzieś ty słyszał aby polski pan o sakramencie mógł myśleć, kręcąc się około córki plebejusza i rzemieślnika. Myślał ci, ale o rozpuszcie, nie o ołtarzu!

ZarANEK chwilę zmilkł.

— Przepraszam pana pisarza a osobliwego benefaktora mojego, com rzekł to trzymam. Owa córka złotnika nie pospolitego rzemieślnika dzieckiem jest. Ojciec cesarskim się urzędnikiem zowie i szlachectwo otrzymał, a ludzie o nim powiadają, że w skrzyniach złota ma tyle, iżby nie jedno księstwo mógł kupić.

— Gdyby dziesięćkroć tyle miał, — oburzył się pisarz, — nie wiesz co mówisz, teologu!! A no! wara!! Kto ci to plótl, kłamał lub potwarz prawił.

Znowu ZarANEK zmilkł, ale w pisarzu wrzało, bo rzecz była przy świadkach i dla jego rodu i domu nie miła.

— Niech się wasza miłość nie gniewa — poczał zwolna pątnik, — inna to rzecz u nas rzemieślnik, *artifex*, a inna w tamtych krajach. Przecież tam i mieszczanin często szlachtę prześciga znaczeniem i majątkiem. Było się po drodze w Augsburgu u Fuggerów, a nigdzie pono takiej wspaniałości nie widziałem jako tam. Pałac przy Winnym Rynku

królewskiemu równy; albo i drugi na uboczu w ulicy nie pośledniejszy. A co złota i drogocennego sprzętu! Może być ów złotnik od Fuggerów nie gorszy.

— Niech sobie i lepszym będzie, a nie-doczekanie jego, żeby Rochitę do córki zwabił.

Perzył się pan pisarz mocno, ale go ciekawość paliła.

— Splotłeś mi baję — rzekł do Zaranka grożąc.

— Jeszczem nie dopowiedział całej prawdy — podchwycił Zaranek. — Panna ma być nad podziw piękna i uczona a u ojca jedynaczka. Wojewodzie mieszkał w ich domu i prawie od nich nie wychodził. Co za dziw, iż głowę stracił, albo że się Niemcom przyśniło, że go zięciem będą mieli. Ojciec przecie w swoim mieście senatorem.

Pisarz ofuknął: — Milczałbyś...

Stało się więc milczenie, bo z nim też pod dobry czas można było sobie poczynać jak kto chciał, ale gdy się rozgniewał, mijać go bezpieczniej radzono.

Patnik widząc, że z tamtej strony kwas powstał, korzystał z tego i opowiadać począł, jakie cuda widział po świecie. Słuchano go w milczeniu. Bryznął kilka razy przeciw nowatorom, to mu uszło.

Po pielgrzymie zagadnął gospodarz Włocha,

który na skrzypcach był grajkiem i z niemi się po dworach pańskich popisował; potem swoich ludzi po jednym na słowo wyzywał, karcąc i głaszcząc jak mu fantazyja przyszła. Siedział tam w kątku zaszyty Papuski, który owemu Jaworowi głowę rozplatał i pańskiego oka unikał kryjąc się za drugich. Dostrzegł go pan pisarz.

— Papuski! — zawołał — a ty coś to tu nabroił?

Pokazała się twarz szyderska winowajcy.

— Ja? — zapytał — a no nic, chciałem jeno dowiedzieć się, czy u Jawora mózg jest w głowie, bo to tam różnie o tem sądzili ludzie.

Wszyscy się śmiać poczęli, a pan pisarz także rozchmurzył się nieco.

Stół dostatni niewytworny był. Gdy dworzanie pieczone mięsa do kości ogryźli, poczęto wstawać. Nie było się już po nich czem pożywić, i chleba nawet kruszyny nie zostało, tak dobrze wszystko wymietli.

Ruszył się tedy pan pisarz do drugiej izby wołając Zaranka, szepnąwszy mu ażeby Tiliusa zatrzymał. Nie umiejąc języka niemieckiego, a ciekaw się jeszcze dokładniej o przygodzie synowca dowiedzieć, która go wielce zafrasowała, zmuszony był tym tłómaczem się posłużyć.

— Mój teologu, — odezwał się pisarz

surowo — dałem ci wolność nawracania i modlenia się jako chciałeś, *hanc veniam damus petimusque vicissim*; Pana Boga chwal ale mi nie drwij z nikogo, bo tego nie ścierpię.

Popatrzał nań chytry człowieczek i znać rozważył, że się rozpierać z nim nie pora była. Skłonił się tylko.

— To jedno — rzekł pisarz, — a na tem nie koniec: napłótłeś bai o Januszu, chcę wiedzieć jak rzeczy stoją; Tiliusa tego weź tu, niech mówi, a ty mi będziesz tłumaczył.

— Niema potrzeby, — odezwał się Zaranek. — Nasłuchałem się jego opowiadania, a ze swegom nic doń nie dodał. Mogę powtórzyć, zmienić nie potrafię...

— Toć klęska! — zawołał pisarz — ale chłopięcego bałamuctwa brać na seryo nie można.

Zaranek spoważniał.

— Z tego com słyszał od Tiliusa, nie na żadne to bałamuctwo wygląda. Wojewodzie w tym domu rok mieszkał, panna jak anioł piękna, młodzusiańska... Ojciec znać nie był od tego.

— A no, spodziewać się — mruknął pisarz.

— Rok takiego pokuszenia w sercu młodzieńca niezatarte zostawuje ślady. Tilius, który za odprawę w Krakowie bódaj trochę niechęci ma do wojewodzica, rozwodzi się

nad tem i dodaje, iż przez ciekawość ostatniego dnia, gdy się żegnać mieli na przechadzce, za mur się skrywszy, podpatrywał ich i widział na swe oczy, jak pierścienie mieniali, a każde z nich swój na piersiach zawiesiło.

— Dosyć! dosyć! — zawołał w pasyę znowu wpadając pan pisarz — z mieszczańską dziewczką żeby się Rochita mógł zaręczyć, przy zdrowych zmysłachby nie był. Oszalał! Dali mu chyba się napić jakiego licha! Oczarowały go baby. Zapomniał kim jest, i że z nami obu, z ojcem i ze mną nie da sobie rady, bo mu na taką obrzydliwość nie pozwolimy.

Pisarz chodził po izbie ręce łamiąc.

— A temum ja winien i to mi słusznie wojewoda w oczy rzucać może, bom go namawiał aby dziecko słał do tego kraju, gdzie *promiscue* ludzie żyją, żadnej różnicy między sobą nie znając. Sodoma i Gomora!

Nie rychło się pan pisarz uspokoił — a zręczny Zaranek już i słowa nie wtrącił więcej. Chcieli się rozchodzić owi goście „zbierrana drużyna“, ale gospodarz ich nie puścił, bo mu czas się długim wydawał. Zaproszono więc Włocha aby grał, pątnika by opowiadał, a jednemu z dworzan potem przy lutni pieśni światowe śpiewać kazano.

Przyniesiono wino z korzeniami i cukrem gotowane, rozpalono ogień wielki na kominie, dworzanie przyszli pod drzwi cisnąć się, słuchać.

Pisarz siadł wygodnie w krześle szerokiem i tak się już do nocy a raczej do wieczery zabawiano. Nie potrafił jednak nikt, nawet ów pielgrzym, biednego gospodarza rozchmurzyć, tak go powieść o córce złotnika zgryzła i ponurym uczyniła. Ten jednak zagadkowy podróżny, co się Zarankowi pokasać nie dał, najwięcej tego wieczora miał miru. Śmiało mówił i patrzył jakby nie w obszarpanej opończy, ale w złotogłowach wszedł na pokoje; miał też pańską minę, nie żebraczą, i pisarz go polubił, tak że go na kilka dni odpoczynku zaprosił.

Pieśni po pieśniach następowały, aż się wreszcie stary pan niemi upoił i ciężkiego frasunku zapomniał.

XI.

Gdy wojewodzina objawiła życzenie, które dla Dubrowiny było rozkazem, iż syna widzieć musi, starsza pani zadrżała cała, myśląc co pocznie i jak tego dokazać potrafi. Nigdy się nie trafiło jeszcze w Rochowie, ażeby sama pani coś bez wiedzy męża chciała uczynić i od ludzi żądała tajemnicy. Całe jej życie jawnem było i posłusznem, pierwszy raz w niem dwa uczucia walczyły z sobą.

Nie wiedziała też użyta za powiernicę

kobieta, jak się do tego wzięść, i zdało się jej, że każdy krok, każde słowo ją zdradzi. Szarego mroku doczekawszy, wyszła, nie wiedząc co ma czynić, ku bramie. Gdyby ją tam wojewoda był spotkał a spojrzał groźno, sądziłaby, iż tajemnica się wydała, tak się lękała zdradzić sama siebie. Kołując ostrożnie dostała się do miejsca, gdzie burgrabia wsparty o mur stał zadumany w oczekiwaniu, bo mu się zdało, iż wojewoda próbę posłuszeństwa uczyniwszy, syna uwolnić musi. Nikogo na szczęście nie było, mogła się więc zbliżyć ku niemu niepostrzeżona. Zdziwił się stary zobaczywszy nadchodzącą, ale łatwo się domyślił o co szło, i że o panicza zagadnąć go pewnie chciała.

Pozdrowili się skinieniem głowy.

— O mój panie Wawrzyńcze, czegośmy to dożyli! — odezwała się pani starsza.

— Dopust Boży, straszny — krótko odparł staruszek. — Za pamięci ludzkiej nie nigdy takiego nie było.

— Miarkujecie co się z panią dzieje, — mówiła Dubrowina — biedna, święta pani nasza mdlała, że ją ledwie docucić było można; przecie się wojewoda skruszyć tem nie dał.

To już panu Wawrzyńcowi nic odpowiedzieć nie było można; bo na pana nie śmiałyby był i najłżejszego wyrzec słowa,

— Litość bierze nad nią! — mówiła ciągle dalej kobieta — bo ją to najwięcej boli, że nawet od przyjazdu syna tak jak nie widziała a sam na sam z nim rozmówić się nie mogła. Możeby było inaczej się to obrócić.

— A cóż na to radzić! — westchnął stary.

Zbliżyła się jejmość i rękę położyła na dłoni namulonej burgrabiego...

— Nie zdradzisz mnie ani pani naszej? — odezwała się — ona nocą chce do więzienia synowskiego wniknąć, aby z nim mówić mogła.

Burgrabia pobladł, głowa mu na piersi zwisała, uszy zatknął.

— Nie mówcie — mruknął — nie kuście; a gdyby się wojewoda dowiedział, on co nikogo tu wpuszczać nie kazał!

— Aleć matka!

— Nie mówcie, — powtórzył burgrabia — wiecie, że i ja i moja rodzina w mocy tego strasznego człowieka. Chcecie li ich zguby?

— Pani współwinną będzie, więc was obroni.

— Niech każe, nie prosi — rzekł burgrabia. — Pana i panią znam tu jako równych. Rozkazanie jej drzwi otworzy.

Dubrowina ucieszyła się odpowiedzią.

— Toście rozumni, — rzekła — i więcej mi nie trzeba. Ku północy przyjdziemy.

— A zginąć przyjdzie — dodał zamyślony

starzec — dla niej, dla tej świętej pani naszej, choćby życie poświęcić przyszło... nie pożałuję.

Prędzej tedy niż myślała, zwyciężywszy słaby opór stróża, powróciła z równemi ostrożnościami pani starsza do zamku i wcisnęła się do pokoju wojewodziny. Tu jednak zastała wojewodę i nic jej powiedzieć nie mogła. Podniosła we drzwiach zasłonę, zajrzała i prędko ją opuściwszy czekać musiała, aż wojewoda odszedł do siebie.

W chwilę potem była już u łoża pani, przy którym przykleknęła.

— Pani droga, rzekła zniżając głos — wejście mamy: burgrabia pomimo trwogi otworzy, chce tylko rozkazania waszego. Lecz jakże wśród nocy, mimo stróżów zamkowych, podwórze przejść i niewidzianym się stąd wymknąć i niespotrzeżonym powrócić!

Nic już nie odpowiedziała na to wojewodzina, bo jej nadzieja widzenia dziecka sił dodała. Poczęła wstawać z łoża i odziewać się, choć godzina jeszcze była daleką, o której bez niebezpieczeństwa wyjść mogły. Cały ten czas niemal spędziły na modlitwie. Dubrowina wyglądała niekiedy oknem w podwórze ciemne i śledziła kroki stróżów, którzy się w szerz i wzdłuż przechadzali. Przestrzeń dzieląca zamek od bramy nie była wielka, można

ją było przebyć niepostrzeżonym, a pod ciemnym sklepieniem niktby ich nie mógł zobaczyć. Obie wzięły suknie czarne i pochowały rąbki białe, aby ich nie zdradzić nie mogło.

Wojewodzina długo wycierpieć oczekiwania nie mogła, dobrze więc przed północą przez tylne drzwi cicho roztworzone wysunęły się kobiety obie i drżąc przemknęły ku bramie. Wojewodzina osłabła ledwie na nogach utrzymać się mogła.

Stary Wawrzyniec oczekiwał już pod sklepieniem i w milczeniu ujawszy rękę wojewodziny, pomógł ją prowadzić wśród ciemności tych, w których on tylko sam drogę mógł znaleźć. Dopiero w boczne zagłębienie wszedłszy, skąd do lochu drzwi były w murze ukryte, odsłonił latarkę małą, któraby wydać ich mogła. Dubrowina musiała u progu pozostać. Z męstwem, które siły jej przechodzić się zdawało, wojewodzina spuściła się w głąb ku okutym drzwiom, które burgrabia otworzył i wprowadził ją do lochu.

Janusz siedział wsparty o ścianę, w oknie u kraty stał na dworze Józiak, który, ujrawszy blask wewnątrz, cofnął się wylekły.

Wojewodzina weszła, potykając się, z rękami załamane, oczyma szukając syna.

Ujrawszy ją, a raczej domyśliwszy się matki, Janusz podbiegł ku niej, obejmując jej

kolana. Ona zniżyła się ku niemu i płakała, powtarzając wśród łez:

— Dziecko moje! dziecko moje! — I nie mogąc się dłużej utrzymać tak, poczęła szukać gdzieby paść lub usiąść mogła.

Syn podprowadził ją ku tej ławie kamiennej, na której dlań ubogie rzucono posłanie.

Przy słabem świetle latarki matka zaczęła wpatrywać się w zbladłą twarz dziecięcia. Smutek na niej walczył z męstwem, które zrodziło prześladowanie.

— Dziecko moje! — powtórzyła wojewodzina — widzisz mnie tu, pomimo ojca woli; pierwszy raz w życiu dla ciebie stałam się mu nieposłuszną, rozkazom się jego oparłam... grzech wzięłam na sumienie. Lecz potrzeba mi było widzieć się i mówić z tobą, pocieszyć ciebie i siebie. Wymówek ci czynić nie będę, młodość twa i obcych ludzi urok tłómaczą ciebie; miałeś serce z nami wszystkimi wziąć rozbrat, nas wszystkich się wyrzec, nawet grobów, w których śpią dziadowie twoi?

Janusz spuścił głowę i wziął rękę matki zbliżając ją do ust.

— Matko moja — rzekł, — ty co tak miłujesz Boga, który prawdą jest, możeszże mi za złe mieć, iż za tem co mi nią jaśniej, idę? Godziłożby się, bym kupił spokój fałszem i kłamał?

— Tyś to kłamstwem nazwał, coby może cnotą było! — odpowiedziała wojewodzina. — Możesz ręczyć, iż to co ci dziś prawdą się wydaje, zawsze nią dla ciebie będzie? A jeśli to złudzenie i obłęd, a ty dla niego święcisz co najdroższe w życiu: miłość rodziny, wierność jej Bogu, domowy spokój... wszystko?

I znowu była milczenia chwila.

— Nie skarż na ojca — dodała, — on jest stróżem domowego ogniska, on głową odpowiedzialny za nas, na niego Bóg zlał sam władzę nad rodziną.

— Nie skarżę — cicho odezwał się Janusz — jest panem moim, lecz nie sumienia mojego.

— Dziecię kochane! on sumieniowi gwałtu nie zadaje, lecz zgorwienie ukryć musi... i dać czas do upamiętania.

Tu lzy jej przerwały.

— A! — zawołała — nie moja rzecz nawracać cię; modlić się będę za ciebie, aby tego większa nad moją, najpotężniejsza siła łaski dokonała. Mnie zostały lzy i miłość dla ciebie... Janie... powiedz, nie zatrujeż ci to życia, jeśli mnie losem swym do grobu wtrącisz?... Ja nie czuję sił... jam słaba, ja tobą żyłam tylko, ja twoją karą konać będę... jam matka... każdy jęk twój w mojem się sercu odbije.

Rzucił się przed nią Janusz na kolana, z rozpromienioną twarzą.

— Ale ja nie cierpię — zawołał — ale ja nie wydam jęku, ja z rozkoszą zniosę wszystko... choć więcej mam na tem sercu niż ty, matko droga, przeczuwać możesz i domyślać się nawet. Ja tam, za sobą, w tym kraju, w którym mi spłynęły ciche chwile młodości, zostawiłem...

Zabrakło mu głosu. Wojewodzina pobladła, oczy jej zajaśniały blaskiem strasznym, i drżenie porwało ją; nie śmiała się odezwać, czuła nadchodzące nieszczęście nowe...

— Ty jedna zrozumieć i uniewinnić mnie możesz, — mówił klęcząc ciągle Janusz. — Byłem sam, otaczali mnie ludzie obcy; Opatrzność zesłała mi pociechę — anioła.

Rysy wojewodziny oblekały się coraz surowszym wyrazem.

— Nie rozumiem cię — odezwała się — znów trzymasz mnie na mękach. Jeszczeż więcej nad to co jest, potrzeba było — utrapienia...

A po cichu dodała, jakby krusząc się za to mimowolne narzekanie:

— Bądź wola twoja... o Panie!

Januszowi słów zabrakło, myślał długo.

— Nie — rzekł — przed tobą, matko, nie godzi się mieć tajemnic. Znalazłem tam kobietę, piękną jak anioł, godną by się córką.

twą nazwać mogła; przywiązałem się do niej, ona do mnie, dałem jej słowo, że ją posłubię... i słowa mojego dotrzymam.

Usłyszawszy to wyzwanie, jakby piorunem rażona, wojewodzina zamilkła. Cios to był niemal sroższy dla niej nad ten, który już zniosła.

— Janie — odezwała się — ani sobą, ani sercem rozporządzać ci w tym wieku nie przystało. Żona twoja, to matka rodu, to przyszła domu głowa, to córka dla mnie i ojca być musi... i tyś śmiał sam uczynić wybór?

— Ja ją kocham, matko droga! — rzekł Janusz.

— Więcej niż rodziców, niż imię i poczciwość swą? Lecz któż ona jest? kto ona jest?

Januszowi wyrazów zabrakło, ręką zakrył oczy.

— Jest nie wysckiego rodu — odezwał się, — ale szlachectwo ojcu nadał cesarz... i majątkości mają wielkie.

— Obca? Niemka? — podchwyciła matka — obca nam, jakże ona być może córką naszą!! Janie! oni cię z rozumu zwiedli. Żal mi cię. To być nigdy nie może! Znasz ojca. Ja cię kocham, lecz i dla mnie za wielkąby była ofiara.

Zakryła oczy i płakała wojewodzina; nie spodziewała się tego nowego spadającego na

nią nieszczęścia. Miała nadzieję nawrócenia dziecięcia — teraz się ono oddalało od niej. Sama odwaga, z jaką syn wyznawał jej obłęd swój, świadczyła o jego gwałtowności. W głowie nieszczęśliwej matki straszne obrazy przyszłości przesuwały się, napełniając ją grozą. Czuła, że traciła syna — i lzy lały się z pod jej powiek a jęk przerwał mowę. Janusz całował ją po rękach.

— Matko moja, uspokój się, — mówił w uniesieniu, — ona będzie najlepszą córką, najpokorniejszą sługą twoją; łagodną jest i dobrą i jak dziecię posłuszną.

— Nie mów mi o niej — przerwała z ązłem matka, — mnie i sobie nie krwaw serca. Nieszczęśliwa to godzina, gdyś dom rodzicielski i kraj opuścił rodzinny; gdyś poszedł między obcych szukać tego, co mogłeś zdrowszem znaleźć w domu, nie zatruwając nam sobie życia. A! jestże mądrość, któraby wartą była cnoty...? Cóż nam po nauce twej, gdyś wrócił chłodnym, ostygłym i obcym tu gdzie gorące serca tęskniły po tobie.

Słyszając wymówki, Janusz z wolna puścił ręce matki.

— Cóż mam powiedzieć na obronę moją, — odezwał się — jeśli ty bez litości potępiasz mnie, ty, matko moja, coś dla mnie była miłosierdziem i miłością a łaską...? Jeśli z twych

ust taki wyrok wychodzi, jakiegoż się mam z ojcowskich spodziewać?

Wstał wojewodzie, odstąpił kroków kilka i oparł się o słup więzienny. Spojrzała nań matka, litość w niej obudził; wstała i rzuciła się ku niemu łkając a ściskając go namiętnie.

— Wszystko, nawet twe serce mi odebrali! — zawołała — jakże ich nie mam nie-nawidzić i przeklinać!

— Ale ja cię kocham, matko moja — rzekł Janusz, — trzebaż lepszego dowodu nad to, że ci najdroższą chciałem zwierzyć tajemnicę?...

— Gdybyś mnie kochał, poświęciłbyś tę nową miłość dla świętszej a tej, którą Bóg sam serca nasze połączył.

Janusz nie odpowiedział nic, schylił się do jej kolan znowu — płakali. Wojewodzinę ogarniała trwoga i niemal rozpacz, siły ją opuszczały, czuła że już dziecięcia ku sobie nie skłoni... Pochwyciła namiętnie głowę jego i okryła ją pocałunkami. Chwiejącym się krokiem, nie oglądając za siebie, skierowała się ku drzwiom. Janusz szedł za nią.

Czuwający przy progu Wawrzyniec usłyszał kroki i drzwi otworzył szybko. Wojewodzina zwróciła się ku synowi, w milczeniu krzyż zakreśliła nad głową jego i wyszła.

Dubrowina, która czekała na nią, uczuła

cały ciężar osłabłego jej ciała zwieszającego się na jej ramię. Skinęła na Wawrzyńca, aby podtrzymał niemal omdlałą; i tak we dwoje wyprowadzili ją ku wrotom, gdzie chwilę, rzeźwiąc się, stać musiała.

Burgrabia, który pozostał u bramy, ujrzał je znikające w ciemnościach i powrócił na swe stanowisko.

Jakie ta scena uczyniła wrażenie na umyśle i sercu Janusza, odgadnąć było trudno. Stał długo u słupa, patrzył za matką. Zapominać się zdawał co się z nim działo; zwłókł się potem ku barłogowi swojemu i rzucił na posłanie.

Nazajutrz niktby nie był dojrzał najmniejszej w zamku zmiany, ktoby o wypadkach zaszłych tu nie wiedział. Wojewoda panował nad sobą tak, iż nie chciał dać poznać co cierpiał. Życie musiało płynąć raz oznaczonem korytem, godziny wołały na modlitwę, do pracy, a on sam, choć z bolem w sercu, nie uwolnił się od żadnego obowiązku.

Wojewodzina tylko pozostała w łóżku, nie mogąc już powstać z niego. Przebudzona po nocy w gorączkowych przebytej marzeniach, chciała dźwignąć się i z trwogą uczuła, iż ją siły opuściły. Nie pomógł wysiłek żaden; rozplakana musiała być posłuszną Dubrowinie i posłała ją oznajmić wojewodzie, że słabą się

tak czuje, iż ruszyć się z łóżka nie może. Posłyszawszy to zbladł starzec i natychmiast poszedł do łóża żony.

Ona starała mu się uśmiechnąć i okazać spokój, jakiego w duszy nie miała. Z łagodnością mówiła z nim, nie wspominając o niczem bolesnem; oczyma tylko zdawała się go błagać za dzieckiem.

Wojewoda też nie mówił o Januszu. Chciał po królewskiego lekarza śłać do Knyszyna lub Krakowa. Nie pozwoliła na to wojewodzina.

— Słabą się tylko czuję, to przejdzie samo — odezwała się starając uśmiechać, — nie trwóż się, daj mi tylko spocząć.

Tak zszedł dzień ten smutnie. Kilka razy przychodził dowiadywać się wojewoda, kilkakroć wstać usiłowała chora, aby choć w krzesle sięść i panu swemu się okazać już silniejszą; ale za każdym razem mdłości nie dopuściły jej się podźwignąć.

Wieczorne modlitwy odmówiła tak wsparta na poduszkach, otoczona swoim dworem, z obawą wpatrującym się w zmienione pani oblicze. Noc przeszła niespokojnie. Zrana wojewoda znalazł żonę słabszą, lecz spokojniejszą. Zdawało mu się, iż przecierpiawszy pierwsze chwile, zwolna do sił powracać zacznie.

Każdego z tych dni burgrabia stawił się przed wojewodą, który pytał czy rozkazy jego były spełnione, ale nic w nich nie zmienił.

Trzeciego rana, jeszcze przed pobudki godziną, burgrabia blady jak trup zastukał do pańskiej sypialni. Było w tem coś tak niezwyčajnego, iż pan wojewoda, który nie spał, zerwał się w pierwszej chwili zapomniawszy na powagę swoją. Gdy burgrabia wszedł na próg chwiejąc się, padł na kolana i złożył ręce.

— Karz mnie, panie, — lecz, Bóg świadek, jam niewinien!

— Co się stało? — hamując głos zapytał wojewoda.

— Wojewodzie uszedł! — rzekł stłumionym głosem stary.

Na obliczu wojewody odmalował się gniew hamowany.

— Jakim sposobem ujść mógł?

— Okno wyłamane.

Narzuciwszy opończę, która przy łożu leżała, wojewoda, nie mówiąc słowa, wyszedł wskazując Wawrzyńcowi, aby go prowadził. Otworzył stary drzwi lochu. Wygięte kraty, na pół, połamane, wisiały jeszcze trzymając się muru. Kilka kamieni, które z góry stoczono, pomogły do wdrapania się ku wązkiemu oknu. Oczywiście ucieczce ktoś z zewnątrz pomagać musiał.

Stary spojrział tylko, jak zwykle zachowując krew zimną i nie wywnętrzając się przed burgrabią, który w tej chwili myślał tylko czy

mu będzie niedozór przebaczony. Klucz od kuny, w której wprzód zamknięty był Janusz, miał wojewoda, leżały tam papiery i odzież podróżna wojewodzica; nie zabawiwszy długo, kazał się stary prowadzić na górę. Tu znaleziono drzwi wyparte i rzeczy zabrane. Ucieczka więc była zawczasu obmyślaną i wykonaną z wyrachowaniem; ona razem świadczyła o buncie i wyłamaniu się samowolnem z pod władzy ojcowskiej i oporze dziecięcia.

Podejrzanie o daną pomoc do ucieczki padło na towarzysza podróży, na wiernego Józka; lecz myśli pierwszej nikt poddać nie mógł, tak władza pańska była tu szanowaną, nikt inny oprócz zepsutego syna. Wojewoda był tego pewny, kazał jednak szukać chłopca i burgrabia rozesłał czeladź po niego.

Widziano go u okna lochu, co tem więcej dawało do myślenia, iż był współnikiem zbiega.

Jakiemi uczuciami napełniła się dusza ojca, nikt z jego oblicza nie wyczytał; surowemi, krótkimi kilku słowy wybadał ludzi, rozkazał loch i kunę zamknąć, padającego mu do nóg burgrabiego zbył milczeniem i powrócił do mieszkania.

Słyszano go potem chodzącego cały ranek żywymi krokami po niem. Nie przywołał nikogo, słowa się nie odezwał, zamknięty pozostał aż do godziny modlitwy, na którą gdy się ludzie

zgrupowali, wyszedł i pokłękł jak zwyczajnie. Twarz tylko miał bledszą i wyraz surowszy jeszcze.

Po modlitwach przywołać kazał Dubrowinę i spytawszy jej czy wojewodzina wiedziała o ucieczce. — o której nikt jej nie śmiał oznajmywać — zakazał pod grozą największą, by mówić o tem nie śmiano.

— Ja sam powiem jej o tem — rzekł cicho — gdy uznam, że znieść będzie mogła.

Gdy Dubrowina odeszła, posłano po księdza staruszka na plebanie.

Wojewoda rzadko się kogo radził, w ważnych jednak wypadkach nie gardził zdaniem doświadczonych ludzi, a szczególnie szacował starca tego i piękny spokój jego duszy. Na chwilę tylko poszedłszy z pozdrowieniem do żony, której zapytań się obawiał, pospieszył do własnego pokoju i tu na plebana oczekiwał. Zjawił się on, już po drodze uwiadomiony o tem co zaszło we dworze. Przeczuwał rozmowę swą z wojewodą, i powoli idąc a nie kwapiąc się do zamku, zdawał się w sobie ważyc co powie, jeśli na radę wezwany zostanie.

Stary czekał nań chodząc po izbie. Gdy ksiądz wszedł, pospieszył ku niemu... i — w milczeniu posadził go przy stole. Sam też zajął miejsce naprzeciw niego. Ból, który przewzięty się starał, tryskał z oczów i wyrazu

całej twarzy od dnia wczorajszego zmienionej straszliwie. Sam bój wewnętrzny i praca aby nic nie okazać po sobie, złamały go widocznie.

— Mój ojciec, — rzekł — Bóg dotknął srodze dom nasz. Święta wola Jego, nie szmerzę, lecz jęknąć muszę. Miałem jedno dziecko, straciłem je. Część winy spada na mnie, wielka, największa może. Wszakżem się zgodził wyprawić go tam, skąd tylko z zarazą mógł powrócić. Stało się czegom się lękał. Obcym, innym przyszedł do rodzicielskiego domu. Byliście świadkami wypadków. Postąpiłem sobie surowo, tak mi kazało sumienie; nic, zdaje mi się, do wyrzucenia sobie nie mam. Byłem sędzią, lecz powinien był we mnie czuć serce ojcowskie. Zamiast posłuszeństwa i poddania się w pokorze, podniósł bunt — uszedł, wyłamał się z pod mej władzy i opieki. Wszystko poprzednie jest niczem obok tej winy jego. Nie mam syna! nie mam dziecka! Jestem zmuszony wydziedziczyć go i wyrzec się!

Wojewoda zamilkł. Ksiądz podniósł leżący na stole krucyfiks i pokazał go wojewodzie.

— To moja odpowiedź cała — rzekł, — patrz na Ukrzyżowanego: On był przebaczeniem, miłosierdziem i dobrocią. On odpuścił grzesznicy, On łotrowi na krzyżu słał wyrazy pociechy, On modlił się za swych katów, On

nigdy nie potępiał, bo znał słabą naturę ludzką. Piotrowi, który go się zaparł trzykroć, dał przecie klucze królestwa swojego. Mówimy ciągle o naśladowaniu Chrystusa Pana a czemuż nie chcemy przejąć się duchem Jego?

— Mój ojcze, mój ojcze, — spuszcżając oczy odparł wojewoda. — Serce moje i w tej chwili przebaczyć jest gotowe, lecz skrucza jest pierwszym zmazania winy warunkiem. Właśnie tej nie znalazłem w synu. Przykład nieposłuszeństwa zerwie wszystkie węzły rodzinę łączące; cóż wtedy będzie? Syn powstanie przeciwko ojcu, brat przeciwko bratu, pękną te święte więzy, co nas w jedną dzieci Bożych gromadzą czeladkę, jaka przyszłość dla ludzkości? Jeśli ja pobłażę... winnym będę przeciw wszystkim: ojcowskiej władzy mej się zaprę.

— Czyńcie co wam własne sumienie nakazuje, — rzekł ksiądz — lecz jeśli spytacie mnie, kapłana, ja nie znajdę innych nad wyrazy miłosierdzia. Dla czegożbyście spieszyć się mieli z potępieniem nieodwołaniem dziecka? Dajcie mu czas do opamiętania.

Mówił stary cichym głosem, drżącym, a wojewoda słuchał go potrząsając głową.

— Nie ja będę sędzią jego, on sam się nim stał — odezwał się. — Uszedł, niema więc między nami wspólnego nic. Nie chciał być synem, ja ojcem być nie mogę.

— Młodość! — rzekł staruszek.

— Tem większe zuchwalstwo, gdy w takim wieku już do otwartego buntu przychodzi.

— Panie wojewodo — po chwili zamknął kapłan — milczę, rada moja nie potrzebna snadź.

— Cóżbyście uczynili na mem miejscu?

— Czekalbym opamiętania.

— I puścił go bezkarnie? — wybuchnął wojewoda powstając. — Spójrzcie, co się po świecie dzieje i jakie się nam zwiastują czasy, i czy pora pobłażać, gdy wszystko się rwie i pęka? Żony odchodzą mężów, duchowni rzucają ołtarze, dzieci się rodziców wypierają, rodzeństwo zagryza się o kości. Jeśli ci, co stoją przy prawach starych, nie pójdą w obronę ich, — bezbrzeżna rozpusta świat ogarnie.

— Nie — rzekł powoli kapłan — przypomnijcie sobie czasy, gdy Zbawiciel na świat przychodził. Byłoż naówczas lepiej? Nie gorzej jeszcze rozpasanie panowało nad światem? nie obrzydliwszaż jadła ludzkość zgnilizna? Czemże ją Chrystus pokonał? nie klątwą ani chłostą, ani potępieniem... ale miłością i przykładem cnoty.

Wojewoda zamyślił się ponuro.

— Więc jabym miał — zawołał — zostać zwyciężonym i milczeć, dać się sobie urągać i znieść szyderstwo z mej władzy? Od kogo?

od własnego dziecka mojego! Nie, to nie może być; jutro mi wypowie posłuszeństwo co żyje podemną, a skarać nie będę śmiały buntu, pobłążywszy najwinniejszemu. Nie! nie! ja nie mam dziecka! ja go nie znam i znać nie chcę!

Książd poruszył się na siedzeniu.

— Panie wojewodo — począł mierząc go wzrokiem spokojnym — nie o jedno dziecko tu chodzi, ale razem o najdroższą ci towarzyszkę żywota. Zniesieź ona ten cios, potrafiź ona wyrzec się dziecka swojego? Pomyśl, czy nie wydałbyś też na nią wyroku śmierci. A cóż ona jest winną, ta święta istota? Nad nią, jeśli nie nad dzieckiem, litość mieć powinniście.

Stary drgnął.

— Chora jest i o niczem wiedzieć nie będzie. Wydałem rozkazy. Nie zapyta mnie, bo wie, że pytaniem zakrwawiłaby mi serce. Będę czekał aż odzyska siły, lecz pewien jestem hartu jej duszy; przyjmie ona słuszny wyrok i uzna jego sprawiedliwość.

— Stoicie przy swoim — odezwał się książd — na nic się tu rada moja nie zdała. Pozwijcie, zawołajcie, rozkażcie wrócić, zagrożcie, ale nie karzcie niewysłuchanego! Sąd schwytanemu na uczynku złoczyńcy daje obrońcę i słucha go: komuż jeśli nie ojcu przystało wyczerpać wszystko, nim się rozłączy z wła-

snem dziecięciem i powoła na głowę jego pomstę Bożą idącą za niebłogosławieństwem?

— Jam tylko cichy sługa Boży — dodał proboszcz — ja więcej z ubogimi niż z wami możnymi tego świata mam do czynienia. Wy stoicie na świeczniku i nawykliście w surowość tylko wierzyć i grozić; rachujcie się z sumieniem, abyście jej nie nadużyli, dajcie przystęp miłości do duszy waszej!! nie kupujcie sobie zgryzot, a dziecku nie zamykajcie drzwi do powrotu. We wszystkim co czynicie surowości zbytek, miłości za mało, — mówił poruszony staruszek. — Chcieliście prawdy, kapłan nie mógł jej zamilczeć; a czy ściągnie na siebie gniew wasz... byle Bożego nie miał nad sobą, cóż mu z tem??

Wojewoda zbladły stał jak słup. Ubodło go co starzec powiedział, zmieszał się i nie odpowiedział nic. Pleban skłonił się nisko, pozdrowił zwykłym chrześcijańskim; Niech będzie pochwalony! — i wyszedł.

XII

Ucieczki z więzienia Janusza łatwo się szczegółów domyśleć. Po widzeniu się z matką ogarnął go smutek, rozpacz niemal. Potępienie przez nią jego miłości dla Frydy, surowe jej wyrazy, dawały przewidzieć przyszłość, której Janusz przypuszczenia nawet znieść nie mógł.

Burzyło się w nim wszystko na tę myśl, że wyrzeczy się musiał tego, co ukochał najmocniej.

Ani ojciec, ani matka nie mogli więc przebaczyć mu i pobłogosławić. Nie zostawało więc nic, tylko się zaprzeć samego siebie, lub rozkuć pęta co go wiązały. Młodzieńcza wyobraźnia poruszała sercem i burzyła je. Z każdą chwilą rósł niepokój i rozpacz; upokarzająca niewola przyczyniła się do ich zwiększenia. Drugiego dnia wpadł w rodzaj szału i gorączki. Józiak siedział pod oknem. Zbliżył się ku niemu, znał przywiązanie chłopaka do siebie.

— Słuchaj — zawołał głosem rozpaczliwym, — ja się tu uduszę, ja nie wyżyję, ja umrę, ja muszę uciekać.

Przykląkszy u kraty Józiak głowę przechylił ku niemu.

— Ale to niepodobieństwo, — rzekł cicho — u drzwi na straży burgrabia, w zamku pełno ludzi, w oknie krata.

— Ja muszę być wolny — krzyknął Janusz, — na żelazną kratę jest twardsza od niej piła, są ręce co ją wyłamią... kamień wykruszą. Ty mi powinieneś dopomódz; mnie więzienie to o szalenstwo przyprawi. Idź, szukaj ludzi, płac, a ratuj.

W tej chwili przypomniał sobie wojewodzie

nietknięte w drodze pieniądze Hennichena; część ich, zawinawszy w oddarty kawał podszewki od sukni, wyrzucił Józciakowi i rozkazał mu szukać sposobów uwolnienia.

Było to zadanie nad siły biednego niedoświadczonego i wcale do takich przedsięwzięciw niestworzonego chłopca. Odbiegł od okna lamentując i rozpaczając, nie wiedząc komu się zwierzyć. Zdawało mu się w końcu, że podstarości, który okazał litość nad wojewodziecem, mógłby mu przyjść w pomoc. Pobiegł do niego, wiedział że go przynajmniej nie wyda. Ale na pierwsze cicho wyszeptane słowo stary głową potrząsł.

— Ja nie pomogę, byłoby obrazą Bożą, aby syn od ojca uchodził; winien pan wojewoda, że go katuje, ale winniejszy on będzie, jeśli pomyśli o ucieczce.

Józciak zaczął mu rozpacz Janusza opisywać i groźby, że sobie życie odbierze. Podstarości zbladł, ręce łamać począł, chciał naprzemianny to iść donieść o wszystkim wojewodzie, to biedz i ratować dziecię. Po długich targach z sobą i z Józkiem stanęło na tem, że podstarości wskazał w miasteczku człowieka, który za pieniądze mógł się na wszystko ważyć. Był to stary kowal, o którym różne chodziły wieści, który już kilkakroć zbiegał i powracał do chaty.

Józiak dosyć niezręcznie przekradł się do niego i po cichej naradzie, gdy noc nadeszła, z nim razem podkradł się pod loch, gdy załoga i dworscy już spali. Kował obmacał tylko kratę, pomruczał i w pół godziny, nadpiłowawszy ją u góry, wyłamał. Stoczono parę kamieni, i Janusz prędzej niż się spodziewał, na świat się wydostał. Kował uciekł natychmiast.

Mogli już uchodzić, lecz nawet pod groźbą pochwycenia Janusz papierów swych i pamiątek nie chciał zostawić w ręku ojca. Mimo odradzania i zakłec Józiaka wdarł się na górę do kuny, drzwi wyważył i co tylko pochwycić się dało, zabrał z sobą. W czasie tej śmiałej napaści na izby zamknięte burgrabia usłyszał hałas i przestraszony pobiegł na górę. Tu oko w oko spotkał się z Januszem i osłupiał. Nie słyszał bowiem wyłamywania kraty i nie przypuszczał takiego zuchwalstwa.

Zobaczywszy go Janusz, widząc, że natychmiast pochwyconym być może, postąpił ku niemu i odezwał się: „Jestem w twoich rękach, czyni co chcesz, ale wiedz, że sobie raczej życie odbiorę, niżbym do więzienia miał powracać“.

Stary Wawrzyniec, między obawą kary a ohydą zdradzenia pańskiego dziecka nie zawahawszy się nawet, wybrał pierwszą. Co najprędzej kazał mu Wawrzyniec uciekać.

Śiodła i rzędy z ostatniej drogi leżały w izbie, wzięli je na ramiona Józia i Janusz i zbiegli. Burgrabia nie potrzebował im mówić, gdzie były stajnie i konie.

Tak przyszła do skutku ta ucieczka — i nim dzień się zrobił, Józia z swym panem, młodymi rączymi końmi kilka mil lasami zrobili, kierując się ku Zalesiu Rochowskiemu. Nie miał wojewodzie do wyboru innego miejsca, a pan pisarz sam mu z dobrej woli zapewnił u siebie przytułek.

Obawiając się pogoni, przez pół dnia pędzili lasami bez drogi; później potrzeba było wywiedzieć się o kierunek, i Józia na zwiady ruszył, szukając gościńca, karczemki lub wioski. Zabawiło go to czas nie mały, i dopiero pod wieczór oba razem już znaleźli się na drożynie wiodącej w głąb lasów, która ich do wsi jakiejś doprowadzić miała. Ani jeden ani drugi nie znali dość dobrze okolicy, tak iż zbłądzili zupełnie, noc na łące w ostępie spędzić musieli, i nazajutrz dopiero skierowano ich na drogę ku Zalesiu. Trzeciego dnia około południa znużeni, porozbijawszy konie, ujrzeni przed sobą miasteczko i dwór. Janusz czuł się tu już bezpiecznym.

Szcześnie wielkiem pisarz jeszcze był w domu; gdy mu znać dano, wybiegł przestraszony i zmieszany do synowca.

— Na miłego Boga! tak prędko! cóż się stało! rad ci jestem, ale się nie spodziewałem.

Szli więc razem do pałacu, gdzie się w sypialni pana pisarza zamknęli.

Gospodarz, mimo całego przywiązania do synowca i gorącego dlań serca, czuł się w przykrem położeniu. Walka z bratem była mu nie na rękę. Wszystko co wymagało cięgu, taktu, wytrwałości, nie smakowało panu pisarzowi. Wybryk niespodziany był w jego charakterze, ale po nim zawsze prędko niesmak i znużenie następowało.

Janusz opowiedział mu wszystko. W oczach stryja był najzupełniej niewinny, przecież gdyby się to było inaczej jakoś obróciło, byłby pisarz stokroć więcej zadowolony. Nie mógł Januszowi odmówić przytułku, ale się mocno frasował. Co tu było począć dalej?

Między Rochowem a Zalesiem miała się tedy rozpocząć wojna na dobre, i z wojewodą naprawdę zerwać należało.

Wyściskawszy Janusza, posłał pan pisarz po marszałka dworu, aby opatrzyć kwaterę i obmyślić usługę.

Pomiędzy ludnością pałacową rozeszła się zaraz wieść o przybyciu, domyślano się nawet z jakiego powodu. Zaledwie wojewodzie znalazł się w wyznaczonych mu komnatach, gdy Tilius dowiedziawszy się o nim, choć żał miał

doń, nadbiegł zdyszany od probostwa, gdzie się z Zarankiem w polemikę teologiczną bawił, dostarczając mu najświeższych do nawracania argumentów.

Dawni towarzysze powitali się uśmiechem. Dla Janusza przynosił z sobą Tilius miłe wspomnienie pobytu w Wittemberdze... Frydy i dni pogodnych spędzonych na rozmowach o Bogu, świecie i wielkich zagadnieniach, w których umysł ludzki gubić się lubi.

Przed nim jednak nie rad był się wojewodzie spowiadać z tego, co go w domu spotkało, i zbył go kilku ogólnemi słowy.

Część dnia tak zeszła na spoczynku. Nad wieczór pisarz prosił do siebie synowca; zamknęli się znowu w sypialni.

Biedny pan pisarz był wielce markotny, okazywał czułość dla Janusza, a znać było, że frasunek o siebie ją przewyższał.

— No, stało się com przewidywał — odezwał się wzdychając — przyznam ci się jednak, że tak bardzo rychło katastrofy się nie spodziewałem. Wojewoda zawsze grzeszył zbyt surowością; tobiebym nic nie miał do zarzucenia, ale pocóż było wdawać się w te niemieckie amory!

Janusz się zarumienił, domyślając się już, kto tu o nich mówić musiał, ale zmilczał.

— Tego to i ja pochwalić nie mogę —

dodał pisarz. — Jakże ci to mogło przyjść do głowy, ażeby wojewoda, matka, albo i ja pozwolili na to, byś jakaś tam mieszczańkę sobie brał z za świata! Tego jeszcze w domu naszym nie było i nie będzie.

— Ale ojciec jej szlachcic!

— Co ty mi tam prawisz: szlachcic! nowy jak z igły, a do tego Niemiec, to gorzej naszego chłopca! Żebyś też ambicyi żadnej nie miał.

— Kochany stryju...

— Ano mi się i nie tłómacz, bo ja słuchać tego nie chcę i nie mogę. Dziewkę sobie z głowy wybić należy, bo i o ożenku ci nie czas myśleć, i ostatniemu z rodu Rochitów chyba gdzieindziej patrzeć potrzeba żony. I jakże było można, do kata — kończył pisarz — nie spytawszy nikogo sprawić sobie zaręczyny!

Janusz zerwał się z siedzenia, bo pojąc nie umiał, kto o nich mógł wiedzieć, gdy świadków nie miały.

Pisarz patrzył nań uśmiechając się.

— Widzisz, wszystko się to wie; ale to są bałamuctwa młodzieńcze, które co rychlej sobie z głowy należy wybić, to nic potem.

Nic mocniej dotknąć nie mogło Janusza nad tę niespodziankę od stryja, na którego poparcie rachował. Ubywał mu jedyny sprzy-

mierzeniec, jedyny opiekun w sprawie serca! Nie miał odwagi mówić już nic, tak się uczuł nieszczęśliwym.

Postrzegł to pan pisarz i począł sobie z tego przedrwiwać, co jeszcze Janusza smutniejszym uczyniło. Dozwoił tych żartów czas jakiś, aż wreszcie wstał i za czapkę wziął.

— Kochany stryju — odezwał się — jeśli macie zamiar z domu mnie swego wypędzić, to zaprawdę dobrego dobraliście sposobu: bo choćbym iść miał kędy mnie oczy poniosą, pójdę a nie mogę ścierpieć szyderstwa z tego co szanuję.

Pisarz osłupiał.

— Co tobie? Janciu? w głowie ci się chyba przewraca! Złotnika i jego dziewczkę szanujesz więcej niż mnie?

— Panie pisarzu — odparł Janusz, — gdybyście ich poznali, moglibyście dopiero mnie sądzić. Bądźcież wyrozumieli, albo mi każcie iść precz.

Porwał się pisarz go ścisnąć.

— Niech tam Niemców wszystkich licho porwie, żebyśmy mieli o nich się z sobą wadzić! Dajmy temu pokój, o dziewczce nie wspomnę więcej; mamy też gorsze rzeczy na głowie, żebyśmy ją sobie tem psuli!

Janusz więc siadł znowu i tak wieczoru dobili na poważniejszej rozmowie, bo nie małą

troską dla pisarza było przewidywanie tego co się tam w Rochowie stanie.

— Ja w tej niepewności zostać nie mogę — rzekł — bobym się żółcią struł; muszę jechać języka dostać. Ty tu siedź, ani się rusz; ja do wojewody jutro na rozstawnych koniach dobiegnę, zobaczyć co się tam święci.

Wcale się temu nie opierał Janusz, który też rad był jaśniej widzieć swe położenie. Sta-nęło więc na tem, co postanowił na prędce pan pisarz. Bieganina ta upodobaną mu była i już się część nocy do drogi sposobiono.

Nazajutrz jak świt wyruszył pan pisarz z Zalesia, obiecując się prędko z powrotem, marszałkowi i dworskim zapowiedziawszy, że na swem miejscu synowca zostawuje.

Biegł tak spieszno, iż drugiego dnia przed wieczorem w Rochowie stanął. Nie udał się wszakże wprost na zamek, ale na plebanię.

Tu niewiele się dowiedziawszy, — gdyż staruszek nie bardzo był rad o tem rozprawać, a pisarza gadatliwości się obawiał — pojechał do brata. Ani przed księdzem, ani przed wojewodą nie miał na myśli przyznawać się zrazu, że Janusz był u niego; chciał nawet spróbować wmówić w brata, iż o niczem nie wie i z Poznania powraca. Zdało mu się to bardzo trafnem i szczęśliwie obmyślanem, ludziom też jadącym z sobą milczenie nakazał.

Gdy przed zamkiem stanął, a wedle zwyczaju wojewoda doń wyszedł z powitaniem, przeraził się pisarz zmienioną twarzą jego: postarzał w kilka dni i chwiał się na nogach. Uściskawszy się, słowa nie mówiąc, poszli do sypialni wojewody.

— Do Moniki cię nie prowadzę — odezwał się gospodarz — chora leży.

— Cóż jej jest?

— Nie wiem, -- rzekł wojewoda. — i ja się nie lepiej czuję, ale po męsku znosić muszę.

— Cóż się z Januszem dzieje? — zapytał pisarz.

Na to pytanie wejrzeniem odpowiedział zrazu ojciec... drżały mu usta.

— Nie pytaj mnie, proszę.

— Widzę, że tu rzeczy gorzej stoją niż były, ale przecież to dla mnie tajemnicą być nie powinno...

— A możeż to być, aby tajemnicą dotąd było? — podchwycił wojewoda. — W tej chwili już na okół po całym województwie opowiadają sobie ludzie niedolę i srom mój i wstyd rodu naszego. Bogu niech to będzie na chwałę.

— Ale ja nie wiem.

Znowu tedy z podziwieniem popatrzał nań wojewoda.

— Nie mam syna — rzekł krótko

i namarszczywszy czoło — nie mam syna! Winien był herezyi, zamknąłem go żądając upamiętania; wyrwał się z więzienia i uszedł: bunt to jawny przeciwko władzy rodzicielskiej.

Po zbyt słabem wrażeniu, jakie ta wiadomość wywarła na pisarzu, poznać mógł wojewoda, że nie była dlań nowiną.

— Jesteś srogim i okrutnym — odezwał się pisarz — masz więc to, czegoś chciałem i co wywołałeś.

Na ten wyrzut, jakby gardząc wypowiedzianą sobie wojną, wojewoda ręki tylko skinieniem odpowiedział.

— Bracie, — dokończył pisarz, — skoro tak jest, ja muszę Janusza być obrońcą i opiekunem i nie dopuszczę, aby krew nasza marnie przepadać miała. Między nami więc też rozbrat nastanie.

— Nigdyśmy jak bracia nie żyli! — rzekł obojętnie stary. — Cóż mnie to dziś obchodzić może! Straciłem dziecię, widzę żony cierpienie, na które niema ratunku, jestem opuszczony od ludzi i od Boga... Niech się stanie wola Jego nademną.

Pisarz, który łatwo miękł, gdy mu do serca przemówiono, rzucił się do brata i pocałował go ściskać.

— Ale czyż nie ma ratunku?... Na Boga!

— W sumieniu mem czystym się czuję —

odpowiedział wojewoda — nie mogło być inaczej. Dziecka nie mam... Gdyby mi u nóg pełzał ten, co moją rękę, choć karzącą, odepchnął — nie przebaczę.

W chwili pisarza czułość zmieniła się w oburzenie.

— Kat jesteś, nie sędzia — zawołał.

— Nazwij mnie jako chcesz — odezwał się wojewoda i zmożony padł na krzesło.

Krótką tą rozmową zdawała się wyczerpywać wszystko. Pisarz także na uboczu siadł, ocierając pot z czoła.

— Tak, — mruknął spoglądając na brata, — powinienem się był tego wszystkiego spodziewać i przewidzieć. Byłeś całe życie żelaznym i nie staniesz się już innym. Zatrueś sobie szczęście i drugim.

— Mów i znęcaj się — zawołał wojewoda, — zniosę od ciebie wszystko; ty, jak ja, innym pono nie będziesz, tylko takim jakim byłeś: miękkim dla siebie i dla ludzi, dla obojga szkodliwym. Nasze drogi zawsze były różne.

Lękając się go rozjątrzać więcej, pisarz zamilkł na długo; myślał co począć.

— Wszystko poszło z tego — rzekł — że synowi swobody wiary dać nie chcesz.

— Swobody zguby duszy! — przerwał wojewoda,

— Patrzyć na świat; nie pora już here-
tyków palić, boby mało kto żyw został; na-
wrócenie zostaw Bogu i czasowi. Zresztą,
kto ci ręczy, że ty się nie mylisz?

— Kto? Kościół.

Pisarz się uśmiechnął.

— A no — który? — jest ich dosyć!

— Ja jeden znam — surowo odparł wo-
jewoda — a rozprawiać o tem nie chcę i nie bę-
dę. Zostaw mnie z moją starą wiarą w pokoju.

Pisarz ramionami zżymnął.

— Alboż to ty pierwszy, którego to spo-
tyka? — dodał — a panowie Zborowscy,
a Radziwiłłowie, a inne rody, w których sy-
nowie od ojców odstali i bracia z braćmi się
rozdzielili, jeden do zboru, drugi do kościoła?
Przecie jeden drugiego nie wyklina.

— A wiecie wy, jaka przyszłość i te rody
czeka i nas wszystkich, gdy ziarno niezgody
między nami posieją? — mówił wojewoda. —
Możeż być tam miłość, gdzie niema jedności
wiary? ma być zgoda, gdzie każdy inaczej
trzyma? Przypomnijcie sobie te słowa pisma,
które grodom w sobie rozdzielonym zagubę
zapowiadają! Tak będzie i z nami.

Wstrząsnął się cały. Pisarz milczał, już
na argumenta mu nie stawało wątku, jął na-
mawiać tylko o przebaczenie dla syna.

— Niech nogi ojcowskie ucałuje — rzekł —

upokorzy się i podda, tyś mu przebaczyć powinien.

— Ja nie mam syna — sucho i krótko rzekł wojewoda — dopókim go miał, mogłem się gniewać i przebaczać; dziś — nie znam go.

Trudno było wymóżyć na nim inne słowo; żelazny człek, jak go pisarz nazywał, niezłomnym pozostał.

Wieczór był późny, mimo to, koniom kazawszy być w pogotowaniu, pisarz już nawet pod dachem brata nocy spędzić nie chciał. Wyczerpawszy co mógł i umiał rzec, wstał wdychając, oczy mu zachodziły łzami.

— Uczysz mnie, panie bracie, abym i ja niewzruszonym był, idąc w ślady twoje. Więc się nam starym, dwu jedynym na świecie, ostatnim z rodu, na wieki pożegnać trzeba. Nim sobie podamy dłonie, jeszcze cię proszę miłosierdzia, nie dla dziecka, nie dla siebie, nie dla matki, dla ciebie samego. Zje cię rdza boleści, żelazny człowiecze.

Milczał wojewoda, dwie łzy ciekły mu z oczu, drżące podali sobie dłonie.

— Niech zje co chce — rzekł po cichu wojewoda.

Pisarz wyszedł poruszony. Stał u proga zadumany czas jakiś, jakby jeszcze powrócić chciał; ale wymógł na sobie, że się nie zatrzymując za drzwi wybiegł, konie kazał podać i do miasteczka na noc pojechał.

Był to wypadek wielki, gdy ujrzano rodzzonego brata pańskiego z zamku na nocleg przybyłego do gospody. Ludzie się zgromadzili jak na widowisko. Miarkował łąco każdy, że tam do jawnego zerwania pomiędzy nimi przyszło. Rozeszła się zaraz wieść po Rochowie, pobiegł ktoś do plebanii donosząc księdzu. Zwlókł się co rychlej starzec, ledwie płaszcz narzuciwszy.

— Co się stało? — rzekł wchodząc — aliści już i między wami co zaszło! Całaż rodzina ma się rozbić?

— Inaczej nie mogło być — podchwycił pisarz — żelazny człek w niczem ustąpić nie chce, niechże zna, że mu się jest komu oprzeć.

Chodził pisarz gniewny po izbie i mrucał: Niechaj zna!

— Ale cóż ludzie powiedzą! Jaki przykład dla narodu! — zawołał ksiądz — powadzą się więc i ubożuchni patrząc na was, a powiedzą: patrzcie jak oni żyją.

— Jam nie winien! — bijąc się w piersi krzyknął pisarz — prosiłem go i mięczyłem jakem mógł, przecie miara jest wszystkiemu i cierpliwości ludzkiej. Nie zna on syna, nie będę więc ja znał brata.

— A komuż przez to krzywdę uczynicie? — rzekł ksiądz z cicha — największą sobie. Jeśli on źle postąpił, po coż go naśladujecie?

— Z nim wyżyć nie można — zakończył pisarz zadumany — więc koniec.

Jak przewidzieć było łatwo, wypadek ten nie tylko po miasteczku rozszedł się zaraz i po okolicy, tak, że szlachta nie mówiła jeno o tem. A gdy na rochowskim zamku takie się rzeczy działy, cóż było się spodziewać tam, gdzie daleko więcej miano powodów do waśni i sporów?

Co późna w nocy spędziwszy czas na rozmowie z księdzem, od którego się dowiedział, że wojewodzina prawie z łóżka nie wstawała, ale o ucieczce syna nie wiedziała nic jeszcze — pan pisarz kazał jak brzask gotować się do podróży, by do Zalesia wracać.

Mrocznym rankiem wyruszając z gospody, spojrzął na mury starego zamku, w którym się wychował, i na tę myśl, że mu już do tych miejsc powrócić nie będzie można, lżą zaszła powieka.

Stał odwieczny gródek we mgłach; ponury, szary, ciemny, milczący i jakby pusty. Mieszkała w nim teraz boleść i smutek.

Pisarz poczuł, że może i nań spadała część za to. Nie on-li namówił wojewodę do wysłania syna, a ta nieszczęsna podróż nie byłaż przyczyną całego nieszczęścia?

Słusznie więc powinien był dźwigać część ciężaru, jaki nań spadał. I nie byłby on może

dlań tak straszny, gdyby nie przypomnienie owej córki złotnika i pokumania się z mieszczanami, które Rochitę oburzało.

— Trzeba mu to z głowy wybić — rzekł do siebie — młodość, szal; mógł się zadurzyć dla dziewczyny, ale żeby mi Niemkę miał wprowadzić do domu!! Nigdy ja na to, ani ojciec, ani matka, choćby go kochała najmocniej, nie pozwoli. Niechaj lepiej ród wygaśnie, niżby miał sparszywieć!

Z temi myślami jechał pisarz do domu ociągając się, bo wiedział, że Januszowi odbierając nadzieję pojednania — a sprzeciwił się będąc zmuszony jego niemieckiej fantazyi, jak ją zwał — wiele do czynienia z nim mieć musi. Wszelka walka, zwłaszcza zanosząca się na długą, była mu nieznośną; zmęczył się więc samem przewidywaniem co go czeka.

Tak dobił się do Zalesia i wprost do sypialni poszedł, nie spiesząc widzieć się z synowcem. Janusz też, nic sobie z tego nie wrożąc dobrego, czekał aż go pozwa.

Spotkali się u wieczerzy i uściśnieli milczący. Janusz spojrział na stryja; twarz świadczyła, że nie było o co pytać. Siedli milczący. Pątnik tylko, którego zatrzymano w Zalesiu, różnemi opowiadaniem ich rozrywał. Uwalniało to pana pisarza od zabawiania gości, czemu rad był. Jadł tylko i wzdychał.

Gdy się to działo we dworze, Tilius na dawnem probostwie siedząc, listy gotował do Wittembergi, w których całą historję Janusza w tragiczny nader sposób opisywał. Nie wątpił, iż one dojdą do starego Hennichena i nowe zawikłania wywołają. Mścił się na swój sposób za to, że go z sobą wojewodzie wywiózł i do umieszczenia się w kraju, w którym łatwiej o chleb było, dopomógł.

Szło tylko pod owe czasy o rzecz dosyć trudną, bo o przesłanie pisma; ale to Zarnek, który był w stosunkach z reformatorami za granicą, przez swych wysłańców ułatwić potrafił.

XIII.

W Rochowskim zamku, choć się nie wiele na pozór zmieniło, jak w grobie było milcząco i smutno. Wojewoda chodził bezmyślnie czyniąc co obyczaj kazał, a twarz jego z każdym dniem bledsza, coraz więcej wychudła, przestraszała domowników. Coś w jego ruchach i mowie zdawało się bezprzytomność niemal objawiać. Słuchał i nie rozumiał co doń mówiono, nie obchodziło go nic, zamykał się w swej izbie godzinami i na modlitwie je spędzał, lub chodził jak dziki zwierz w klatce zamknięty.

Dwa lub trzy razy na dzień mierzonym

krokiem przebiegał sale, szedł do łoża wojewodzinej, popatrzył na wynędzniałą twarz jej, która mu się uśmiechać starała, i zagadawszy o zdrowiu i pogodzie, wracał zamknąć się u siebie. Kancelarzyści przychodzili z papierami, zbywał ich krótkim słowem.

Ze szlachty, klientów domu dawnych, kilku przybyło z różnemi prośbami, a więcej może ciekawych co się na zamku działo. Wojewoda starał się z nimi być po dawnemu, dawał co chcieli, tylko uśmiechu i swobodnej myśli dać nie mógł.

Dawniej surowy dla dworzan i często gwałtowny, nie zwolniał wprawdzie dla nich, lecz w słowach był zwięzły i zdawał się obojętnym nawet na przekroczenia. Surowa karność we dworze zwolna się rozprzegać zaczęła, bo oko pańskie nie patrzyło na nic.

Wojewodzina z każdym dniem była gorzej; stawało się to widocznem, iż się nie łatwo podźwignie. Mąż spodziewał się, że pierwszy ból przetrwawszy, wstanie i oswoi się z losem swoim, lecz ludzić się już nie było podobna; biedna Monika schła z tajonego strapienia.

Od owej nocy gdy odwiedziła syna i wróciła zrozpaczona, nie spytała o niego Dubrowinej, a ta też rozmowy nań nie naprowadzała. Widząc swą panię coraz gorzej, gdy żadne leki kobiece nie pomagały, gdy się wyczerpały

modlitwy, starsza pani ze łzami do wojewody poszła, potajemnie prosząc go, aby lekarza królewskiego sprowadził.

Stary już sam miał tę myśl. Nie było wówczas łatwo mieć doktora, bo ich w kraju ledwie się kilku znajdowało. Słać trzeba było na dwór, i prosić i sownie opłacać. Wojewoda jednak byłby nic nie żałował, byle ocalić kobietę, do której był przywiązany, którą nad życie kochał.

Poszły więc wozy i listy z podstarościm i konie rozsadzono, ażeby mógł lekarz Włoch przybyć prędzej.

Nie powiedziano o tem wcale wojewodzinie: tydzień upłynął, nim się podstarościęgo z onym Carponim napowrót doczekano. Człek był poważny i niemłody, a nauki wielkiej, ale obwiniano go o to powszechnie, iż serca w nim nie było. Ani widok choroby, ani śmierć poruszyć go nie mogły.

Musiano wojewodzinie zapowiedzieć odwiedziny jego, skłamawszy iż w podróży wypadkiem jadącego około Rochowa zatrzymano.

Nie chciała zrazu go przyjąć, przeciwiąc się i utrzymując, że to się na nic przydać nie może; wymógł jednak mąż, iż Carponiemu przyjść dozwoliła.

Uczony człek długo myślał i badał, a nic-równie dłużej potem przepisywał leki, które

sam się zamknawszy, gotował i robił; a było tego więcej niż jeden człowiek znieść mógł, wedle zwyczaju ówczesnych medyków, lekarstw mnóstwo, przepisów i najosobliwszych ingrediencji. Niektóre z nich bardzo kosztowne na wagę złota i dyamentów się płaciły. Więc kąpiele, zioła, plastry, napoje, noszenie rozmaitych talizmanów i kamieni, które chorobę wsiąkać miały, polecivszy, obdarzony sówicie, trzeciego dnia Włoch odjechał, zaręczając, że będzie wojewodzina zdrową, jeśli pójdzie za jego radą.

Dubrowina nie odstępując od łoża pani, pilnie strzegła przepisów i leki dawała, chociaż skutkiem ich było tylko pogorszenie stanu chorej. Z anielską cierpliwością brała co jej kazano wojewodzina, uśmiechała się, modliła i ze złożonemi jak do modlitwy rękami siedząc w łóżku, jak dziecię posłuszne spełniała wolę swej sługi.

Po dniach kilku stan się widocznie pogorszył, wszystkie środki zdawały się wyczerpane, osłabienie rosło w oczach, przerażająco. Sen odbiegł nawet chorą, która dniami niekiedy się zdrzemnęła, a po nocach powiek zawrzec nie mogła. Jeśli usnęła na chwilę, przebudzenie było straszne, z trwogą i okrzykiem. Tak jednej nocy, gdy Dubrowina siedząc skryta płakała, zawołała ją wojewodzina ku sobie.

— Wyrokom boskim oprzeć się trudno — rzekła dotykając jej dłoni — czuję, że żyć nie mogę. Nie trzeba tylko straszyć napróżno wojewody, ucierpi on dosyć, pocóż ma się trwożyć zawczasu. Moja Dubrowino, ja się muszę z Bogiem przejednać i wziąć na drogę wieczności błogosławieństwo, lecz niech o tem nikt nie wie we dworze. Daj znać księdzu... cicho... niech przyjdzie tu do mnie i wiatyk mi przyniesie. Proście go... niech wybierze chwilę, gdy wojewoda się oddali lub zamknięty będzie u siebie.

Uspokoiwszy panią, poszła sługa wierna na probostwo i księdzu zaniósła pobożną prośbę wojewodzinej. Trudno było przekradać się tak kapłanowi, lecz wolę pani chciał spełnić; późno więc w noc przywłókł się cicho do jej sypialni. Wojewodzina była ubraną, a choć się na nogach utrzymać nie mogła, klęczała sparta o łożę, aby tak przyjąć kapłana. Po cichej spowiedzi nastąpił ten obrzęd uroczysty, który chrześcijanina odchodzącego poleca boskiemu miłosierdziu i błogosławi odchodzącemu.

Po niem, jaśniejszem wejrzeniem, weselszą twarzą zdawała się wojewodzina okazywać powrót do siły i spokoju. Zatrzymała księdza przy sobie.

— Ojczy mój — rzekła — bądź mężowi mojemu pociechą, pomocą, radą. Biedny czło-

wiek nie ma nikogo coby dlań przyjaźń okazał, sądzą go surowo. Ja tylko jedna znam jego serce i duszę. O! jakże mnie boli, że go rzucę tak samego wśród obojętnego świata.

— Bóg da, pozdrowiesz nam pani, — odezwał się kapłan.

— Nie — odezwała się wojewodzina — czuję godziny ostatnie. A! wielebym mówić! o wiele prosić cię chciała — nie śmiem... pragnęłabym pytać — lękam się. Ojcze! bądź dobrym dla zbląkanego dziecięcia...

I płakać zaczęła.

Chociaż nikt nie mówił jej o ucieczce syna, biedna matka miała snąć jasnowidzenie jakieś, bo się odezwała po cichu:

— Gdzie on jest teraz... a! tam pewnie... u stryja, gdzie dla jego duszy dobrze być nie może. Powiedz mu, ojcze, jeśli go zobaczysz, tobie to przekazuję, że go błogosławiłam i błogosławię—lecz niech ojcu będzie posłusznym. Biedne dziecko i biedny ojciec — a ja najbiedniejsza.

Znowu łzy polały się z oczów i zamilkła. Napróżno ksiądz usiłował natchnąć ją nadzieją, ona już żadnej nie miała.

Po odejściu staruszka, kazała odmawiać Dubrowinie modlitwy i tak dotrwała do rana.

W przerwach i odpoczynkach pytała jej

ciagle: Zobacz, czy już dnieje! To mój dzień ostatni.

Pochmurny ów dzień nie rychło szarem światłem z pomroki nocnej wydobywać się zaczął. W oknach blade widać było niebo.

Wojewodzina posłała aby do niej męża proszono. Sługa znalazł go już obudzonym i chodzącym po komnacie jak zwykle; przełękły starzec pospieszył do żony.

Zdziwił się mocno znajdując ją na twarzy pogodniejszą, rzeźwiejszą niemal i spokojną, zdawała się lepiej niż kiedykolwiek od początku swej słabości.

— Panie mój drogi, — rzekła ujrawszy go — chciałam cię widzieć. Nie jestem bardzo chorą, alem słaba, a Bóg jeden dni człowieka wie i liczy. Kto zgadnie co przypaść może? Widzieć cię pragnęłam i pomóc z tobą.

— Zdaje mi się, że ci lepiej.

— Tak, przewalczyłam walkę życia, czuję to: wyczerpało się wszystko... odchodzę, — rzekła wojewodzina. — Dzięki ci za wszystko: czem życie moje na ziemi było ubłogosławione, tobem to winna... Niech Bóg da ci natchnienie i moc na życia resztę. Ja odchodzę, — powtórzyła...

— O panie mój — rzekła zmilczawszy, — odgadnie serce twe, o co cię prosić ma

umierająca? Nie wymówię jego imienia... odpuść mu jego winy... nie odpychaj. To ostatnia prośba twej Moniki, i jedyna.

Chciał mąż przerwać jej i odwrócić rozmowę, wstrzymała go, rękę wystygłą kładąc na jego dłoni...

— Posłuchaj mnie, to ostatnie słowa, przebacz... pobłogosław.

Chmurno patrząc zamilkł wojewoda, już nie śmiejąc się jej sprzeciwiać. Nie rzekł słowa, jakby na prośbę tę odpowiedzieć nie mógł.

Z oczu chorej łzy pobiegły, schyliła się do pocałowania jego ręki i słabnącym już głosem prosiła o modlitwy przy konających.

Jak stał, wojewoda padł na kolana u łoża, bladość śmiertelna jej twarzy pierwszy raz nabawiła go obawą. Nadbiegła Dubrowina. Zapalono gromnicę... Wojewodzina podniosła się nieco, sparła na poduszkach i trzymając dłoń męża, który stygnącą rękę jej całował, szepcząc modlitwę, powoli z uśmiechem na ustach usnęła. Zdawało się nawet Dubrowinie i wojewodzie, że to był sen tylko znużeniem wywołany.

Cicho, nie chcąc go przerywać, odstąpili od łoża. Ale już twarz marmurowa okrywała bladość, oddech ustał, ostygły dłonie... Wojewodzina nie żyła.

Krzyk, który wydała sługa, chcąc opadającą podtrzymać głowę, gdy ją już zimną poczuła, oznajmił wojewodzie o nieszczęściu jego; klęcząc przy łożu płakać zaczął i tak przy niem pozostał na długo.

Nie rychło nadszedł podstarości i ujawszy go za ręce odprowadził niemego, bezprzytomnego, do izby. Stał się w całym dworze lament wielki. Zabrakło tu tego cichego anioła pocieszyciela, który był dla wszystkich opiekunem, co słowem, czynem, ofiarą siał wkoło siebie dobrodziejstwa. Co żyło zbiegło się otaczając zamek z płaczem i zawodzeniem. W miasteczku ozwały się dzwony. Rochów oblókł się żalobą.

Dopiero nad wieczór, gdy już ciało złożone było w sali a duchowieństwo rozpoczęło modlitwy, gdy biała twarz uspiętego anioła, otoczona kwiatami i zielenią spoczęła na ostatniej swej pościeli — wojewoda oprzytomniawszy wstał, i jakby gwałtem a siłą przywołał się sam do spełnienia obowiązku.

Począł rozporządzać wszystkim... Pogrzeb odroczoney być musiał, chciał go bowiem mieć wojewoda wspaniałym i ludnym. W kancelaryi pisano listy, sposobiono licznych posłańców. Na spisie jednak, który drżącą ręką sam wojewoda ułożył, nie było Zalesia, ani imienia brata. Nikt nie śmiał ani spytać o to opuszczenie, ani go poprawiać.

Podstarości tylko szepnął komuś w miasteczku, aby z tą wieścią smutną do pisarza po dobrej woli pojechał. Był to dzień czwartkowy; na niedzielę duchowieństwo zjechać miało i eksportacya odbyć się z zamku do kościoła. Ciało złożono tymczasowo w kaplicze św. Wawrzyńca, która stała otworem dzień cały, a lud do niej płynął tłumami.

Wysłany z miasteczka mieszczanin w piątek, wieczorem już późnym, dojechał do Zalesia i nie mówiąc nikomu nic, do samego pana pisarza się zameldował. Nie było tu nikomu trudno o posłuchanie, puszczono go więc zaraz; stanąwszy u drzwi, nie prędko się zebrał na słowo.

Spytał go pisarz, skąd i z czem przybył.

— Z Rochowa, miłości waszej złą przywożę nowinę: wojewodzina nie żyje!

Załamał ręce pisarz, bo ją jak siostrę kochał

— Kto cię przysłał? — zapytał.

— Nikt, samem przybył, bo tam głowy potracili wszyscy.

Odprawił go zaraz pisarz, sam nie wiedząc co z Januszem pocznie, ale czekał ażeby mu urzędowa wiadomość przyszła od brata. Nazajutrz rano domyślił się, dowiedziawszy o pogrzebie na niedzielę, iż mu już znać nie dadzą.

Zabolało go serce.

Przed synem zgonu matki taić nie mógł, szedł więc do niego i całując go, rozplakawszy się, rzekł mu:

— Nie masz matki!

Janusz stał jak osłupiały chwilę, załamał ręce, poczuł, że ten zgon i na jego zacieży sumieniu. Obawa ojca, niebezpieczeństwo narażenia się na jego zemstę, znikło wszystko z przed oczów.

— U jej trumny miejsce moje — zawołał — ja jadę.

— Ja z tobą — dodał pisarz.

Nie było ani chwili do stracenia. Posłano po konie, i w półgodziny potem byli już oba na gościńcu. A że pisarz lękał się opóźnić, ludzi wziął, strzelców z boru, którzy ich krótszemi drogami poprowadzić mieli.

Prawie się do siebie nie odzywając, ledwie koniom dawszy wydychać, biegli tak do Rochowa, i z południa w niedzielę zamek przed sobą na wzgórzu ujrzeni. Pisarz odetchnął lżej, ciągle się bowiem trwożył o to, aby się nie opóźnili. Eksportacya zwłok dopiero wieczorem odbyć się miała. Groby rodziny znajdowały się w sklepach parafialnego kościoła, i tu też wojewodzina pogrzebioną być miała. Dobiegłszy do miasteczka, ledwie suknie żałobne wdziawszy, Janusz pieszo poszedł ku

zankowi. Pogrzeb zgromadził tu z okolicy niemal wszystką szlachtę i całe gromady ze wsi do Rochowa należących. Pełne były podwórce, pełen zamek i przez ścisk przejść nie było można.

Poznano wszakże Janusza i tłumy te rozstępować się przed nim zaczęły. Oczyma ciekawymi mierzono go, i ludzie, ledwie mu z drogi uszedłszy, biegli za nim ciekawi co się stać miało.

Ciało stało jeszcze w trumnie w kaplicy św. Wawrzyńca, w tej samej, do której Janusz nie poszedł się modlić ze zmarłą matką. Przybywał tu teraz u jej zwłok rozpocząć pokutę.

Z boku, przy kłęczniku, z twarzą bladą, z dłońmi ściśniętymi kłęczał wojewoda.

Gdy Janusz wszedł i padł na kolana przy trumnie, wszystkich oczy obróciły się mimowolnie na starca, ale nikt rozpoznać nie umiał, czy widział i poznał syna. Pozostał tak jak był na pół martwym, nieporuszonym, i nie drgnęła żadna żyłka surowej jego twarzy.

Janusz kłęczał odsłoniony, bo dwór i goście żalobni rozstąpili się szeroko; nie mógł nie postrzedz go ojciec — lecz nie widział.

Tak samo stojącego trochę dalej brata zdały się oczy jego nie poznawać. Modlił się.

Mrok już padał, gdy straszna ta scena niema skończyła się. Duchowieństwo odśpiewało wigilie, przeznaczeni do tego dworzanie

wzięli trumnę na ramiona. Niesiono ją wśród żałobnych śpiewów, z tysiącem świec i pochodni. Za ciałem wystąpił krokiem poważnym wojewoda, nie widząc jeszcze nikogo.

Pisarz nie śmiał się doń zbliżyć, poszedł za nim, ciągnąc Janusza za rękę. Długi orszak pociągnął z zamkowego wzgórza drogą do miasteczka wysypaną gałęzmi jedliny.

Z niezmiernym przepychem odbywał się obrzęd żałobny, przeszło stu duchownych i zakonników towarzyszyło mu, kościół wybito kirem, tysiące światła w nim gorzało.

Lecz wspaniałość ta, któraby innego czasu obudzała podziwienie ludzi, nie zwracała niczyich oczów; tu syn i brat idący za wojewodą, który widzieć ich nie chciał, zajmowali wszystkich...

Ze zwykłymi obrzędami skończyło się wieczorne nabożeństwo w kościele. Wojewoda od wielkiego ołtarza potrzebował iść ku drzwiom kościelnym, tak, że niemal się otrzeć musiał o syna i pisarza. Była to chwila, w której serce przemówić mogło. Właśnie kapłan, który egzortę głosił, wzywał żyjących do zgody, przebaczenia i miłości. Zdawało się wszystkim, iż wojewoda przy zwłokach matki synowi przebaczy.

Pisarz, który obok stał, szepnął Januszowi: Na kolana!

Posłuszny, złamany bolem wojewodzie, widząc zbliżającego się ojca, pochylił się i przyklęknął.

Starzec zatrzymał się jakby chciał okazać, że widział i wiedział o nim. Spojrzał groźno na obu i wolnym, poważnym krokiem, słowa nie wymówiwszy, wyszedł.

Upokorzony i złamany wstał Janusz. Pisarz buchnął gniewem, pochwycił synowca za rękę i tak przedzierając się przez tłum, dostali się do progu. Oba poszli noc spędzić w gospodzie. Na probostwie duchownych było tylu, że się tam nawet dla pozdrowienia staruszka dostać nie było podobna. Wiedział on o Januszu, od zakrystyi postrzegł scenę pogrzebową i chodził smutny.

Pomiędzy szlachtą szemrano, nie na wojewodę, bo tego nawykli wszyscy uważać za niepokalanego człowieka, — odzywano się z przekąsami o pisarzu i wojewodzicu.

We dworze wieść o przybyciu Janusza poruszyła też wszystkich, spodziewano się pojednania, cieszyli się ludzie zawczasu, lecz wieczór wszelką odebrał im nadzieję.

Późno w noc do drzwi izby, w której Janusz ze stryjem się mieścili, bo ciasnota była wielka w miasteczku i zamek cały zajęty, — przyszedł pokryjому podstarości, przysunęła

się Dubrowina. Oboje niesli pociechę dziecku pańskiemu i lzy swoje.

Podstarościego pochwyił zaraz pisarz, nie mogąc jeszcze z gniewu ochłonać.

— Nawet mnie na pogrzeb nie wezwał, — wołał pisarz, — nawet mi nie dał znać. A widzieliście, jakie na mnie i na syna w kościele oczy zrobił? Tego człowieka już nie zmoże, kiedy go i śmierć żony nie złamała.

Podstarości mraczał, zaklinając aby głośno tak nie wyrzekał, bo ludzie podsłuchać mogli...

— Widziałeś go pewnie po eksportacyi — wołał pisarz, — wszak waćpan masz tu dozór nad wszystkim, więc ani spytał, ani wspomniał o mnie...

Podstarości zmilczał.

W istocie wojewoda nie dał znać nawet po sobie, że o nich wiedział.

Od Dubrowinej Janusz dostał wiadomość, iż proboszcz miał doń słowa ostatnie od matki.

— Na krótko przed zgonem, — ozwała się płacząc, — słyszałam sama jak pana prosiła nieboszczka za wami, ale jej nic nie odpowiedział, nie przyrzekł nic.

Nie było więc najmniejszej nadziei skruszenia starca. Janusz czuł, iż te węzły święte zostały zerwane śmiercią matki — na zawsze. Przejęty uczuciem dziwnem osierocenia nagłego,

pozostał tak całą niemal noc siedząc na łóżku i nie mogąc się położyć.

Pisarz gderał, burzył się, zjadł potem smaczno ładajaką wieczerzę i ciągle łając usnął do rana.

Nazajutrz od pierwszej mszy byli oba znowu w kościele. Wojewoda ich uprzedził jeszcze i zajął swe miejsce, jak posąg wykuty z kamienia klęcząc przy trumnie. Tak samo jak wczoraj, na oczach miał syna i brata i widzieć ich nie chciał. Gdy trumnę spuszczać miano do grobu, rzucił się Janusz płacząc na nią; zamieszanie się stało, ludzie bliżej stojący oderwać go musieli, a pisarz z nim razem wyszedł z kościoła, aby co prędzej wyjechać z Rochowa.

Na zamku wedle obyczaju gotowano chleb żałobny dla duchowieństwa, sąsiadów, dla ludu nawet. We wszystkich salach zastawione były stoły, wszystkie izby nimi zajęte. W dziedzińcu, pod szopami, stoły dla mieszczan i wieśniaków wystawiono. Uczta pogrzebowa była niemal królewską.

Opustoszała więc plebania po wyjściu duchownych na zamek i pisarz z Januszem mógł pójść przywitać a razem pożegnać proboszcza. Stary czekał tam na nich i Janusza przywitał milczącym uściskiem. Po chwili wywiódł go z sobą do alkierza.

-- Domyślasz się — rzekł, — iż mam od zmarłej ostatnie dla was pożegnanie. Tak jest, błogosławiła ci święta niewiasta konając. Nie byłbym sługą Bożym i głosicielem prawdy, gdybym oddając ci tę pociechę nie dołożył napomnienia. Dziecko moje, uderz się w piersi: kto wniósł ten rozterk i żalobę do domu, jeśli nie ty sam? Ona ci przebaczyła i Bóg ci przebaczy. Ukorzyłeś się przed ojcem, otrząśnij z siebie to, coś na sobie przyniósł od obcych.

Januszowi zmieniła się twarz. Dni spędzone w towarzystwie Zaranka i Tiliusa odnowiły pamięć witemberskich nauk; chciał już usta otworzyć by zaprotestować, gdy starzec spojrzawszy nań i odgadnąwszy może myśl jego, wyciągnął rękę:

— Dość — rzekł — nie pora dziś mówić o tem. Ten dzień rzuci w twą duszę ziarno, które urośnie. Idź w pokoju!

Wstał stary i pożegnał wojewodzica, spiesząc do pisarza, który brata łajał.

— Noga tu moja nie postanie u was, — wołał — bywajcie zdrowi. Nie o mnie mi chodzi. Bóg z nim, z tym waszym panem wojewodą; darliśmy z nim koty nie jeden raz, już nie przejednamy się pono nigdy na dobre, — ale o dziecko mi szło! Teraz on mój, bo ja go za syna biorę; powiedzcie mu to. Nie mamy tu co robić. Zwłoki złożyliśmy na wieczny

spoczynek, pojedziemy do Zalesia nazad. Jeśli myślał, że go pójdziemy modlić o przebaczenie przy świadkach, aby miał satysfakcyę odprawić nas precz, to się omylił. Noga tam już moja nie postanie, — powtórzył — i bądź mi księżuniu zdrów.

To rzekłszy, wyszedł tryumfalnie z plebanii; ale buchał z niego gniew i to upokorzenie, jakiego doznał wobec całego sąsiedztwa. Mnodzy goście widzieli go zmieszanego z tłumem, jakby obcego bratu i nawet dobrem słowem nie powitanego, zmuszonego szukać w gospodzie przytułku. Nikt z tych co otaczali wojewodę, nie przyszedł go pozdrowić nawet, a byli tam krewni i powinowaci. Wszyscy więc brali stronę wojewody i nikt nawet litości mu nie okazał.

Sprawa Janusza nie obchodziła go może teraz tak mocno jak obraza własna. Wołać więc począł o konie, aby co rychlej Rochów nieszczęśliwy opuścić.

Dopiero na samem wyjezdne zjawił się kasztelan Jeremi, który pisarza chciał widzieć, a ciekaw był się coś więcej od niego i Janusza dowiedzieć.

Zimno go przyjął krewniak.

— Jam to wszystko, spotkawszy na drodze pod Krakowem wojewodzica, przewidział; dla

tegom mu tego ryżego Niemca wieść do Rochowa nie radził, a no byłoby jeszcze gorzej.

— Cóż jeszcze gorszego być mogło, — ofuknął pisarz. — Powiedz waszmość, proszę, panu wojewodzie, bo go już od dzisiejszego dnia bratem nie zwę, że Janusza ja za syna przysposobie, że mu co mam oddam, i że się nic złego chłopcu nie stanie. Radby go nędzą i głodem zmusić, aby pełzał! Niedoczekanie jego!

— Ja mu tego nie powiem — odparł kasztelan — dosyć ten człowiek i tak cierpi.

— Dobrze mu tak! — krzyknął pisarz — sam sobie piwa nawarzył, niech go pije.

To mówiąc rękę tylko kasztelanowi podał i na konia już siadał.

— Powiedz mu — dodał jeszcze, — że już tu więcej noga moja nie postanie, znać go nie chcę, nie chcę.

W chwilę potem już Rochów zdala szarzał tylko na tle lasów, a pisarz mruczając ciągle konia chłostał, aby się oddalić co prędzej, coraz to rękę podnosząc do góry z groźbą.

Janusz jechał posepny i milczący. Obu nie spieszo było do Zalesia powracać.

XIV.

Stara plebania w Zalesiu, przylegająca do kościelnego cmentarza, ze swą szkołą

i szpitalem — od rozbogacenia się w niej Zaranka przedstawiała nowe wcale i ciekawe widowisko, na które starzy ludzie, ze zgrozą ją mijając, patrzali. Cisza i pokój jakie tu dawniej panowały, musiały ustąpić przed wrzawą i zamętem, jaki tu wszedł wraz z nowym gospodarzem.

Trudno by opowiedzieć jak ów cichy, pokorny, biedny i na pozór nic nie znaczący zbieg w wyszarzanej sutannie potrafił nieznacznie przyjść do tego, że starego proboszcza wygnał z probostwa, a starą wiarę z kościoła, pierwszego do nędznej chaty, drugą do naprędce skleconej szopy. Sprawił on to zjednawszy sobie ludzi przez ich słabości, podparłszy kilku hałaśliwymi Niemcami, dawniej osiadłymi w Zalesiu, a że ci więcej się ruszali i krzyczeli głośniejszą niż cała parafia, uszli za prawowitych jej przedstawicieli.

Domostwo murowane, dosyć szczupłe, wyśmienicie starczyło dla dawnych proboszczów, ale dla Zaranka zaczynało być za ciasnem i za ubogiem. Uważał się on tu za reprezentanta nowego kościoła i z tego powodu rościł sobie wielkie prawa, a panu pisarzowi wmaślał, że jak Radziwił w Litwie, tak on będzie miał sławę i znaczenie protektora czystej wiary ewangelickiej.

Pisarz słabym był, chwilami i próżności

się w nim trochę odzywało, nałajawszy zrazu, w końcu na wszystko przyzwał, a Zaranek gospodarzył czynnie, zabiegliwie, i dawne sługi kościoła rozpędziwszy, z nowymi, przybłędami z całego świata, przerabiał wszystko tak, aby i pamięć dawnej postaci domu Bożego nie pozostała. U przyczółka stały dwa stare kamienne posągi świętych: Stanisława i Wojciecha, które naprzód, sznury na nie założywszy, obalono. Wyrzucono potem ołtarze, popalono obrazy świętych, zniszczono cechowe chorągwie, dlatego że na nich były pobożne wizerunki patronów, a kościół tak wyczyszczono, że miejscowi ludzie zajrzawszy doń, płakali.

Na probostwie w inny sposób sobie przybysz postąpił. Tu ubóstwo zawadzało nowemu życiu reformatorów, skromność dawnego urzędzenia nie mogła im dogodzić. Ponieważ różni wysłańcy, nowych wier apostołowie, zjeżdżali doń często, a na plebanii bywały *Conciliabula* liczne i goście a słuchacze zbierali się czasem tłumnie, Zaranek chciał występować szumno, na pisarzu wymógłszy, iż go zaopatrzył w sprzęt i przybory wykwintniejsze. Zabrano ze dworu co się pochwycić dało, pomimo protestacyi Borzykowskiego. Było więc teraz na probostwie dosyć pokaźno i dostatnio, bo czego brakło, dwór dostarczał.

Nie upłynął prawie dzień, by jaki nowy podróżny, dążący gdzieś zbórzakładać lub apostołować pokryjomu, nie zawadził o Zalesie. Byli to po większej części tacy duchowni, którym ich suknia nie smakowała i ciasno się im było w niej poruszać, rozpuszczali więc więzy powoli, by im z tem wygodniej było. Szło to z zachodu, od granic Niemiec, z Niemiec samych, z Czech i Szlązka, płynęło i ze stron innych. Wszystkie męty społeczne, jak zwykle każde zburzenie, ruch ten powołał do życia i na wierzch wyrzucił. Byłyć między nimi i najpiękniejsze postacie ludzi gorąco miłujących prawdę a niewidzących gdzie jej szukać, i najbrudniejsze istoty, co z tego ruchu czyniły sobie rachubę na korzyść własną, a odwagę swą sprzedawały drogo.

W tej chwili reformacya zajmowała umysły wszystkich, w Polsce zaś stawała się rzeczą mody i dobrego tonu, znamieniem jakiejś wyższości; witano więc tu posłów nowej ewangelii, czystej, z honorami i ciekawością rozgorączkowaną. Oburzenie mas, opór katolickiego duchowieństwa, porywy naprzeciw tym apostołom, pozór niebezpieczeństwa, na jakie się narażali wobec rozdrażnionego ludu — czynił z nich niemal bohaterów. Z zajęciem żywym poglądano na owych pełnych męstwa lub chlubiących się niem rycerzy prawdy, którzy

szli, wojując za nią, nawracać narody. Z jednej i drugiej strony walka rodziła szaleńcze i fanatyzmy.

Świetne i piękne osobistości reformatorów szczerze szukających światła w prostocie ducha, z przekonaniem o potrzebie obalenia nadużyć ludzkich, z nieświadomością tego, że mogli prawa boskie obalić, w mniejszości wszędzie i u nas naówczas w niewielkiej liczbie się znajdowały; główny żołnierz tego zastępu nowatorów składał się z najdziwaczniejszego zbiorowiska: z niedokończonych studentów, z głów zawichrzonych myślami niejasnemi, ze zmęczonych karnością mnichów co zrzucili habit w krzaki, z zapaleńców upijających się własnymi słowami, marzycieli i awanturników czepiających się każdej wyprawy, w której się hałas i wrzawa obiecywała.

Zarannek należał właściwie do tego tłumu, który nie wiedział dokąd idzie, byle szyby tłuc, choćby guzem dorobić się chleba i sławy, a dawne plamy pokryć suknią nową i winy własne zrzucić na barki cudze. Nikt nad niego gorliwiej na pozór się nie krzątał, głośniej nie krzyczał, chociaż nie zawsze wiedział, dla czego i niespełna, o co chodziło. Żądał on wogóle wszystkiego, co było niedozwolone; żony, o którą się już był postarał, chcąc dać drugim dobry przykład; uwolnienia od postów,

od świąt, od starych patronów, a najbardziej od wszelkiego zwierzchnictwa i posłuszeństwa. Nie był całkowicie pewnym, jakiego chwyci się dogmatu i konfesji, ale rad był wybrać taką, któraby mu jak najszersze dawała swobody.

Tilius przybyły z Wittembergi, ścisły wyznawca konfesji Lutra, choć nie zbywało mu na nowinkach, wydawał się śmielszemu daleko Zaranekowi bardzo zacofanym. Słuchał on go z ciekawością, zapożyczał od niego niektórych argumentów; ale znajdował, że gdy się już raz zabrało do tłuczenia i łamania, należało, korzystając ze zrzeczności, walić do ostatniego obłamka.

Parafianie nowi zaczęli już nań nawet patrzeć koso, tak sobie wiele pozwalał; ale Zaranek, wielki partyzant swobody dla siebie, im po staroświecku groził ekskomuniką i stossem, a zakrzyczeć i sfukać najlepiej umiał. Właściwie liczba jego owieczek nader była szczupła, a nietylko że się nie pomnażała, zdawała się owszem ubywać, co Zaranek przypisywał intrygom duchowieństwa i ślepotie ludu.

Nabrawszy apetytu po zdobyciu kościoła i plebanii, wołał teraz o propagandę i na wzór Radziwiłłowskiej chciał w Zalesiu drukarnię zakładać. Sięgnął do kieszeni pana

pisarza, ale ten pieniędzy odmówił, bo ich nie miał, i wywołał srogie narzekanie.

Co wieczora na cichem dawniej probostwie uczutowano z gośćmi, zabawiając się ochoczo. Zaranek bowiem, który widać dużo biedy przecierpiał, chciał sobie teraz przymusową wstrzeźliwość wetować.

I tego wieczora dość huczno było na probostwie. Pożyczone z kościoła lichtarze, a bodaj i świece, rzęsisto oświetlały izbę sklepioną, jedyną obszerniejszą w całym domu. Stół w pośrodku zastawiony był przekąskami wieczornymi, z mięsiwa i kilku potraw złożonemi. Dwa ogromne dzbany pisane, pełne piwa, i faszka miodu, z kubkami cynowymi, miejsce poczystne zajmowały w pośrodku. Sam gospodarz rozsiadł się wygodnie w krześle, niepoczesna figura, ubrana jak najdziwaczniej. Niemłody, sterany, niemilej twarzy, postaci niezgrabnej, starać się zdawał aby w nim duchownego jak najmniej znać było. Zapuścił więc chudy wąs, krótką odzież sprawił, a pod pozorem niebezpieczeństwa chodził nawet zwykle z orężem, z tulichem u pasa nie rozstając się nigdy. Zręczny bardzo, choć krzyczał wiele i zdawał się mówić dużo, w istocie nigdy się nie wygadał jasno, ale chodził drogami różnemi i cichemi do celu, dobierając dogodniejsze.

Tęgo wieczora przyjmował właśnie na plebanii narzeczoną. Była to córka mieszczanina, wdowca, dziewczynina młodziuchna, osowiała, wystraszona, zahukana, dosyć pięknej twarzy, która widocznie szła przeciw woli, dla posłuszeństwa ojcu. Stary ojciec, człek prosty, ograniczony a filut, z wielką był dla przyszłego zięcia weneracją. Śmiał się, potakiwał każdemu jego słowu, gładząc brodę i czuprynę, to chrząkając, to węża kręcąc, aby nie być obojętnym widzem, a nie mówił więcej, bo nie mógł biedaczysko, tylko: „A no! pewnie! a jużcić!“ Znać było, że nie rozumiał nic i nudził się okrutnie, ale córkę mu było z domu wydać pilno, bo się pono sam chciał żenić.

Dziewczę przystrojone dziwacznie, w to co było w domu najlepszego, siedziało wyprostowane, wodząc oczyma przełękłemi, to spuszczać źrenice nagle, aby ohydneho narzeczonego nie widzieć. Słowa z niej dopytać nie było można, czerwieniła się, łzy się jej kręciły w oczach, zwijała chusteczkę, którą trzymała na kolarach, a wydawała się tem, czem istotnie była — nieszczęśliwą ofiarą.

Surowy snąc ojciec kiedy niekiedy nakazującym wejrzeniem przywoził jej na pamięć, jak się znajdować była powinna. Napróżno Zaranek, usiłując się jej przypodobać,

przysuwał jado, podawał kubek, szeptał coś do ucha, — dziewczę ze wstrętem hamowanym cofało się, czerwieniło, płakało, a im więcej około niej zabiegał, zdawało się nie-szczęśliwsem.

Tilius, siedzący za stołem, spoglądał na tę parę zdziwiony i zafrasowany. Oprócz niego, gospodarza i starego mieszczanina z córką, znajdował się jeszcze ksiądz przejeżdżający, eks-franciszkanin, który podobno w swem życiu, do czego się sam przyznawał, był już i żołnierzem i rolnikiem i kupcem, a nigdzie jakoś miejsca zagrzać nie mogąc, poczynił teraz nowej wiary próbować, dla kawałka chleba. Człek był chudy, wysoki, wejrzenia bystrego, ruchów zręcznych, bywalec i jak wielu jemu podobnych, na pozór zdolny do wszystkiego, w istocie na nic nieprzydatny. Przybywszy tu przed godziną, i wprosiwszy się na nowy przytułek, bo się lękał pogoni, dniem wprzód z niedalekiego umknąwszy klasztoru, miał jeszcze mniszą suknię na sobie. Napiwszy się i najadłszy siedział teraz pod piecem skromnie i drzemał. Kiedy niekiedy przebudzony, z wielką umiejętnością przypochlebienia się wtórował Zarankowi, akomodował mu się zręcznie, a po chwili znowu sparty na łokciu drzemać zaczynał.

Otoczenie, w jakim się gospodarz znaj-

dował, mogło mu być wielce do smaku: Niemiec trzymał się na uboczu milczący, oczyma tylko chodząc po ludziach; stary mieszczanin śmiał się powtarzając: „a jużcić“; eks-franciszkanin, szybko mówiący, aplaudował potrosze, a nie przeszkadzał wcale; dziewczę słuchało wylekłe. Zaranek grając łatwo rolę pierwszą, wymownymi wyrazy przeciw nadużyciom hałasować mógł jak chciał i wyklinać bałwochwalców.

Wieczór byłby szedł bardzo przyjemnie, gdyby nie to, że mimo spóźnionej pory z miasteczka przez stróża zapowiedział się gość jeszcze jakiś, na którego czekano. Nie było wątpliwości, iż i to być musiał jakiś wędrujący apostoł, któremu zbywało na wieczery i poduszce.

Usłyszawszy hałas w sieni, Zaranek był pewien, że to ów zapowiedziany gość przybywa; ruszył się, jakby iść naprzeciw niemu chciał, gdy drzwi się otworzyły i opasła postać, z rumianą, czysto wygoloną twarzą, w stroju jakimś nieokreślonym, w długich butach do kolan, z czapką na głowie, woczyła się — wiodąc pod rękę kobietę średnich lat, bladą, z wielkimi oczyma czarnemi i nader ostrym twarzy wyrazem. Jejmość ta, obwiązana chustkami białemi, jakby dla niepoznania, w sukni czarnej obszernej, dziwnie

przypominała zakonnice. Mężczyzna, który ją prowadził, powiódł oczy do koła, dysząc ciężko, spojrział na stół zastawiony, domyślił się w Zaranku gospodarza i niezgrabnie rubasznym tonem go pozdrowił:

— Wszak zapewne gospodarz tego domu... wielebny?

— Tak jest.

— Gościnności się więc jego polecam słynnej szeroko — dodał — niema się tu co tajić. Eks-definitor, eks-dominikanin, Syncerski Jacek, a to, moja narzeczona, panna Felicyanna Markuszewska. Uchodzimy oboje z pod tyranii a prześladowania papistów; dajcie schronienie i pożywienie, ojcze wielebny, bośmy ledwie z duszą uciekli. Poświęciłem się, chcąc ludziom dać dobry przykład, i postanowiłem ożenić się, a dla lepszego zakumentowania nowej wiary — z zakonnica. Jeślibyś jegomość, ojcze wielebny, ślub dać chciał, *eo instante* gotowimy stanąć na kobiercu...

Panna Felicya wzdychając oczy spuściła. Zaranek trochę zdumiony, pomyślał chwilę.

— A dlaczego nie? — rzekł — dlaczego nie? Trzeba takich oto wysmienitych przykładów dla pokruszenia papistowskich przesądów. Gotówem! nie lękam się. Choćby zaraz!... Jak skoroście sobie słowo dali, po-przysięgli, idzie tylko o błogosławieństwo. *Benedico vos* i rzecz skończona.

Eks-dominikan, jakoś tą niezmierną ła-
twością zdziwiony, nieco sapnął.

— Nim co będzie jednakże, ojciec wiele-
bny — rzekł — dajcie jeść, bo tymczasem
z głodu poumieramy. Nie pamiętam już kie-
dy jadłem.

Zaraneek wskazał na stół. Panna Felicyanna
zajęła miejsce rozplątując chusty z twarzy,
a przybyły eks-definitór przysunął stolek
i z łąpczywością rzucił się na jadlo.

— Więc to wy zapowiedzieliście się mi
przed godziną? — zapytał gospodarz, który
z przestraczem przypatrywał się zawziętości,
z jaką gość brał się do mis, przysuwając je
z kolei, nie pytając o nie i częstując swą
towarzyszkę.

— My? a! nie! Przed godziną byliśmy
jeszcze na gościńcu... uchodząc od Filistynów...
więc zapowiadać się nie mogliśmy... a zapo-
wiadać się też do współwyznawcy nie widziałem
potrzeby. Znana to na okół gospoda takich
jak my nigdzie przytułku nie mających.

— Więc się jeszcze gościa jednego spo-
dziewać mamy! — westchnął Zaraneek, zwracając pilną na stół uwagę.

Eks-dominikan jadł z chciwością wygło-
dniałego, narzeczona jego namysliwszy się,
także się pożywiać zaczęła, — wszyscy się
przypatrywali ciekawej tej parze, która tak

obcesowo wpadła na pokarm dla kogo innego przygotowany i zdawała się chcieć posprzątać wszystko co Bog dał.

— A skądże to przybywacie? — spytał Zaranek przerywając ogólne milczenie.

— Z Wilna, ojciec wielebny — wzdychając odparł eks-dominikan — dobrze żem z duszą uszedł z przekłętego konwentu. Muszę co najdalej od niego się ukryć, bo mnie gotowi przemocą wziąć. Mieli mnie kochani bracia od dawna na oku, o małym się nie dostał do karceresu, a byliby nieochybnie zamurowali na całe życie. Domyślali się już czegoś i pilnowali mnie, przełożony czyhał na mą zgubę. Szczęściem w porę potrafiłem skarbonkę otworzyć i w wiatyk się na wędrowkę zaopatrzyć. Siostra Felicyanna czekała już na mnie i uszliśmy nocą do przyjaciela, Tatara, a z jego pomocą udało się dalej w świat puścić i wyswobodzić z niewoli. Całą zgrają za mną wysłali. Teraz się ich już nie lękam, a gdyby dla świętej prawdy i cierpieć przyszło — dodał lękając łapczywie — ja na wszystko jestem gotów!!

W tem drzwi się otwarły i nowa postać pokazała się w progu. Był to mężczyzna surowej twarzy, wychudłej, z długimi rozrzuconymi włosami posiwiałymi, z kijem w ręku, odziany ubogo, niemal bosy, bo nogi miał

tylko poobwijane płachtami. Oczy mu dzikim ogniem świeciły. Otworzywszy drzwi stanął, spoglądając osłupiały i zdziwiony, jak gdyby się chciał cofnąć.

Spojrząwszy nań Zaranek zadrżał widocznie, pobladł i zdawał się szukać oczyma miejsca, w któreby się mógł skryć, lub któreby ująć potrafił.

— Gdzie to ja jestem! — krzyknął przybyły surowo. — To? probostwo? a to mają być duchowni? To nie może być.

— Ale tak jest, — przebąknął niezrozumiale Zaranek.

Usłyszawszy głos jego, stary zasłonił się ręką od światła i zaczął mu przypatrywać się pilnie.

— Ty jesteś Zaranek! — zawołał.

Rodzaj wzgardy towarzyszył wyrazom wymówionym z podziwieniem szyderskiem.

Ręką zamachnął w powietrzu jakby od siebie widzenie złowrogie odpychał — odwrócił się splunawszy, ale wnet nazad wszedł do izby i rozglądając się stanął.

— Ludzie nowej wiary! czystej wiary Chrystusowej! — poczał szydersko, załamawszy ręce. — Otóż to ludzie, ewangelicznej nauki apostołowie! A to są agapy ich! O tej godzinie na modlitwie wam, w kościele na rozmyślaniu, w pracy, przy miłosiernych

uczynkach przystałoby być, a nie za stołem i przy kufiach! Apostołowie! reformatory!... — zawołał śmiejąc się dziko.

Spuścił głowę na piersi i stał. Przytomni pomieszali się wielce, eks-dominikan porzucił jedzenie, siostra Felicyna z przestraciem w kącie cofnęła, mieszczanin wstał ze stolika nie wiedząc co począć ze sobą, jak na gorącym złapanym uczynku, córka jego skryła się co prędzej za ojca, jakby tuląc się pod jego opiekę. Tilius tylko nie rozumiejący nic, z natężoną wpatrywał się ciekawością w tego obszarpanego a zuchwałego przybylca. Na gospodarzu znać było przerażenie.

— A ty Zaranku, Zaranku! — ozwał się ponuro — ty nowej wiary wyznawco, coś i bisurmana nie wart, ty duszpasterzem? ty, którybyś pod Piłatem w rynku stać z łańcuchem na szyi powinien a nie na kazalnicy. Wszak ja cię znam!!

Ręce podniósł do góry.

— I to ma być lepsza wiara, czysta wiara Chrystusowa, którą splugawione usta głoszą, takie jak twoje, przy kufiach i paniach duszkach! O Jezu! że piorun nie spadnie na tych świętokradców!

Obrócił się ruszając ramionami.

— Co pan tu wykrzykujesz, panie Szalaj — odezwał się zebrawszy na męstwo

Zaranek — co pan tu dokazywać myślisz! Cóżes to pan tu tak zdrożnego znalazł? Alboż to duchownemu grzesznego ciała posilić się nie godzi, lub w dobrem towarzystwie rozerwać?? Toć nie fanatycy jesteście, byśmy doskonałość chrześcijańską na głodzie fundowali i chorobie, aleśmy ludzie nowej wiary.

Z pogodą ostygły spojrział nań Szalaj.

— Jak ty śmiesz — rzekł, — o wierze mówić, ty, który żadnej nie masz! Z twoich paskudnych ust najświętsza prawda wyszłaby obrukana. Milcz przynajmniej przedemną! Znamże cię. O nowej wierze śmiesz rozprawiać! ty! ale i ja szukam wiary czystej i nowej się trzymam... ale nie waszej co Beliala i brzuch czcicie. Wy to czynicie, że się nami ludzie brzydzą, jako pogany, i żeśmy w pogardzie i prześladowaniu a gnani jako psy, za waszą sromotę i grzechy!... Wasze to apostołstwo sprawę świętą gubi.

Ręce znowu łamał i patrzył po otaczających.

— Panie Szalaj, -- odezwał się cicho i łagodnie Zaranek, jakby obelg nie rozumiał czy nie słyszał. — Człowiek może zgrzeszyć w życiu, ale się i poprawić! Co to tam stare jakieś wywlekać pogadanki! No, młodość, szaleństwo zwykle, z kimże to inaczej bywało? Teraz się człowiek skruszył i chce kościołowi prawdziwemu służyć.

— Nie bluźnij! — kijem stukając w podłogę krzyknął Szałaj — nie bluźnij! Ludzie co prawdę szukają, inaczej żyją, inzej mówią i czynią, a do pary z tobą stanąć nie zechce nikt, ani się o ciebie otrzeć, czuć krew od ciebie! Jak ty się śmiesz zwać uczniem i sługą nowego kościoła! Ty! Dla ciebie nowa wiara, to rozpusta; a nowa prawda, to bezkarność.

Eks-dominikan zaciąwszy usta słuchał nie wiedząc co począć z sobą, eks-franciszkan wcisnął się w kąć ciemny, siostra Felicyanna rozplakała się, a narzeczona Zaranka krzyknąwszy, gdy posłyszała o krwi, targала ojca za rękaw błagając go ażeby z nią wychodził. Stało się zamięszanie, któremu końca nie umiał położyć Zaranek, bo widocznie głowę stracił, wyglądał snać ażeby Szałaj wyszedł, a dopieroby się mógł wytłómaczyć. Ale starzec nasycić się zdawał tym niepokojem przytomnych, ruszyć się nie myślał wcale, a tymczasem przez drzwi stojące za nim otworem wszedł nowy, najniespodziewańszy z gości, — pan pisarz, prowadzący za sobą Janusza.

Jechali oba około probostwa, z polowania powracając, a ujrawszy w oknach jego rzesiste światło, pisarz zapragnął zobaczyć co się u nowego księdza dzieje o tej porze. Zsiadł

więc z konia i trafił właśnie na chwilę, gdy Szalaj smagając Zaranka stał w pośrodku izby.

Zdumiony wielce i tą postacią i zgromadzonem tu towarzystwem, pisarz zatrzymał się w progu i patrzył. Zaranek obawiając się niekorzystnego wrażenia na kollatorze, chcąc je uprzędzić, przecisnął się co żywiej do pana pisarza i szepnął mu w ucho:

— Fanatyk! Szalony!

Szalaj, odwróciwszy się, patrzył z uwagą na pana pisarza.

— Kto ty jesteś? — spytał go.

— Podobnym ja miał prawo o to raczej waszmości się spytać — z dumą obrażony tą poufałością odparł dziedzic — ja tu na mojej ziemi stoję.

— A ja na Bożej — rzekł Szalaj. — Jeśli chcesz wiedzieć ktom jest, z nazwiskiem się nie taję, czyste ono jest: Jakób Szalaj, sługa Boży, szukający prawdy.

— Znalazłeś ją już waszmość, panie Jakobie Szalaju, sługo Boży? — z przekąsem ozwał się pisarz.

— Nie szydź ze mnie, ty wielki panie dumny — odezwał się Szalaj — jam od ciebie większym panem, bo bosi i głodny nic nie pragnę tylko światła z góry i łaski Bożej. Miasto śmiać się i urągać, poraby była płakać nad światem, nad wami, nad obłąkanymi

i niegodziwcami! Wy się po pańsku ze wszystkiego urągacie, a na stróżów prawdy stawiacie oto takich Zaranków, co jej nie w studni, ale w dzbanach szukają.

Ręką wskazał na stół i splunął.

— Panem jesteś — dodał — a cóżes to uczynił dobrego oddając kościół człowiekowi, któremuby chleba nie można dać pilnować! Jać go znam! Śmiecie obrzydliwe jest, a widzicie go zamiast nad biblią z dziewczeczką i flaszką, apostoła. To u was taką tu ewangelieję opowiadają? chyba w imię lucypera.

Pisarz zagryzł usta, koso i złośliwie spojrział na zmieszanego Zaranka, ale ręką dał znak Szalajowi aby zamilkł.

Stojący za nim Janusz przesunął się do Tiliusa, rozpytując go po cichu; ale Niemiec nie rozumiał o co szło, nie wiedział co się stało, a w przybylcu szalonego odgadywał.

— Wasza miłość darujesz mi, że ja w mej obronie odezwać się muszę, — odezwał się jakając Zaranek. — Cóż tu tak strasznego pan Szalaj znalazł? Toć narzeczona moja z ojcem swym, a to nowo nawrócony kapłan szanowny (wskazał na eks-definitora), który tu przybył żądając ślubu z zakonnicą, dla przykładu. Toć przecie miłości waszej powinnyby być przyjemnem, że się to miejsce tak sławi, a nowa wiara czynnie krzewi, że tu ludzie płyną,

przytulku i opieki od prześladowania pod jego skrzydłami szukając.

— Błuzni ten człek! błuzni! — przerwał mu Szalaj — milczałby lepiej; nie chcę chwili dłużej pozostać pod tym dachem, który runąćby powinien na głowę tego niegodziwca.

Skierował się ku drzwiom, mówiąc te słowa, i chciał pisarza pominąć, ale go ten zatrzymał.

Nowy, śmiały człowiek podobał mu się.

— Dokądże waść po nocy pójdziesz — rzekł — stój, przenocuj we dworze u mnie, chętnie was i z serca proszę.

— Dasz mi kąt i barłóg? przyjmę chętnie — odezwał się Szalaj — tyś nie winien zgorszenia, ale tu zostać z tym samozwańcem i oszustem!!

Pisarz się rozśmiał na głos, skinął na Janusza, i za szlachcicem idąc w trop, nie pożegnawszy Zaranka, wysunął się z plebanii. W sieniach i na podwórzu słyhać jeszcze było śmiech jego.

— A to im pieprzu zadał dobrego! — powtarzał rozweselony pisarz. — Musi on ich dobrze znać, bo to są takie trutnie, ile ich tam jest! dobrze im tak!

Uradowany pocieszną ową historią, kazał zaraz łowczym na wóz wziąć Szalaja, ale ten się od jazdy wymówił.

— Mam nogi, pójdę do dworu pieszo — zawołał — szedłem ci dalej, a nic mi się nie stało.

I o kiju powlókł się za nimi powoli, gdy mu w dali dwór wskazano. Po wyjściu ich na plebanii długo jakoś nikt się nie śmiał odezwać. Zaranek potrzebował się wysapać, i nie rychło dopiero zawołał głośno:

— *Mente captus!* ja go dawno znam! Szałaj, Jakób Szałaj! Miał parę wsi pięknych, majątny człek, ale w głowie pstro, oddał wszystko dzieciom, a sam się o kiju włóczy prawdy szukając, a w rzeczy aby burdy stroił, bo nikomu nie przepuści. Baje sam nie wie co, jużby go dawno do szpitala zamknąć należało. Do mnie ma złość, żem mu szaleństwo zawsze zadawał. Ot co!

— A jużcić! — dodał mieszczanin — a pewnie!

— Zuchwały jakiś człek — szepnął wzdychając i pot ocierając z czoła eks-definitór — żeby zaś tak wszedłszy do cudzego domu, zerwać się na wszystkich znanych i nieznanym, za to że spokojnie darów Bożych używają! A cóż to on sobie myśli, tośmy po to nową wiarę przyjęli, aby po staremu morzyć się postami i dyscyplinami katować, a życie przeciwko naturze prowadzić, kiedy pismo powiada: *Vae soli!*

— A jużcić! — szepnął znowu mieszczanin. Zaranek chodząc niespokojnie ramionami ruszał.

— Otóż to taka dola nasza, — dodał — jego miłość, nasz protektor, pan pisarz, ten oto kolator a dobrodziej, coby miał stanąć w obronie pokrzywdzonych i w dyby kazać zabić włóczęgę, jeszcze go do dworu poprosił, aby mu tam niestworzone rzeczy plótl fanatyk bez mózgu!

— A jużcić — mruknął mieszczanin, i powoli ulegając ciągłym szeptom i nagleniu córki, wziął czapkę aby wyjść. Zaranek to spostrzegłszy zbliżył się doń.

— Więc panie teściu przyszły, słowo się rzekło, ślub jak najrychlej być musi. Najlepiejby pono z bytności szanownego ks. Syncerskiego korzystać, ja jemu dam ślub, on mnie i rzecz skończona.

Ks. Syncerski najzupełniej się na to zgadzał, ale biedna ofiara, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, rozplakała się rzewnie i od głośnego prawie ryku wstrzymać nie mogła.

Na próżno ojciec fukając uspokoić się ją starał, przytulona do jego ramion, zapominała nawet o świadkach, ręką odpychając Zaranek, który stał wielce pomieszany.

— Niechno jegomość nie uważa — odezwał się mieszczanin — zwyczajna to rzecz,

że dziewczęta przed śludem płaczą; ale ja jej, do domu wróciwszy, dam dobrą naukę, a no będzie inaczej.

Zarankem zbliżyć się chciał do dziewczęcia, które szybko się cofnąwszy, za ojcem się wysunęło do sieni.

Eks-definitor uznał tę chwilę właściwą, by zająć miejsce u stołu i powrócić do przerwanej wieczerzy. Tilius, już od pół godziny foliant wzięwszy z półki, jako prawy Niemiec, rozpatrywał się w nim, zapomniawszy o reszcie. Eks-franciszkanin znowu na łokciu się spał i drzemał.

Ks. Syncerski na Tiliusa popatrzawszy szepnął: — A toż kto!

— To znakomity teolog z Wittembergii, który bodaj nie samego doktora Marcina Lutra słuchał. Człek bardzo uczony, ale Niemiec.

Popatrzyli nań z daleka i między sobą szeptać zaczęli.

Wypadek tego wieczora silne wrażenie uczynił na Zaranku. Zostawiwszy wszystkie izby gościom, aby się w nich rozgospodarowali jak chcieli, sam ponury wyszedł do alkierza, gdzie się zaraz zarygłował. Słyszano go tu do późnej nocy chodzącego i jakby jeszcze gospodarującego, bo rzeczy zrzucił i sprzętami stukał, i nad ranem dopiero u niego ucichło.

Nazajutrz, gdy wszyscy powstawali, a Tilius nie mogąc się gospodarza i śniadania doczekać, u sług się o niego dopytywać zaczął niespokojnie, okazało się, że go nikt nie widział od wczoraj. W alkierzu nie było nikogo i rzeczy brakło, w kościele też i we dworze nie widziano Zaranka. Około południa, gdy coraz się bardziej o niego niepokojono, przyszły też dobadał się od innego mieszczanina, iż ten nocą odwiózł proboszcza do blizkiego miasteczka, skąd na inną furę siadłszy, miał gdzieś dalej w świat wyruszyć.

Żegnając się z woźnicą miał doń powiedzieć: Wy nie warci jesteście aby taki człowiek jak ja dla waszego dobra pracował. Nie ma co u was robić! Powiedzcie tam, niech na mnie nie czekają, więcej już mnie nie zobaczą. Niewdzięcznicy jesteście.

Jakoż nie powrócił już Zaranek i nikt tak dalece nie płakał po nim, wyjąwszy mieszczanina, który się córki chciał pozbyć. Najdziwniejsza rzecz, iż pan pisarz po namyśle posłał do starego proboszcza i pozwolił mu się na nowo instalować w kościele.

— A to już tamtego wolę, choć mnie łąjał żem nie pościł, niż tych nowych, którzy dyabła wszyscy warci, — mruknął — dosyć mnie próbki kosztowały.

Lecz że człowiekiem był istotnie „dziwnego

nabożeństwa", Tiliusa przez litość do dworu zabrał, a w kościele się nie pokazał.

Sądząc z dawnej gorliwości mieszczan, można się było spodziewać, iż się będą opierali oddaniu kościoła. Stało się przeciwnie, nie ruszył się nikt, milczeli wszyscy. Proboszcz z szopy wrócił do domu i do kościoła; oni szopę zajęli na swe nabożeństwo, a była ich garstka mała, jak się okazało, i wielu z tych co z Zarankiem chadzali, z księdzem się starym pojednali.

Ks. eks-definitor napróżno dzień cały wyczekując na Zaranka, gdy się wyczerpały zapasy spiżarniane, których nie stało na długo, a nadzieja powrotu zbiega straconą została, widząc że tu ślubu nie dostanie, puścił się na furze najętej do najbliższego zboru.

Najszcześniejszym ten obrót sprawy był dla biednej narzeczonej Zaranka, która dowiedziawszy się, iż nie powróci, ojeu z radości do nóg upadła. Jakkolwiek markotny był stary, musiał jej innego męża szukać i nie uspokoił się, aż wydał ją, sam z napatrzoną wdową co prędzej się też ożenił. Nie miał czasu do stracenia, bo liczył sobie pono lat sześćdziesiąt, choć się do pięćdziesięciu tylko przyznawał. I gdy teraz przed nim na zbiegłego niedobrze mówiono, a zwano go łotrem z pod ciemnej gwiazdy, powtarzał, wedle nawyknięcia: a pewnie!

XV.

Pusto było i smutno w Wittemberdze po odjeździe wojewodzica. Z nim razem z donku złotnika uciekło życie i wesele. Fryda siedziała po całych dniach nieruchoma w oknie, a ciocia Truda słowa się od niej dopytać nie mogła. Zmianę tę w córce musiał pewnie widzieć ojciec, lecz udawał, że jej nie rozumie; chciał być weselszym teraz niż kiedykolwiek, z twarzą śmiejącą się przychodził na górę i usiłował rozbawić dziewczę, wymyślając dla niej rozrywki. Lecz gdy zszedł do swego mieszkania na dół, chmurą okrywała się twarz jego i posepnie też w oknie siadywał zamyślony, jakby wyczekując wieści. Tak płynęły tygodnie i miesiące bez żadnej zmiany, a Fryda coraz stawała się smutniejszą. Żaden list nie przychodził. Pochwycony wypadkami wojewodzic nie mógł i nie miał z ręczności napisać. Nierychło dopiero przyniesiono list Tiliusa z opisem tego co im się obu trafiło. Pismo było obszerne, ciekawe, towarzysze dawni wojewodzica wrywali je sobie, poszło od nich do starszych; lecz choć wiele zawierało zajmujących szczegółów, które rodzinę Hennichenów obchodziły, te tak były smutne, iż je przed nimi długo tajono. Ciocia Truda coś o liście zasłyszawszy, będąc niezmiernie

ciekawą, potajemnie starała się tak długo by go dostać, iż nareszcie greczny staruszek przyniósł go jej jednego wieczora.

W liście tym Tilius opisywał zaszłe wypadki tragiczne i los wojewodzica, kreślił obraz kraju, który mu się dzikim i strasznym wydawał, mówił o osobach, które poznał i o których słyszał. Słowem nie zataił nic, osobliwie złego. Pisząc do obcego nie szczędził też szczegółów o miłości wojewodzica, która tak źle przyjętą została nawet przez pana pisarza. Były tam i przesadzone szczegóły o więzieniu i ucieczce z Rochowa i wiele baśni, które się z tych wypadków zrodziły.

Truda z pomocą staruszka przeczytała gęsto zapisany arkusz z końca w koniec i mocno się zamysliła co z nim i z temi wiadomościami ma uczynić. Mówić o tem pieszczonemu dziecięciu nie było sposobu. Ale ojcu? Ojca należało koniecznie uwiadomić o wszystkim. Nie sprzeciwiał się temu usłużny mieszczanin, który list przyniósł, i zeszedł z nim razem na dół do starego Hennichena, który w swoich rachunkach pogrążony siedział.

Ciocia wzięła go naprzód na stronę dla uczynienia stosownego wstępu i przedmowy do rzeczy, aby zyskać zasługę, iż ona mu się postarała o te wieści; potem przedstawiono list. Omvliła się jednak ciotka sądząc, że

Hennichen czytać go będzie głośno i da się pochwycić na wrażeniu, jakie on sprawi na nim. Stary był ostrożny i w sobie zamknięty, nie lubił się zwierzać nikomu, a najczęściej smutek pokrywał weselem a radość chmurą. I tym razem, niby nie przywiązując zbytnej wagi do pisma, uprosił je sobie na godzinę do spokojnego przejrzenia, ciotki podziękowawszy odprawił ją, zbył się mieszczanina, zamknął na klucz i przystąpił do czytania sam na sam.

Czatowała na wychodzącego ciocia Truda sądząc, że pochwyci jego uczucia, i że się jej zwierzy ze swych myśli. I na tem się wszakże zawiodła. Hennichen wyszedł ze spokojną twarzą, na pytania natrętne odpowiedział dwuznacznie i lekceważąco.

— To są zwykłe plotki z krajów dalekich, — rzekł. — Tilius był i umrze bałamutem. Przesadzone, powiększone; dziecku o tem ani słowa, na coby się daremnie gryźć miało, wszystko się to przemieni.

To powiedziawszy wyszedł z listem i podarkiem do jego właściciela i pismo nazajutrz znikło z obiegu. Domyślano się, że Hennichen je wycofał.

Z wielką pilnością ciotka badała twarz jego, gdy później przyszedł do córki. Nie stracił nic a nic z wesołości dawnej; tak się przy-

najmniej zdawało, bo doskonale spokojnego udawał.

Trzeciego czy czwartego dnia dopiero, u obiadu, Hennichen miał jakiś papier w ręku i dziwnie się uśmiechał.

— Trafia mi się dziwna przygoda — odezwał się do córki. Oto może być bardzo, iż odbędę podróż do Polski, czemum dosyć rad, bom w tym kraju oddawna nie bywał, i miło mi go widzieć będzie. Król jegomość lubi bardzo kamienie drogic i roboty złotnicze kunsztowne, zbiera je, choć dzieci biedak nie ma. Ale to pono jedyna jego pociecha. Moi dawni znajomi z Krakowa piszą mi, żebym mu moje ametysty i szmaragdy wschodnie zawiózł, a pewniebym je posprzedawał. To mi się bardzo uśmiecha.

Spojrzał na córkę, która się mocno zarumieniała, patrzała na ojca długo i zawstydzona spuściła oczy.

— Przykro mi będzie dom opuszczać, — dodał — ale przy opiece ciotek dziecku mojemu nic nie zabraknie, a podróż ta nie naraża na żadne niebezpieczeństwo. Niewygód tylko się doznaje, ale gościńce pewne jak nigdzie na świecie.

Fryda milczała.

— Może też — mówił powoli Hennichen — gdzieś tam się spotkam z naszym dobrym

znajomym, grafem Janem, to go od was pozdrowię.

Dziewczę pokraśniało jak wiśnia i wnet pobladło jak marmur, oddechu jej zabrakło. Stary coraz weselej ciągnął dalej.

— Niedługo się pono namysłać trzeba, a kuć żelazo póki gorące, i póki fantazyja pańska służy, korzystać z ochoty do kamieni. Wezmę dwu pacholików i za dni parę wyruszę.

Czy się córka domyśliła innych jakich ojca zamiarów, czy nie? odgadnąć było trudno; zamruczała tylko, że jej bez rodzica będzie smutno i że powinien rychło powracać. Mówiła to urywanym głosem, spoglądając mu w oczy, pragnąc może coś więcej wyciągnąć z niego; stary Hennichen nie dał się wybadać, począł gwarzyć o domu i na tem się skończyło.

Ciopia Truda nie wydała się też ze świadomością listu, i nikt się nie spodziewał, ażeby Fryda mogła się o nim od kogo dowiedzieć. Szeroko po mieście rozprawiano o nim, a szczególnie kobiety.

Miało dziewczę wiele rówieśnic i przyjaciółek a między temi i zazdrośnice, które jej pięknego wojewodzica odebrać byłyby rade dawniej, a teraz się pomścić trochę za miłość jego dla Frydy. I jednego wieczora najlepsza z przyjaciółek tych, córka burmistrza Sachsa, pod wielką tajemnicą, bolesną plotkę wyspała

w uszko biednej dziewczynie. Truciznę tę lała w nią po kropelce, i widząc jak się wiała w męczarniach, nie oszczędziła ani odrobiny. Fryda wysłuchiwała opowiadania z bijącym sercem, zebrało się jej na łzy, — zwyciężyła się przecie, a gdy rówieśnice się rozeszły, sama nie wiedząc przed kim ma wylać tę boleść swoją, zwierzyła ją ciotki Trudzie. Ta udała nieświadomą i nadzwyczaj zdziwioną, ale nieco dziecię pieszczoną ukołysała. Ojcu nie było co mówić, bo ojciec wiedzieć już musiał, i teraz podróż jego do Polski wydała się Frydzie zrozumiałą.

Hennichen nazajutrz dostrzegł na oczach córki że płakała, domyślił się przyczyny i przy obiedzie nie mówił o niczem tylko o niezdarnych bajkach, jakie z zagranicy ludzie często przynosili, o listach bałamutnych, którymi zdaleka kłamano niestworzone rzeczy. Potem wrócił do swej podróży, której pierwszy plan był znacznie zmieniony. Miał jechać z dwoma pacholkami tylko, rozmyślił się.

— Kraj to taki — mówił — gdzie wiele na pokazaniu się zależy, a do króla i na dwór jadąc jeszcze bardziej wystąpić potrzeba. Nie mogę też zapominać, żem teraz szlachcicem z łaski cesarskiej, i że jako szlachcic pokazać się jestem obowiązany. Bezpieczeństwo też tego co z sobą zabieram wymaga większego

pocztu; zamiast dwu, bodaj dziesięciu ludzi wziąć przyjdzie i poczet piękny, aby się panowie Polacy, którzy wspaniałość lubią, ze szlachcica niemieckiego nie wyśmiewali.

Fryda słuchała z zajęciem i potakiwała główką. Ciocia uczyniła uwagę, że to niezmiernie wiele będzie kosztować.

Uśmiechnął się na to Hennichen i dodał:
— Wszystko to król polski opłacić musi.

Od tego dnia rozpoczęły się przygotowania, które w całej Wittemberdze niepospolite uczyniły wrażenie. Ludzie za złe bardzo mieli ten przepych nowemu szlachcicowi i zazdrościli mu go, a z przekąsem mówili o tem, na co Hennichen nie zważał. Burmistrze i starszyzna szczególnie nie mogli mu darować, iż tak pańsko w podróż się zbierał, a co gorzej nowe swe herby szyć kazał na derach i ryć na blachach. Strój nawet podróżny ich raził, bo się Hennichen w zbroiczkę lekką i żelaztwa zaopatrzył i ludzi jednakowo uzbroił. Konie same nie mało kosztowały, a były ciężkie, grube, mocne, karczyste, jakich wówczas i do parady i do podróży w Niemczech używano.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, a cała kawalkata, mająca Hennichenowi towarzyszyć, przed kamienicą stanęła, zbiegło się pół miasta patrzeć, aby miało później się z czego

wysmiewać, jak nowo wyszlachcony mieszczanin, którego dziad prostym był rzemieślnikiem, grafów chciał naśladować. Hennichen nie zwykł był na nie uważać i ludzkie paplanie a złość wcale go nie obchodziły. Zaopatrzywszy się w listy i pieniądze, ucałowawszy płaczącą Frydę i polecivszy ją dwom ciotkom, szczególnie na oko Trudzie, a po cichu drugiej, której więcej ufał, mężnie siadł na koń i przeprowadzony przez uliczną gawieź puścił się w tę drogę. Za murami dopiero twarz, którą do wesołości przymuszał, nabrała wyrazu smutku i powagi.

Fryda długo z okna patrząc, płakała, ręką cisnąc bijące serce.

Wprzód niżeli z domu ruszył, stary Hennichen dowiedział się dobrze, w której stronie miał szukać wojewodzica. Wyobraził on go sobie może opuszczonym od rodziny, prześladowanym przez nią i miał na myśli go ratować, wziąć może nawet i uprowadzić. Trudne to było przedsięwzięcie przy małej kraju i stosunków, a żadnej języka znajomości. Z tego powodu, wiedząc o wielu Niemcach osiadłych w Krakowie i na ich pomoc rachując, choć mu to nie było po drodze, musiał się ku stolicy skierować. Miał on tam i dawnych przyjaciół i uczniów, a za pozór wyprawy służyły mu istotnie kamienie, które wiozł

z sobą. Znane było wówczas w całej Europie upodobanie w nich Zygmunta Augusta i zbiory jego, którym się cudzoziemcy wydziwić nie mogli.

Wszędzie po drodze stary złotnik za coś innego niż był w istocie uchodził; liczny dwór, zamożność, która go otaczała, szlacheckie godła, kazały się w nim domyślać raczej majątnego barona gdzieś z lasów Turynii w świat się puszczającego, niż mieszczanina co życie spędził nad warszatem.

Nie spiesząc zbyt Henrichen stanął w Krakowie, nie doznawszy żadnej przygody w podróży, a nazajutrz sam jeden poszedł na miasto, do dawnego ucznia, który się tu był przeniósł i ożenił.

Georg Wilms był tu już złotnikiem nadwornym, dobrze mu się działo, i po żonie wziął był dom w rynku, który całe pokąźnie wyglądał.

Gdy Henrichen niespodzianie doń wszedł, po latach dziesięciu niewidzenia, prawie oczom Wilms wierzyć nie chciał, ujrawszy go. Złożył ręce i mało nie pokłękł przed mistrzem, któremu wyzwolenie swe i naukę był winien. Zastał go Henrichen nad robotą dzbana, zajętego trybowaniem, wśród czeladzi i w warsztacie.

Po radosnem przywitaniu stary poszedł

zraz ciekawie w robotę zajrzeć i pochwalili ją. Zadziwił się tylko rozmiarom rozpoczętych mis, roztruchanów, dzbanów, nalewek i miednic; bo w Niemczech mniejsze wolano, a tu olbrzymich one były miar i poczwarnie rozrosłe. Jął mu, śmiejąc się, tłumaczyć to Wilms: iż co kraj to obyczaj, że w Polsce właśnie, choć cienkie kuto naczynia, ale wielkie, aby się z czem popisać było. Większa ich część przeznaczona na dary dla obcych, na przyjacielskie pamiątki, na nagrody za dworskie posługi, musiała lśnić i dużo miejsca zajmować.

Starszego czeladnika zostawiwszy przy dozorze warsztatu, Wilms odpasał fartuch i poprowadził Hennichena do żony swej i dzieci, aby dobroczyńcy swojemu domowe szczęście pokazał. Przyniesiono wino osłodzone i przekąski, zasiedli gwarzyć, a wprzód Wilms się rad był dobadać co tu sprowadzało spokojnego Wittembergi mieszkańca.

Dopiero gdy się we dwu zostali sami, Hennichen mógł mu odpowiedzieć na to. Począł od kamieni na sprzedaż przywiezionych, i że się rad był z nimi królowi jegomości stawić. Lecz trafiał właśnie na chwilę, gdy już król chorzał, z żoną się zupełnie rozstawszy, a przystęp doń nie był łatwy. Piędzy też w skarbie królewskim nie było, o czem Wilms najlepiej wiedział, bo za do-

starczone srebra na przyjęcie posłów ruskich nie był zapłacony.

Sprawa ta więc zdawała mu się do załatwienia trudną.

Kołując dopiero i nie rychło Hennichen począł dopytywać o rodzinę Rochitów, o którejby się rad był coś dowiedzieć, bo miał jednego z nich u siebie w domu, a chłopię mu do serca przystało. Udał też, żeby mu się może do dworu opieka wojewody przydała.

Na wspomnienie dopiero familii tej i wojewody uderzył w ręce Wilms i bystro spojrział w oczy Hennichenowi, który się nieco zmieszał, bo go uczeń odgadnął.

Ten go w ramię pocałowawszy, dodał z westchnieniem:

— Teraz już wszystko wiem.

— No to mów — odparł Hennichen.

— U nas to już głośno o tem, że się ojciec wojewoda syna zaparł po powrocie z Wittembergi, z powodu, że tam wiarę zmienił. Znają ludzie starego i zowią go człowiekiem żelaznym. Do tego przystępu niema ani z nim sprawy. Ale ma on brata, który się pono wydziedziczonym zaopiekował.

Wszczęła się tedy rozmowa długa i szeroka o domu, rodzinie i kraju. Wilms pojęcia bystrego człowiek, poznał był już dobrze stosunki polskie i fantazyje panów i szlachty.

Nie chciał zupełnie nadziei odbierać Hennichenowi, lecz mu jej też nie dawał, przedstawiając dumę panów i ich zupełną od reszty świata odrębność. Utyskiwał też przed nim na niechęć wogóle ku wszystkiemu co było niemieckie, a nie zapomniał dodać, że do cesarstwa wstręt był teraz większy z powodu żony królewskiej, i że nawet z największemi rodzinami rakuskiemi niechętnie się bratano.

Złe to były nowiny, lecz Hennichen nie łatwo się dawał zbić z drogi i odebrać sobie nadzieję. Szło mu o los dziecięcia, dla którego największe ofiary nieby go nie kosztowały. Chciał się zbliżyć przynajmniej do wojewodzica, albo mu dać znać o sobie, co łatwem nie było, bo niespełna wiedziano nawet gdzie go szukać. Wilms miał wiele stosunków między pany, obiecywał więc dowiedzieć się coś o losie wojewodzica, a gdyby potrzeba było, bodaj posłać kogo na zwiady.

Następny dzień spłynął na rozpytywaniu się po ludziach, a najwięcej we Zborze, bo tu o pisarzu wiedziano: liczono go bowiem do tych niewielu panów, co do nowej wiary wyznawców należeli, choć pisarz w istocie sam dobrze nie wiedział kędy się ma przypisać.

Trafiło się właśnie, iż zbiegły z Zalesia Zaranek szukał teraz szczęścia w Krakowie,

lub gdzieś, tam gdzieby jego przeszłość jak najmniej znano; podstawiono go Wilmsowi, a po krótkiej naradzie, gdy się przyznał, iż jakiś czas w Zalesiu był, pociągnął go Wilms do Hennichena. Zaranek nieco po niemiecku szwargotał.

Przychodził on z usposobieniami jak najgorszymi w ogóle dla pisarza i gniewny nań, że się tam utrzymać nie mógł.

Gdy go wprowadzono na te spytki, począł od najgorszych rzeczy.

— Ten człowiek, — mówił — żadnej wiary nie ma, a jego zbór, to jama, w której tylko plugastwo gnieździć się może. Jam tam nie wytrzymał... otrząsłem proch z nóg moich i uszedłem.

— Przecież co za człowiek z pisarza tego? co tam czyni wojewodzie?

— Siedzi na łasce pana stryja, a człowiek to jak księżyc zmienny, u którego nigdy wiedzieć nie można co jutro będzie: katolik z rana a nowochrzczeniec wieczorem.

Trząsł głową i ruszał ramionami Zaranek, a że sobie wyobraził, iż go dla spraw nowej konfesyji badano, w to najwięcej bił, że na pisarza nic rachować nie było podobna.

Zaczeplano go dopiero o rodzinę — i tej nie pożałował.

— Wszyscy, — rzekł — nie spełna rozumu;

wojewoda syna precz wypędził a żonę ubił i zamęczył; pisarz, choć wielkie dobra ma, grosza nigdy przy duszy, nie wiele więc synowcowi zostawi, którego ojciec wydziedziczył i pono wszystkie majątności na klasztory rozpisać postanowił.

Dodawał co mógł Zaranek aby zniechęcić, bo mu i o to szło, ażeby się tam nikt nie zbliżał i o nim samym nie powziął wieści. Do odrobiny prawdy obficie domieszawszy fałszu, tak strasznie dzieje Rochitów i ich obyczaje przedstawił Hennichenowi, że mężny starzec, choć po sobie poznać nie dał, upadł całkiem na duchu.

Odprawiono tego niefortunego posła. Wittemberczyk pożegnał ucznia i zamknął się w swej gospodzie. Ważył on co począć miał; wreszcie nic nie umiał lepszego wymyśleć nad wysłanie listu do wojewodzica, pod pozorem owych kamieni na sprzedaż, prosząc go o protekcyę, a w rzeczy aby mu dać znać, że w Krakowie był. Z pismem tem nie można było inaczej naówczas tylko umyślnego człeka wyprawić. Wilms się tego podjął, i kręcąc się między szlachtą z okolicy Zalesia, niejakiego Szeligę napisał, który za sprawą w Krakowie był, a przegrawszy ją i zastawiwszy pas, prawie nie miał o czem powracać. Nadzieją dobrej nagrody skłoniono Szeligę do przyjęcia listu

i zobowiązania się do przyniesienia odpowiedzi: co tem pewniejszym było, że szlachcic zapamiętały jechał tylko do domu wziąć pieniądze u żydów, aby do procesu co rychlej powracać.

Podjął się Szeliga do własnych rąk wojewodzica pismo oddać, bez świadków; obwinął je w chustę, na piersiach pod żupanem zapiął, i opatrzony na drogę dobrze wyruszył.

Wojewodzie od śmierci matki siedział przy stryju. Chciałby go być pan pisarz czynniejszym widzieć i szczęśliwszym. Janusz przygnieciony, znękany, niepewny przyszłości, chodził do niepoznania zmieniony. Opuściła go żywość i wesele młodzieńcze, nadzieje, nawet ochota do życia. Wystawiony był na natrętne i złośliwe ludzkie wejrzenia, krył się więc, zamykał i niechętnie nawet do stryja wołany przychodził, gdzie zawsze prawie dosyć było ludzi, a towarzystwo nie inne tylko jak zwykle, złożone ze zbiegowiska różnofarbnego.

Dobrego serca i litościwy pisarz, usiłując czemś zająć synowca, badał jego upodobania, nastrecał konie i myśliwstwo; ale Janusz do niczego nie miał serca. Dni spędzonych w Wittemberdze wspomnienie trulo mu wszystkie chwile: przenosił się tam myślami, tęsknił. Kilka razy stryjowi napomykał, że nie mając tu co czynić, radby powrócił do nauk; a no pisarz głową na to potrząsał.

— Na to przyzwolić nie mogę; dosyć już z Niemcami konszachtów i amorów. Niech to waści z głowy wyjdzie; pókim ja żyw, nie zgodzę się na pokumanie z szołdrami.

Przyszło do tego, że mu już pisarz gotów był parę folwarków puścić i swatać go, cały szereg córek szlacheckich zebrawszy do wyboru; lecz Janusz na ożenienie się wzdrygał i mówić nawet o tem nie dawał.

Pomiędzy Rochowem a Zalesiem od pogrzebu nie było najmniejszego stosunku, wcale nawet nie wiadano co się tam działo, pisarz o bracie mówić zakazał. Stamtąd też nikt się nigdy nie zjawił. Wejewodzie zamysłał chwila mi wszystko rzucić i uchodzić do Wittembergi; lecz mógłże przewidzieć, jak tam zbiegiem wydziedziczonym i sierotą będzie przyjęty?

Stryj z siebie wnosząc był pewny, iż synowcowi powoli wszystko wyjdzie z głowy i serca, że się wspomnienia zatrą i o Niemcu mowy nie będzie.

Bawił się czasem pisarz polowaniem, w którym nie zawsze Janusz brał udział, zostawał w domu i zaczytywał się w książkach. Jednego wieczora gdy pisarz do domu powracał samotwór z jednym strzelcem, w wyszarzanej lisiurze i na niepoczesnym koniu, na drodze borowej zjechał się z Szeligą.

Szeliga wiele o pisarzu słyszał, a nigdy

go nie widział w oczy, sądził że ma ze szlachcicem jak sam do czynienia. Pisarz się bawił tem, gdy kogo tak w błąd wprowadził i nie dał się poznać. Poczeli więc, jadąc razem, poufale gawędzić. Spytał dokąd dąży — szlachcica. Ten był nieco świeżymi parą kubkami miodu rozweselony.

— Jadę do Zalesia, mospanie — odezwał się — i to jeszcze z pismami, a zapewne bardzo ważnemi, bo mi za ich oddanie sownie zapłacono i polecono w ręce oddać na cztery oczy młodemu wojewodzie.

Tknęło to bardzo pisarza.

— A od kogoż to? — spytał.

— Od jakiegoś Niemca.

Stary aż się zatrząsł.

— A niedoczekanie twe żebyś ty mu je oddał; to ani chybi, niemieckie amory mu się przypominają — pomyślał.

Wziął się tedy na wykręt, zaręczając szlachcicowi, iż tego dokazać nie podobna, bo we dworze jest pilność wielka i oko na wojewodzica; ale że on mu się podejmie pośrednictwa za małą nagrodę.

To żądanie dołożył, aby podejrzenie usunąć. Dał się szlachcic dobroduszny ująć, i pisarz w miasteczku go zostawiwszy, sam z listem do domu ruszył.

Nie miał bynajmniej na sumieniu pismo

otworzyć i czytać, bo Janusza jako własne dziecko uważał i pragnął jego dobra; nie skrupulizując więc, gotów był wszelkimi sposobami Niemców od niego precz gnać.

Zamknął się pan pisarz w kancelaryi swej, wezwawszy Tiliusa, który przy nim wisiał, i zakławszy go by mu tajemnicy dochował. Poczęło się czytanie listu i komentarze nad nim.

Nie było nic podejrzanego w piśmie, ale sama wiadomość o Hennichenie niebezpieczną się zdała. Namówiony więc Tilius, który przesadną delikatnością nie grzeszył, na pismo miał, nieco rękę udając, odpowiedzieć od Janusza: iż do króla JMci przystęp był trudny teraz, że mu tu w żaden sposób nikt ku temu służyć nie mógł. Przez Tiliusa też dowiedziawszy się pisarz, iż Janusz na drogę miał pieniądze pożyczone, do listu kartę dołączył na krakowskiego kupca, by mu je zwrócił. List napisany był umyślnie zimno i odstręczająco, aby Hennichen nie miał na co czekać ani spodziewać się.

Cała ta niebardzo czysta sprawa panu pisarzowi zdawała się prawowitą i uczciwą, w sumieniu był spokojnym, a dla usunięcia reszty skrupułów mówił sobie, iż kiedyś, później, ze wszystkiego się Januszowi wypowiada.

Nakazał milczenie Niemcowi, a sam pod pozorem przechadzki z listem do Szeligi

poszedł i uśmiewszy się w duchu z jego łatwości, tak wszystko załatwił, że nie wprzód do dworu powrócił, aż szlachcica odprawił i zobaczył go kłusującego gościńcem od Zalesia ku domowi. Niezmiernie był rad swej sztuce i choć zwykle trudno mu bywało utrzymać języka, tym razem całe po sobie poznać nie dał nic, większą tylko czułość okazując wojewodzie i większą o niego troskliwość.

Szeliga znowu w chustę też samą obwinawszy pismo, szczęśliwie pieniędzy od żyda pożyczwszy, *cum noviter repertis* z archiwum pospieszył do Krakowa proces wznowić i nie dać się zjeść w kaszy. Miał najmocniejsze postanowienie, choćby przyszło ostatnią poświęcić koszulę a dzieci żebrakami zostawić, nie przystać na zgodę żadną a nieprzyjaciela znękać. Znaj Szeligę!

XVI.

Po śmierci wojewodzinej, po jej pogrzebie, gdy nieszczęśliwy wdowiec znalazł się sam jeden na tym pustym zamku, bez żony, bez dziecięcia, otoczony wspomnieniami, z posiwiałą głową, ze złamanem zdrowiem i poteranemi siły — zdawało się, że ulegnie pod ciężarem tej niedoli.

W pierwszych dniach wróciło zaraz wszystko do starego porządku: modlitwy, stół, go-

dziny, odnoszenie kluczków, raporty włodarzy — zajmowała dni długie, dni nieprzeżyte. Wojewoda bezmyślnie, posłuszny nałogowi szedł gdzie był nawykł, czynił co zwykle od lat wielu dopełniał, a najszcześniejszym się czuł, gdy mógł, zamknięty w swej sypialni, albo klęczeć na modlitwie, lub chodzić nieustannie od drzwi do okna, od okna do progu.

Odziany grubym kirem, wybladły, przerażał wyrazem twarzy ostrym, a bolem milczącym przejętym. Oczy patrzyły nie widząc; nie raz powtarzano mu jedno pytanie po kilkakroć, i dosłyszeć go ani zrozumieć nie mógł. Nie chcąc się poddać rozpacz, ani pokazać po sobie, że go los zwyciężył, — obracał się tak siłą, która go wyczerpywać musiała, zdając się czekać tylko jakiegoś upragnionego końca.

Sprawy publiczne, które się o niego opierały, zbywał jak najkrócej. Umysł jego nie mógł wyniść jeszcze na chwilę z tego koła zaczarowanego boleści, które go opasywało.

Wszyscy we dworze patrzali nań ze strachem i politowaniem; lecz teraz dawna surowość znacznie zwolniła, nie brał już nic do serca. Milczeniem zbywał większą część spraw, które doń przychodziły, nie zajmowały go one wcale.

Po tłumach pogrzebowych odjechali wszyscy, nie został nikt, wojewoda nikogo mieć

nie chciał. Stary proboszcz tylko, nie wzywany, czasem przychodził, czując się do obowiązku; wojewoda go przyjmował, bo to było dawnym zwyczajem, ale się wcale przed nim nie wywnętrzał. Na zadane pytanie odpowiadał krótko i sucho. Starzec posiedziawszy uchodził, a po kilku dniach powracał znowu. Często bardzo ledwie słów kilka przemówili do siebie.

Na nabożeństwie najczęściej wojewoda czasu spędzał; niekiedy wchodził do pokojów żony, które chciał mieć tak urządzone i nietknięte jak za życia były, i tam modlił się przy jej klęczniku.

Szlachta, dawniej bardzo często zajeżdżająca do Rochowa po radę i pomoc, nie śmiała teraz być natrętną, wiedząc jak nieszczęśliwy człek cierpiał. Użalano się nad nim powszechnie, nikt mu postępowania jego za złe nie miał.

Budziło tylko niezmierne zajęcie i ciekawość, co wojewoda pocnie, gdy się żaloba skończy, gdy wielki ból ów ostygnie i rana zabliznąć się zacznie. Zdania były podzielone, wnioski różne; ci co go znali najlepiej, przekonani byli, iż tak nieugięty dowlecze się do końca.

W drugim, czy trzecim tygodniu wszakże wojewoda zjawił się sam na plebanii. Odwiedziny to były rzadkie i staruszek czuł, że je coś spowodować musiało.

— Mój ojciec—rzekł wojewoda po chwili—
gdy człowiek rodziny nie ma, powinien ludziom
się starać być pożytecznym. Nie mam celu
w życiu, ani komu zostawić co po rodzicach
dostałem, — chcę to zostawić Bogu, na
chwałę Jego. Radźcie.

Starzec popatrzał.

— Szczęśliwa myśl, panie wojewodo —
odezwał się, — lecz pozwólcie mi przypom-
nieć, że jeśli o synu wiedzieć nie chcecie,
macie brata.

— Z bratem nic wspólnego nie mamy,—
rzekł wojewoda zimno. — Sam on od naszej
społeczności katolickiej odstąpił, zerwał więc
rodzinne węzły. Familii blizkiej mi braknie,
dalsza dostatnia. Jak się wam zda? zamczysko
na klasztorby się bardzo łatwo przerobić dało.

Ksiądz zamilkł.

— Trzebaby się dobrze rozmyśleć, —
odezwał się — to są sprawy, za które raz
się wzięwszy, cofać się już nie godzi.

— Ja się nigdy nie cofam — dumnie od-
parł wojewoda — nigdy. Jakiżbyście mi za-
kon obrać zyczyli?

— Panie wojewodo — począł staruszek —
i sami lepiej o tem pomyślcie i mnie czas do
rozmyśłu dajcie. Ja wam w tej chwili odpo-
wiedzieć nie umiem.

Wstawszy i pochodziwszy nieco wojewoda
pożegnał go milcząco.

— Nie było potem dłuższy czas mowy o zakładaniu klasztoru, i chociaż ksiądz w kilka dni poszedł na zamek, wojewoda go już o to nie zagadnął. Owszem, zdawało się, że nowe jakieś życie w niego wstąpiło: w kancelaryi ruch począł się większy, zaległe papiery wписыwano, przepatrywano i rejestrowano księgi, układano archiwum, znoszono wojewodzie akty i dokumenty, które przeglądał.

Spisać kazano ludzi dworskich i milicyę, ściągano inwentarze dóbr, zwoływano oficyalistów. Wojewoda czynniejszym był niż kiedykolwiek. Wnoszono ztąd, że ból zwyciężył i do publicznego życia chciał powrócić. Nie ruszył się jednak nigdzie i zresztą trybu życia cale nie zmienił.

Wielu starym sługom wydzielono potem ziemie, poczyniono nadania i zapewniono żywot spokojny; wielu młodszych odprawiono, dwór zaczęto zmniejszać, milicya miała być rozpuszczona. Na zamku z każdym dniem stawało się puściej i odludniej, część znaczna sal i komnat stała pozamykana; wojewoda jeśli wyszedł, to do sali żelaznej, przed obraz Chrystusów, lub do kapliczki Św. Wawrzyńca, którą na nowo wyporządzić kazał.

W takim stanie ducha i sposobie życia zastał go przybyły nierychło kasztelan Jeremi.

Był to od czasu pogrzebu pierwszy gość.

Gdy się na prógu zjawił i dało o nim znać wojewodzie, zdziwił się niezmiernie, jakiś czas stał w niepewności i nie rychło wyszedł. Przeczuwał znać, że go natrętnie badać będzie lub zechce na zmianę życia wpłynąć. A że oprócz sali żelaznej inne były zamknięte, posłano je dopiero otwierać, i wojewoda wziął krewniaka do sypialni.

— Chciałem pana brata choć zobaczyć — odezwał się przybyły, — jeśli kiedy, to w smutku i żalości obowiązek nawiedzić. Cóż myślicie? co czynicie? czemu choć nie ruszycie gdzie z domu?

— Dokąd i poco? zapytał wojewoda.

— Masz waszmość obowiązek żyć, więc i życie sobie znośnem uczynić, a toś się żywcem zagrzebł w tych murach. Przyznam się panu bratu, nigdy Rochów bardzo wesołym nie był a dziś... chyba wy jedni tu wyżyć możecie.

— Dla mnie niema miłszego miejsca na świecie.

Rozmowę z nim utrzymać było trudno. Kasztelan, który zwykł był rzeczy brać po ludzku i jak się one narzucały, nie pojmował tego dobrowolnego zamęczenia się wojewody.

— Jabym na miejscu waszem inaczej sobie radził — dodał kasztelan — trzeba ruszyć w świat między ludzi. Waść, panie bracie, nie

masz więcej lat nad pięćdziesiąt i kilka, możesz, jak to w samej rodzinie się trafiało, pożyć jeszcze z pięćdziesiąt... Cóż? sam?

Wojewoda żywo się odwrócił zdziwiony, nie rzekł nic, pytał oczyma.

— Powinieneś się czy ożenić czy co...

Na tę myśl dziwaczną gospodarz odpowiedział uśmiechem, który się rzadko zjawiał na jego ustach.

— Kasztelanie — rzekł krótko — nie znasz mnie chyba.

— Albo co? zła rada?

— Nic do rzeczy — odparł wojewoda — przysiągłem raz i drugi raz nie ponowię przysięgi; ceniom Moniki wiernym zostanę.

— Spełnijże jej ostatnie życzenie.

— Nie mów o tem — żywo przerwał wojewoda — nie cofam się nigdy! Co się stało, stało się!

— Przecież tak żyć nie możesz?

— Dlaczego? nie sądzcie o mnie z drugich, a jeśli prawdy chcecie, powiem wam ją. Tak, trzeba mieć rodzinę i ja ją mieć będę; pozbawił mnie jej Bóg w niezgłębionych wyrokach swoich, przyswoję sobie rodzinę Świętego Franciszka.

Kasztelan nie zrozumiał.

— Założę klasztor — rzekł wojewoda.

— Gdzie?

— Tutaj na zamku.

— A no, niema się o co spierać, zakładaj; ale to przecie rodzina żebracza, której dóbr nie przekażesz, komuż te przeznaczysz?

— Nie wiem — odparł sucho wojewoda — to pewna, że nie bratu, nie familii po krwi, ale na bożą czeladź i kościół.

— Któżby się temu sprzeciwiał, — szepnęła kasztelan — czynić coć po myśli.

Po tej rozmowie trudno już było co więcej dobyć z wojewody. Kasztelan próbował kilka razy zdaleka zawadzić o Zalesie, o pana pisarza; zbyto go milczeniem.

Nazajutrz gość wyjechał i z nim razem rozeszła się wiadomość po okolicy, iż wojewoda klasztor ma stawiać na zamku a Rochów na kościoły rozpisać.

Przyniesiono tę nowinę do Zalesia. Pisarz wysłuchał spokojnie i odezwał się.

— Czemu nie ma uczynić jako chce?

Sądzone, że się będzie sprzeciwiać alienowaniu dóbr familijnych — pisarz okazał się zupełnie obojętnym.

— Nigdy się po nim nie spodziewałem dziedziczyć, — dodał, — przecieżem starszy, nie na mnie kolej; a co się tyczy Janusza, temu będzie dosyć tego kosza obłamków co mu się po mnie okroi, niewiele potrzebuje i nie chciwy.

Jednakże w głębi duszy, nie dla dóbr, których nie pożądał, lecz dla zupełnego wyrzeczenia się jego, pisarz miał żal wielki do wojewody. Kilka razy nie mogąc wytrwać zrywał się walcząc z sobą, jechać do Rochowa, choć dawał słowo, że tam noga jego nie poстане. Wstyd mu było się cofnąć, a po bracie tęsknił i nudziło go, że się z nim spierać nie mógł. Upór wiele go kosztował, bo nie był w jego naturze. Gdyby był jaki sposób wiedział na zbliżenie się przypadkowe do brata? Lecz wojewoda nie ruszał się nigdzie. Na dworze miał swoich przyjaciół pan pisarz, którzyby mu w takim razie donieśli; lecz co donosić nie było. Znudzony oczekiwaniem, wymyślił nareszcie, iż mu nikt do miasteczka pojechać wzbronić nie może, a choćby w niem posiedzieć. Nużby się trafiła zrzeczność, nie idąc na zamek gdzieś wojewodę przydybać? Długo się z sobą naradzając, ważąc, nikomu się nie opowiedziawszy, pisarz wyruszył, niby do Poznania a w rzeczy do Rochowa.

— Choćbym go i nie widział, mówił sobie, coś przynajmniej posłyszę.

W gospodzie, w której nikt prawie nigdy nie stawał, bo w owe czasy zajazdy były dla wieśniaków i plebejów a szlachcic o nie nigdy nie zawadził, zdziwiono się wielce pisarzowi, ale mu ją odczyszczono.

Wieczorem poszedł do księdza. Staruszek zdziwił się odwiedzinom.

— Niema się czemu dziwować, jadę dalej, po drodze mi wypadł nocleg.

— Trzeba było na plebanię zajechać.

— A jakże heretykowi! — rozśmiał się pisarz — mógłby piorun w nią palnąć, choć zimą.

I zaczął zaraz rozpytywać o wojewodę.

Nie umiał ksiądz wiele mu nowego znaleźć do opowiedzenia, ale o klasztorze wspomniął.

— O tem słyszałem — przerwał pisarz — kiedy mu pasibrzuchów trzeba, niech ich sobie sprowadza.

Proboszcz się uśmiechnął.

— Niedelikatną jest miłość wasza, — rzekł — jakżeto przy duchownym tak zwać jego brata.

— Ale ba! waszmość cudze brzuchy głodne karmisz, a swojego nie pasiesz — rozśmiał się pisarz — mów, co tam więcej.

Nie wiele się znalazło.

— Wiesz, mój ojczy, — po chwili przyznał się pisarz, — jabym się bardzo rad z bratem jeszcze spotkał przed Józefatową doliną, niby przypadkiem. Wiem ja, że się to na nic nie zdało, bo ani mnie, ani Januszowi

nie przebaczy; ale Bóg widzi że mi za nim tęskno. Dawnośmy się nie kłócili.

Książd ramionami ruszył.

— Próbuście.

Nudząc się straszliwie dwa dni tak wycękał pisarz, czy się wojewoda nie pokaże na plebanii — nie przyszedł. Trzeciego, gdy już do odjazdu się zbierał i księdza tylko przybył pożegnać, najmniejszej nie mając nadziei widzenia się z bratem, ujrzał go przez okno powoli zmierzającego na probostwo. Poczciwy pan pisarz uczył bijące serce, złożył ręce i stał tak, niby na czatach. Byłby się rad rzucił wchodzącemu na szyję, zapomniawszy o wszystkim; lecz to nie uchodziło z wojewodą, siadł więc na krzesło i milcząc czekał.

Drzwi się otworzyły, starzec błądy, kirem odziany, stanął w progu, obejrzał się i zobaczywszy pisarza zdawał się w pierwszej chwili chcieć cofnąć, chwilę niepewny wahał się, wreszcie surową twarz przybrawszy — wszedł.

Książd na powitanie pospieszył. Wojewoda milcząc pocałował go w ramię, wedle zwyczaju, i kilka słów niewyraźnych szepnął. Pisarz czekał zrazu aby go zagadnął, ale na niego wcale nie zwracał uwagi, jakby na nieznanomego. Zmieniło to nagle usposobienie wrażliwego niezmiernie pisarza, który począł się burzyć wewnątrz.

— Cóż pan brat — wybuchnął — nawet mnie widzieć nie raczy?

Wojewoda zwolna zwrócił głowę i na znak powitania schylił ją.

— Zapowiedziałeś mi waszmość, że tu noga jego nie postanie, i że znać mnie nie chcesz.

— Jestem w przejeździe, i nie na zamku, ale u proboszcza, słowa więc dotrzymuję.

— Ja także — rzekł wojewoda i zwrócił się.

Położenie było przykre. Szczęściem dla pisarza prawnik mu jakiś przed parą tygodni szepnął, że pan wojewoda mógł ci wprowadzić wydziedziczyć syna z ojcowizny, ale z macierzystego posagu winien był zdać mu rachunek i zwrócić go. Miał więc asumpt pan pisarz do rozmowy.

— Bardzom rad, że się tu z panem wojewodą (nie powiedział już: z bratem) spotykamy, oszczędzić to może jurgieltu dla rzeczownika. Wyrzekłeś się Wmość syna, aleć mu przecie macierzysty dział słusznie należy i tego mu odjąć nie możesz.

— Zapisaliśmy się na przeżycie — odparł chłodno wojewoda — możecie w aktach popatrzeć. Niema po matce nic.

Tem usta zamknął pisarzowi, który mruknął:

— Nie wiedziałem o tem.

A po chwili dodał:

— Czy zapisy były ważne, da się widzieć, boć panowie Górkowie nie opuszczą sieroty.

Wojewoda nic nie rzekł.

Siedzieli tak oba nie patrząc na siebie. Na twarzy żałobnego męża znać było jakby walczył z sobą; purpurą się okryła, nabrzmiały żyły, usta drżały, lecz wprędce o władnął sobą i zamilkł.

— Miły Boże — półgłosem począł pisarz — gdyby z grobu wstali rodzice nasi, co tu leżą pod kościelnem sklepieniem, a ujrzeli nas obu siedzących tak, niby nieprzyjaciół, mierzących się oczyma, cedzących ostre słowa — coby rzekli, i czyby się, widząc to, na powrót do trumien nie pokładli?

— Gdyby wstali a spytali — po namyśle odezwał się wojewoda — z czyjego się to stało powodu? Kto ojców wiarę porzucił, kto węzły rodzinne zerwał, kto bunt podniósł i wyłamał się z winnego posłuszeństwa, kto buntownikowi dał opiekę? zaiste, zakrywszy oczy aby go nie widzieć, woleliby znowu umrzeć niż patrzeć na zdrajców.

— Ostre słowo, mości wojewodo — zawołał pisarz. — Za grobem inaczej ludzi sądzą. Musieliby spytać też: kto zamiast być miłosiernym ojcem i sędzią sprawiedliwym, był popędliwym katem? kto umierającą matkę dziecka pozbawił i ostatnie jej chwile zatruił?

Kto ją do grobu sercem żelaznem popchnął? Nie jestem ja bez grzechu, ale nie poclebiajcie i wy sobie, abyście niewinnymi staneli na sąd Boży.

— Nie pozywajcie mnie nań — odparł chmurno wojewoda — pójdziemy nań wszyscy, zdać sprawę. Niech Bóg nas sędzi.

W głosach obu czuć było burzę. Ksiądz przerażony stał w pośrodku, zwracając się kolejną ku jednemu i drugiemu a błagać się ich zdając oczyma, aby gniewom wybuchnąć nie dali. Wojewoda poruszył się na krzesło, ocierając pot z czoła, jakoby już wyjść chciał; potem znać myśl ta, że uchodząc posadzonym być może o lekliwość, wstrzymała go. Oba zresztą, dla tej samej przyczyny, placu opuścić nie chcieli. Pisarz tylko gwałtowniej czując i miejsca zagrzać nie mogąc nigdy, odsunął krzesło zaczynając się przechadzać w ciasnej przestrzeni, jaka mu pozostawała, aby się o brata nie ocierał.

Milczał ponuro wojewoda.

— Będiesz miał tę pociechę — odezwał się wysapawszy nieco pisarz — iż się jeszcze doczekasz tego, że syna do grobu wpędzisz. Biedne chłopczysko zmieniło się, wymizeroowało, męczy się i młodości w nim już nie znać. Patrzę nań, jak usycha.

Nie odpowiedział zrazu wojewoda, potem cicho, ale z siłą wielką rzekł głośno:

— Nie mam syna!...

— Nie potrzebowałeś mi WMość tego mówić — zawołał pisarz — wiemyć o tem wszyscy. Nie masz go, boś nie wart był mieć dziecięcia, dla którego miłości nie miałaś nigdy.

— Panie pisarzu — przerwał wojewoda — pragniesz widzę, bym jak najprędzej stąd wyszedł, bo mi zadajesz chłostę, którąbys od dawna innego do wybuchu pobudził. Cierpliwości jest miara.

— Toteż i mnie się jej przebrało, — odezwał się pisarz. — Dobrze waści, panie wojewodo, coś zawsze był zimnym i wszelkiego uczucia pozbawionym a o siebieś tylko myślał, dobrze waści znosić, bo z jego temperamentem nic nie kosztuje, ale we mnie krew nie woda.

Wojewoda ruszył się i siadł jeszcze. Nie odpowiadając na to co brat mruzczał, zwrócił się ku księdzu.

— Przyszedłem u was, mój ojczy, zwykle nabożeństwo zamówić za duszę nieboszczki.

— Słusznie, — rzekł pisarz — boś tę duszę świętą na tamten świat wyprawił, i nie wam się za nią modlić, aleby jej prosić należało, aby ona was wsparła i oświecenie wyprosiła.

— Panie pisarzu — zagrzmiał podnosząc głos wojewoda — nadużywacie gościnności proboszcza.

— Na rany Chrystusowe — przerwał ksiądz stając między groźnie patrzącymi na się braćmi — miarkujcież się, panowie. Czy się to godzi, panie pisarzu!

Pisarz buchnął:

— Bóg widzi, serce mi się otwierało, gdy wchodził, byłem gotów wcale go inaczej powitać; ale któż wytrzyma z nim, kto z nim wytrzyma?

— Wszak się znać nie mieliśmy, — odparł z równą gwałtownością wojewoda. — Kto zaczął pierwszy? Kto rzucił zarzewie?

Nastąpiło milczenie, pisarz czapkę, którą trzymał w rękach, z gniewu o ziemię cisnął.

— Niewinny baranek! — zawołał — ktoby rzekł, najłagodniejszy z ludzi, a jam warchoł szukający zwady!

— Panie pisarzu! wywołaliśmy z grobu rodzice nasze — rzekł wojewoda — stoimy o kilka kroków od ich popiołów, uszanujcież je i nie drażnijcie mnie, bom nie zwykł znosić obelg bez pomsty. Mogłaby się polać krew braterska.

Mówił to głosem drżącym, a zapalone oczy świeciły strasznie.

Nagle w piersi się uderzył, spojrzawszy na kościół, który z okna widać było; chwycił czapkę i nie żegnając się z nikim skoczył do drzwi, które się z hukiem za nim zatrzasnęły. Staruszek stał przerażony i drżący. Pisarz ruszył się, jakby za nim chciał biedz i szablę u boku szukał, ale go ksiądz pochwycił za rękę i opierającego się na krzesle posadził.

— Panie pisarzu! co się wam stało?

— Mnie? zapytaj co jemu? — przerywanemi słowy począł pozostały, który powoli do siebie przychodził i znękany podparłszy się na rękę, zamyslił głęboko.

Tak gniew odszedł po chwili. Pisarz oczyma powiódł, westchnął i czapkę swą w pyle leżącą podniósł.

— Jak się WMości zda — rzekł — z tym człowiekiem niema co począć? Dziecka mi żal! Co mam czynić? wszystkie środki wyczerpałem.

— Jeśli Wasza miłość takich tylko używał

— Wszystkich, boć i błagania i prósb; rozbily się o to serce kamienne.

Pisarzowi lzy strumieniem z oczów się puściły i myślał znowu.

— Dziecko wpędzi do grobu. Co tu począć?

Staął nagle i zwrócił się do proboszcza.

— Jak myślicie, powaga J. K. Mości

wielka, możeby jego posłuchał, możeby król na nim coś wymógł? Nie pojechałby do Kny-szyna? nie spróbować intercesyi N. Pana?

— Czyń W. Miłość co mu jego serce po-dyktuje, ja rady żadnej nie dam, modlić się będę.

Widząc, że ksiądz się go pozbyć pragnie, bo i za brewiarz chwycił i ku kościołowi spo-glądał, pisarz wyszedł mruczając.

Myśl ta udania się do króla, przyszła mu tak nagle jak wszelkie inne przychodzić były zwykły. Już nią opanowany cieszył się i rósł, co najprędzej chcąc ją przyprowadzić do skutku. Gdyby był posłuchał natchnienia, niezwłocznieby wprost z Róchowca do Kny-szyna pospieszył, bo nie lubił odkładać. Nie można się wszakże było tak na dworze po-kazać; a po drodze przydumał też pisarz, iżby nie zawadziło Janusza z sobą zabrać i królowi J. Mci przedstawić. Wydało mu się to tak szczęśliwym pomysłem, że sporu z bra-tem zapomniawszy i ochłonawszy całkiem, ko-nie natychmiast przygotowywać kazał, i choć pora do odjazdu nie bardzo była stosowną, nie chcąc tracić ani chwili, ruszył do domu.

Na dworze pańskim dawno już pan pisarz nie bywał, bo występować nie lubił i okaza-łości potrzebnej zwolna się pozbył. Musiał więc teraz dla siebie i synowca poczet uczi-

wy zebrać, barwę dać, konie i wozy i rzędy i wszelkie przybory bodaj kupować, aby znowu zbyt się ubogo i niepocześnie nie stawić.

Zaledwie do Zalesia przyjechawszy — opánowany tą myślą, Borzykowskiego, który u niego wszystkim był, wołać kazał. Stary sługa znalazł z tego swego pana, iż mu do wszystkiego było zawsze pilno, dopóki pierwszy ogień nie przeszedł. Domyślił się, że tu już coś nowego na kółku.

— Borzykowski mój, — biegnąc ku niemu począł pisarz, — ja bez ciebie nie mogę nic, ratuj mnie.

Uśmiechnął się wążacz i skłonił.

— Nie mam innej rady jak ze sprawą synowca do króla JMci jechać. Z bratem ja sam nie poradzę nic, próżnom się z nim ściał, mało do szabel nie przyszło. Kamień to, nie człowiek. Do Knyszyna muszę, niech go król pozwie, może jego poszanuje.

Ruszył ramionami nieznacznie Borzykowski.

— Ale król JMśc w Krakowie.

— Tem ci lepiej; wszystko mi jedno gdzie go szukać, byle znaleźć.

— A u nas ani dworu, ani ludzi, ani koni.

— Właśnie mi to wszystko musisz waszmość sprawić.

— A podskarbi nasz przysięga, że we skrzyniach pustki.

— Niech mieszczan posmaruje, dadzą naprzód czynsze, stawy do kaduka pospuszczać, potaże sprzedać i klepki. To jego rzecz, nie moja — i wasza!! A od czego te darmożjady siedzą!

— Wasza Miłość pozwoli...

— Nie pozwolę, na rany Pańskie, nie pozwolę na nic, tylko co ja potrzebuje, musi być! Zmilkł Borzykowski.

— Popróbujemy.

— Żydów nacisnąć, u nich pieniądze zawsze są — odezwał się pisarz. — Wstydu mi nie zrobisz, mój poczciwy Borzykowski. Pieniędzy weź skąd chcesz, choćbyś którą wieś w zastaw dał! a mnie i Janusza musisz wysztytować jak na Rochitów przystało.

I wasa pokreśli.

Janusz w tej chwili wszedł.

— Jańciu! — zawołał, — do króla cię wiozę!

Na to synowiec smutnem tylko głowy skinnieniem odpowiedział.

XVII.

Gdy Szeliga z listem do Krakowa przybył i wręczył go Hennichenowi, stary złotnik odczytawszy pismo osłupiał. Nie ręka obca i charakter źle naśladowany, ale wszystko w niem zdradzało jakieś fałszerstwo. Hennichen nie

poznawał w piśmie wojewodzica. Inaczejby on nawet tę samą odmowę obrócił i napisał. Zrodziła się więc wątpliwość, a gdy dobrodusznego szlachcica na silne spytki wzięto, okazało się jawnie, iż ktoś ów list podchwycił, i że się Niemca obawiając, odprawę mu dano.

Był jeszcze Zaranek w Krakowie, wezwano go więc dla narady; ten na pierwszy rzut oka, poznał charakter Tiliusa i gotów był przysięgać, że pisarz to wszystko tak urządził, ażeby do synowca wiadomości nawet nie dopuścić.

Przyznał się Szeliga, iż jednemu z dworzan pisarza pismo powierzył, opisywał go dokładnie w obecności Zaranka, który po stroju i otoczeniu poznał pisarza. Nie było prawie wątpliwości, iż z obawy odświeżenia w pamięci Janusza stosunku z Hennichenami, do tego się środka rzucono.

Niemiec skąpy na słowa, zamyslił się mocno, nie powiedział co czynić zamierza i do podróży sposobić się zaczął. Nie przyznał się Wilmsowi do wszystkiego, ale dozwalał nieco dorozumiewać.

— Nie mam tu co robić teraz, — rzekł — ale dobrze się stało, że kraj wasz poznałem. Kamienie u ciebie zostawię, bo mi do Wittembergi potrzeba, lecz do was i do nich powrócę, handel mój lepszy tu, niż gdzieindziej. Posie-

dziecby w Krakowie czas jakiś nie zawadziło; wam nie popsuję targu, bo ja teraz złotnictwa nie tknę, na drogich kamieniach zyskuje się więcej, a mnie już i głowa i ręce ocięzają. Więc mój kochany Wilms, mieszkania mi się postarajcie. Sam długo żyć nie mogę, dziecko tam tęskni za mną, a ja tu za niem. Niech i ono trochę świata zobaczy... Przywiozę córkę... Kraków mi się podobał.

Zdziwił się zrazu Wilms, lecz przeciwko temu postanowieniu nic mieć nie mógł. Zamiast więc szukać mieszkania dla Hennichena, zaraz mu ofiarował piętro we własnej kamienicy ustąpić, co stary przyjął.

Miało się ku wiosnie, drogi były szkaradne, jednakże nie uląkł się ich Hennichen; konie i ludzie nazajutrz byli gotowi, ruszył obiecując się z prędkim powrotem.

Wilms się domyślał jakiejs sprawy, a że staremu wiele winien był, rad mu służył. Zwolna też zaczęto mieszkanie oczyszczać i wszystko na przyjęcie sposobić.

Gdy po niebytności dosyć długiej pokazał się znów Hennichen w rodzinnem mieście, prawie z taką samą go tam ciekawością witano, jak gdy w podróż wyruszał. Ulicznicy przeprowadzali od murów, studenci podnosili czapki do góry pozdrawiając miłego staruszka, a ledwie się konie ukazały zdala, obie ciotce

i Fryda zbiegły na dół, aby go co rychlej uściskać. Starano się mu wyczytać z twarzy, co przynosił z sobą, ale to dosyć było trudnem; zawsze wesół Hennichen, nigdy swej myśli nie zwierzał ludziom. Z radością powitał córkę i dom, oświadczył, że podróż mu poszła doskonale, że kamienie uważać może za sprzedane, iż mu się kraj niezmiernie podobał a prawdopodobnie przyjdzie mu jeszcze do niego powracać.

Przy wieczery, gdy się miał czas rozgadać, a Fryda oczekiwała, czy co o wojewodzie nie napomknie, stary niby od niechcienia powiedział, iż się z grafem Janem spotkać nie miał zrzęczości, bo ten mieszkał daleko od Krakowa na wsi, ale się z nim widzieć spodziewa pewnie, gdy drugi raz pojedzie.

Tę powtórłą swą podróż zapowiadał niezbyt zwlekając z nią, jakby tylko drogi oschły i powietrze ocieplało.

Pierwszego dnia na tem się ograniczył. Nie zapomniiał o podarkach dla Frydy i ciotek, córce przywiózłszy sobolowy kołpaczek i kołnierz, a ciotkom jupki futrami podszyte. Miały się więc z czem przed ciekawymi sąsiadkami pochwalić. Następných dni miał co gospodarz w domu robić, zaglądając w rachunki i do warsztatu, a tuż i wiosna, nad wszelkie spodziewanie wczesna i piękna robić się zaczęła

szybko. W ogródku fiołki pod murem rozkwitały.

— Smutno mi was będzie opuścić, — rzekł jednego dnia Hennichen — ale kupcem zostawszy, po gościach więcej muszę bywać niż w domu. A tu jeszcze w Krakowie przyjdzie może dłużej pozostać, i tęsknić będę do dziecka. Gdybym tak o sobie tylko myślał i sercu dogadzał, Frydębym i ciotkę na konie posadził, niechby też świata zobaczyły.

Dziewczę porwało się z siedzenia i ojcu na szyję skoczyło całe drżące.

— Uczyniże tak — zawołała Fryda — wiosna się zieleni, ptaszki śpiewają, podróż będzie gdyby przechadzką dla mnie, rada z tobą pojedę.

Ciocia Truda patrzyła ponuro, druga spuściła oczy, przewidywały obie, że musiał nastąpić wybór jednej z nich, i że druga miała w domu na czele gospodarstwa pozostać. Ciotce Trudzie, jako poważnej wdowie, wydział ten przypadał; nie byłaby może od tego, by i klucze i kasę wziąć pod swą opiekę, lecz na tak długo od Hennichena i córki być oddaloną i wpływ uzyskany utracić..

Najprzód więc powstały za i przeciw głosy, wogóle trwożliwe, bo podróż daleka, w owe czasy, dla kobiet wydawała się niebezpieczeństw pełną. Fryda jednak nie tylko się nie obawiała,

lecz widocznie ożywiona nadzieją, ważyła się z tych postrachów uśmiechać, a ojca skłaniać by dobrej myśli się nie wyrzekał. Stanęło więc wkrótce na tem, iż jechać mieli, ciotkę Trudę zostawiając panią domu; pochlebiało jej to wielce, drugiej też podróż była pożądaną rozrywką. Hennichen, przynaglany, pytany, rychło się wybrał, konia dla Frydy najspokojniejszego przygotowano, i jednego wiosennego poranku. Żegnali zebrani tłumnie przyjaciele starego złotnika, życząc mu jak najszcześliwszej podróży.

Nie poszła ona tak raźnie i skoro jak pierwsza, choć nierównie była łatwiejszą znajomymi już i świeżo przebytymi drogami. Dla nienawykłego dziewczęcia stawano częściej, odpoczywano dłużej, i z zieleniejącymi już liśćmi, w wianku ogrodów rozkwitłych ujrzała Fryda Kraków. Wiosna była piękna i pogodna. Wilms, do którego wysłano przodem oznajmić o przybyciu, sługę, wyjechał na spotkanie gości. A że król naówczas, co się rzadko trafiało, bawił na zamku w Krakowie, ujrzeni więc stolicę w całym blasku, bo pełną pańskich dworów, wspaniałych pocztów, cudzoziemskich posłów i wędrowców. Dziewczę, dla którego widok ten był nowym, radowało mu się po dziecinnemu. W każdym też przejeżdżającym młodzieńcu, którego kołpaczek

i postawa przypominała Janusza, zdało się jej jego poznawać.

Zaledwie przybywszy i rozgościwszy się, pobiegła do okna wychodzącego na rynek i już od niego odciągnąć jej nie było można.

Hennichen tymczasem z Wilmsem się rozgadywał o tem, co tu słyszeć było, a starał się języka powziąć o wszystkich znaczniejszych panach przybyłych za królem, pod pozorem zawsze owej sprzedaży kamieni.

Wyliczał mu ich bardzo wielu zapytany, lecz między nimi tego, kogo pragnął stary złotnik, nie było.

I mało kto w istocie mógłby był wiedzieć o panu pisarzu, który w tłumie daleko dostojniejszych imion i postaci zniknąć musiał. Rzadko się on pokazywał na dworze, mało kto go znał nawet.

Pierwsze dni na wywiadywaniu się przeszły. Do domu Wilmsa, dawniej jeszcze, wsuwał się Zaranek, teraz do niego często zachodził. Nie bardzo go lubiono, lecz jako współwyznawcę i czynnego we zborze przyjmować musiano.

Zaranek o wszystkim wiedział najlepiej, ale się mu zwierzać niczego nie było podobna. — Dość nań spojrzeć było, ażeby się go wystrzegać. Nieprzyjazny wielce pisarzowi, i gorzki mając żal doń za to, że w Zalesiu

pozostać nie mógł, Zaranek rad mu był wywdzięczyć się za gościnność czemś bolesnem. Wiedział on dobrze o wszystkim, i gdy Hennichen z córką przybył, zmiarkował łatwo, w jakim zamiarze zbliżał się do Polski.

Mało co później na nabożeństwie swem, z wielkiem zadziwieniem, trochę trwogi, ale radością razem, dopatrzył pana pisarza, którego do zboru potajemnie wprowadzono. Janusza nie było, lecz się Zaranek domyślał, że stryj pewnie synowca musiał mieć z sobą. Tegoż dnia znalazł gospodę i zręcznie ludzi wybadawszy, dowiedział się o Januszu. Tego mu było potrzeba; nie mógł większej jemu przysługi, a stryjowi przykrości uczynić, jak o Hennichenie go uwiadamiając. Błądził więc póty po ulicy, aż na wojewodzica natrafił. Udał wielkie podziwienie.

— Waszą jaż miłość oglądam? — zawołał nizko mu się kłaniając — jakiż to traf szczęśliwy?

— I jam nie wiedział, że WMość jesteś w Krakowie — rzekł Janusz.

— Tu było miejsce moje, szersze teatrum, więcej zajęcia — mówił Zaranek, — tu ja prozelitów codzien zyskuję i praca się opłaca. Tam nie było co robić z ciemnym gminem. Nasza wiara jest wyznaniem ludzi oświeconych.

Rozmowa szła tak czas jakiś, gdy Zaranek do ucha wojewodzica się zbliżył.

— Nie dziwuję się — szepnął, — iż was do Krakowa ciągnęło, boście też wiedzieć musieli z listu Hennichena, że on tu z córką przybył.

Janusz rzucił się ku niemu.

— Nie zwódź mnie ladajakimi żarty, — zawołał — nie godzi się.

— Ale to najświętsza prawda. Jeśli o tem nie wiedzieliście, rad jestem, że wam to pierwszy zwiastuję. Złotnik Hennichen z córką znajduje się w istocie tu w Krakowie i mieszka w rynku w Wilmsa kamienicy, pod nalewką złotą.

Janusz, który za ledwie przybył ze stryjem i na dworze jeszcze, z powodu złego stanu zdrowia króla, przyjęty być nie mógł, jak oszalały, pożegnawszy chytrze się śmiejącego Zaranka, pobiegł do rynku szukać kamienicy Wilmsa, o którą przechodniów pytał.

Był to piękny wieczór wiosenny, zachodzące słońce złoćło wieżę i szczyt kościoła Panny Maryi. Piękna Fryda siedziała w otwartym oknie, z główką smętnie spartą na rękę, a z rynku przechodzący przypatrywali się chciwie jej wdzięcznej twarzyczce. Ona nie widziała nikogo, myślała właśnie o Januszu, o Wittemberdze, i czy też tu się z nim spotka. Nie spodziewała się wcale, aby to mogło tak rychło nastąpić.

Wojewodzie zdaleka, nim mógł dojrzeć jej rysy, już poznał ją i przeczuł. Biegł rozpychając ludzi i wywracając niemal stojące po drodze stragany. Przekupki, którym zawadził o rozłożony na bruku towar, podnosiły przeciwko niemu groźne głosy, ale on ani słyszał, ani wiedział co się działo do koła. Biegł z oczyma w nią wlepionemi. Nagle zbliżywszy się do okna stanął i podnosząc w górę czapeczkę a trzęsąc nią, starał się zwrócić jej uwagę.

Fryda zobaczyła go, poznała i krzyknęła uderzając w dłonie. Z poza niej ukazała się głowa zdumionej ciotki.

Z czapką w ręku Janusz stał jak wryty, jak wkuty do bruku, jak olśniony jej widokiem; potem rzucił się na wschody biegiem i znalazł w progu w chwili, gdy Fryda równie jak on zapomniawszy się, biegła naprzeciwko niemu.

Ciotka łamała ręce.

Hennichena w domu nie było.

Przytomność starej panny nie dozwoliła zbyt wyraźnie okazać obojgu co czuli: Fryda na sercu trzymając rękę, cisnęła je, wstrzymując jego bicie, Janusz patrzył i nasycić się nie mógł jej widokiem zachwycony.

— Wiedziałaś pan o nas? dawno tu jesteś? — posypały się pytania.

— Dowiedziałem się przypadkiem, jestem

od niedawna. A! jakżem szczęśliwy, — zawołał — jakżem szczęśliwy.

Fryda przypatrywała mu się pilnie. Tylko rozpromienienie tem szczęściem mogło złudzić na chwilę: w miarę jak twarz do zwykłego wracała wyrazu, dostrzegło dziewczę strasznej zmiany, jakiej uległa od czasu, gdy wesół, pełen nadziei, rumiany, żegnał Wittembergę. Janusz zestarzał od trosk: wychudła i zapadła twarz blada, oczy tylko świeciły w niej blaskiem gorączkowym, na młodem czole znalazły się zmarszczki pierwsze.

Na licu dziewczęcia wiosenna podróż i nadzieje rozkwitły rumieńcem; była piękniejszą jeszcze, zdawała się silniejszą, wiotka ta różyczka biała nabrała barwy od słońca. A ślicznie jej było w świątecznym stroju, z zaplecionymi w łańcuszki złote kosami, w sukni bramowanej z forbotami, z paskiem nabijanym i torebką misterną u boku.

Uśmiechała mu się milcząca, gdy ciocia, nie wiedząc co czynić z sobą, przysuwała krzesło i oglądała się niespokojna. Słowa jeszcze znaleźć nie mogli na ustach, gdy stary Hennichen wszedł: stanął, ręce jak do uścisku z podziwienią otworzył i z nieudaną radością pobiegł ku Januszowi, o którego przybyciu nie wiedział.

Jęli się tedy rozpytywać oba. Zręczny oj-

ciec chcąc dać córce z pierwszego wrażenia swobodnie ochłonać, wprowadził Janusza do bocznej izby, którą zajmował. Szło mu o to pilniej nadewszystko, aby o liście podrobionym coś się dowiedział. Podziękował więc za odesłane pieniądze.

— Jakie pieniądze! — rzekł wojewodzie — zawstydzasz mnie, panie Hennichen, nie odesłałem mu dotąd żadnych, a gdybym był chciał to uczynić, przyznam się wam, nie mogłem, bom ich tyle nie miał.

— Alem ja przy liście waszym je odebrał.

— Przy liście? — zawołał Janusz cofając się — ja żadnego nie pisałem.

— Odpowiedź na ten, który do was wysłałem.

— Jam żadnego nie odebrał!! Na Boga! w tem jest jakiś podstęp i zdrada! pokażcie mi moją odpowiedź.

Hennichen miał ją zawsze w pogotowiu. Wysunął skrzyneczkę z papierami i dobywszy z niej pismo, śmiejąc się, pokazał mu je. Cheiwie pochwycił je do rąk Janusz, poznając zaraz charakter Tiliusa: twarz mu rumieńcem zapłonęła, ręce się zatrzęsły. Nie śmiał on posadzać stryja, a przecież niktby się na to oprócz niego nie ważył. Stał zdumiony i pomieszany; nie chciał obwiniać nikogo.

— Rzecz to dziwna — przemówił głosem cichym, — która się zapewne wyjaśni.

— Dla mnie ona dosyć jest jasną, kochany hrabio — rzekł poważnie Hennichen. — Wasza rodzina musiała mieć pewne doniesienia i mnie i wam uwłaczające. Obawiano się między nami stosunków, posądzono mnie może, iż pragnąłem was przyciągnąć, starano się rozerwać.

Spoważniał stary mówiąc te słowa, wziął list z rąk Janusza i powoli złożył go do skrzynki. Nigdy z sobą tak szczerze nie mówili. Teraz zdawała się nadchodzić chwila tłumaczeń i wyznań. Ale Hennichen nie posunął się dalej, rozmyślił i tak na wpół drogi przerwał dalszą rozmowę.

— Poznałem trochę kraj wasz, — dodał — stare pojęcia tu panują, nowym ludziom i wszelkiej nowości wcisnąć się trudno. Toczy się o to walka, a ani sobie ani wam nie życzyłbym, aby nas w niej starto na miazgę, co być może.

Janusz westchnął.

— Jam tu przypadkiem się dostał, — mówił stary, — przywiozłem kamienie, a poznałem nowy świat i ludzi. To nad wszystko droższe.

— Myślicie tu zabawić? — zapytał Janusz.

— Nie wiem — spoglądając nań tylko rzekł stary. — Czas jakiś zapewne, jak długo, nie wiem.

W czasie urywanej rozmowy parę razy przez pół otwarte drzwi ukazała się główka niecierplivej i ciekawej Frydy; może to wpłynęło na powstrzymanie starego od wynurzeń i powrót do córki przyspieszyło.

Janusz siadł, by mógł patrzeć na nią i słuchać szczebiotania o podróży i Krakowie. Zapomniał nawet, że nań tam mógł stryj oczekiwać, i że mu się będzie musiał tłumaczyć. Hennichen widocznie zatrzymać go pragnął i znowu do swej obojętnej wesołości powrócił. Gdy zmierzchno, zapalono światło i podano wieczerzę, która Wittembergę przypomniała. W czasie przygotowań do niej, Janusz miał zręczność na chwilę prawie sam zostać z Frydą. Obejrzawszy się dokoła, dziewczę prędko dobyło na sznurku zawieszony sygnet wojewodzica, i pokazawszy mu go, schowało szybko pod suknię Janusz też zręcznie rozpiął żupan, ażeby pierścieniem, który go nie opuszczał, błysnąć przed jej oczyma.

Było to przypomnieniem przysiąg wzajemnych.

Nieproszona Fryda siadła potem i zanuciła cicho pieśń o słowiku, tę ostatnią, którą się pożegnali.

Janusz był poruszony i na chwilę o wszystkich swych zapomniał niedolach: o tem co przecierpiał i co miał do zwalczenia. Zdawało

mu się, że dla pisarza dosyć było widoku Frydy, aby opór jego pokonać i zyskać go na swą stronę. Mógłże się kto oprzeć temu dziewczemu wdziękowi smutnie uśmiechniętej anielskiej twarzyczki?

Tak upłynął wieczór niepostrzeżony, i bijąca u Panny Maryi godzina zbudziła dopiero z marzeń wojewodzica, który się porwał z westchnieniem, by do domu powrócić. Fryda pożegnała go cichem „do zobaczenia“, ciocia skinieniem, a stary odprowadził aż na wschody.

— Ponieważ nie życzą sobie tych stosunków z nami, — szepnął, — a my, ani wy zrywać ich nie radziłyśmy, proszę was, bądźcie ostrożni; po co oni *przed czasem* o nas wiedzieć mają! Przyjdzie na to godzina.

Ścisnęli sobie ręce i z temi tajemniczemi słowy wojewodzie opuścił Wilmsa kamienicę.

A że godzina była spóźniona, pobiegł wprost do gospody do stryja.

Zastał go wzruszonego wielce i przechadzającego się żywo po izbie. Wzruszenie u niego nie było tak rzadkiem, ażeby mu się dziwić można, lecz smutek na twarzy rzadkim był gościem.

Gdy wojewodzie wszedł, pan pisarz szybko się ku niemu zwrócił.

— Wiesz?— zawołał — wiesz? ojciec twój śnać się dowiedział pociosmy tu przybyli, i nie

chce dopuścić, abyśmy sami królowi przedstawili naszą sprawę. Stary też przybył tu. Widziałem podstarościego. Wprawdzie zapewniam mnie, iż innego nie mają zamiaru, tylko tu znaleźć księży do swojego klasztoru w Rochowie, bo od tego nie ustępuje, ale podstarości nic nie wie. Zamiast rozmowy z J. Kr. Mością będziemy więc mieli sprawę przed sądem jego. A no, lepiej, niech się wszystko rozstrzyga.

Janusz zadrżał na wspomnienie ojca, zamknęło mu to usta. Nie miał co mówić.

— Ja się ze starym choćby i przed tronem pańskim rozprawię — dodał pisarz — jak wola jego.

Tego dnia skończyli wprędce i rozeszli się, bo Januszowi pilno było z myślami swemi sam na sam pozostać, a pisarz chciał się naradzić z sobą co ma poczynać. Gniew w nim trwał jeszcze wielki przeciwko bratu.

Nazajutrz rano nie dano spoczynku pisarzowi, ciągnąc go do zboru. Szło wielce nowatorom o to, aby jak najwięcej możliwych i wpływowych ludzi sobie pozyskać, zabiegali więc i około pisarza, który już za nawróconego uchodził; ale na nieszczęście stygl, przypatrzwszy się ludziom, którzy prowadzili reformę i około niej pracowali.

Pisarz wymówił się i od zaszczytu i od współuczestnictwa.

— Dajcie mi pokój — rzekł do przybyłego wysłańca — póki wy nie oczyścicie się z ludzi, jakich tam macie około czystej roboty, nikomu ona w smak nie pójdzie, bo ona czystych rąk potrzebuje, a wy do niej brudnych zażywacie.

Ażeby się od natrętnych zabiegów uwolnić, poszedł pisarz dowiadywać się o zdrowie królewskie na zamek. Był jeszcze na wpół drogi, gdy podstarościęgo spotkał, który bardzo spieszo gdzieś biegł. Zatrzymał go.

— A z czemże to tak lecisz?

— Nie z dobrem — odparł stary, któremu się łza w oku kręciła.

— Cóż przecie?

— Wojewoda nasz dawno nie swój był, w drodze snąć zmęczył się, i dziś już z łóżka nie wstaje. A trzeba go znać, aby wiedzieć co to znaczy. Posłał mnie po księdza, a ja myślę do lekarza biedz, bo z sił opadł i ciało potrzebuje ratunku. Postami i dyscyplinami a włosienicą się zamęczył. Po nocach go sam widywałem krzyżem leżącego w żelaznej sali. Od śmierci pani jakby pokutnik żyje.

Pisarza to poruszyło zaraz, gniew opadł, dawne przywiązanie wracało. Spytał gdzie stali gospodą i bez namysłu poszedł zaraz.

W pierwszej izbie służba w milczeniu siedziała, a choć jej tam dosyć było, najmniejszy

szelest mógł dojść uszów wojewody, taka tu panowała cisza. Pisarza puścić nie chciano; lecz ludzi poodpychał, drzwi odemknął i wpadł do izby chorego nie pytając o nic. Wojewoda błady na tarczaniu leżał ledwie podesłanym, z rękami złożonemi, głowę miał na piersi zwieszoną. W rękę trzymał krzyżyk, do którego się snąć modlił. Podniósł nieco powieki i zobaczywszy brata, który się do łóżka przybliżał, pozostał niewzruszony.

Pisarzowi serce biło.

— Co tobie jest? tyś nigdy nie chorował? — zawołał przybyły, jak gdyby między nimi nigdy nic nie zaszło. — Czy ty się tak źle czujesz, że już i dzwignąć ci się trudno?

Znając pisarza, brat mógł się nie dziwić tej zmianie, jednak nie prędko na odpowiedź się zebrał. Patrzył na niego długo i z cicha szepnął:

— A co ci moja śmierć lub życie?

Pisarz nachylił się nad nim z uczuciem, które się na jego twarzy malowało.

— Tobie możeby równem było czy ja żyję lub umieram, czym zdrow czy chory. Ja zapamiętałości nie mam. W gniewie zapalony jestem, niech mi Bóg krewkość przebaczy, ale serce gniewu nie pamięta.

Wojewody oczy wciąż były wlepione w brata; westchnął głęboko, z piersi zwolna głos się zaczął dobywać.

— I Bóg ci wiele przebaczy, boś wiele kochać umiał. Ani ja ci win twoich nie pomnę. Boleję tylko, że ci Opatrzność nie dała więcej wytrwałości w dobrem, więcej stałości i lepszego poznania własnych uczynków.

Pisarz na zdrowego byłby się zagniewał, zmleczął przed chorym i powoli u łoża przysiadł.

— Czem to ja tak pobłądził? — spytał.

— Pobłażaniem wiele. Czuję się niedobrze i czas przyszedł, gdy ci powiedzieć mogę prawdę raz jeszcze. Któż wie, co mi Pan Bóg przeznacza? Zgrzeszyłeś odrywając się od kościoła, od spółki wiernych i od narodu i rodu twojego. Obcy ci zamęcili głowę. Będziesz tego żałował.

— Słuchaj, — odparł pisarz — jeśli pobłądził, uczyniłem to nie przeciw wierze, ale dla wiary. Chciałem ją widzieć czystą, Chrystusową, ewangeliczną, taką, jaką była w pierwszych wiekach. Kościół zarażony był i jest nadużyciami wiekowemi.

— A czemuż nie miałeś ufności w kościele samym, iż on się z ludzkich pęt otrząsnąć potrafi? A ufałeś maleńkim i niespokojnym duchom, co w buncie przeciw powadze jego szukali ocalenia? Patrzże na skutki: rozerwany naród, rozdzielone familie, poróżnieni bracia, rozdarte królestwo, zniszczona powaga — niema granic temu, gdzie się ma skończyć

obalanie ono — bo tu nie buduje się nic, a wszystko wywraca! Ażali ci, co niszczą, stworzyć potrafią?

Pisarz zmilczał.

— Nie pora o tem rozprawiać — odezwał się — chory jesteś; gdy wstaniesz a siły odzyskasz, klócić się będziemy. A no, tu ci lekarza potrzeba, nie teologa.

— Mylisz się pewnie — westchnął wojewoda — wiedziałem z czem jechałem i żem śmierć niósł w sobie. Potrzeba mi lekarza, ale dla duszy. Ciało złamane doprasza się, by w proch obrócone do ziemi powrócić mogło.

Pisarz tak był rad, iż przyjściem swem rozerwał waśń jaka dotąd trwała, iż się w niczem wojewodzie przeciwiać nie chciał.

— Oba lekarze się przydadzą — szepnął — bo spokój ci dać mogą i trwogę odejmą.

— Nie mam trwogi — odparł wojewoda, — stanę z sumieniem spokojnem przed sąd Boży. Skutki mych uczynków nie w mocy mej, ale pobudek ich się nie sromam. — I powtórzył z gorączkowym pośpiechem, jakby dla własnego upokojenia: — W sumieniu czystym się czuję.

Drzwi się otworzyły, wszedł lekarz królewski. Wojewoda się zmieształ nieco, bo kogo innego snąc spodziewał się i spojrzzał na brata; nie opierał się jednak poddając badaniu. Pisarz

odsunął się nieco od łoża. Siadł doktor i długo, cicho pytał chorego, a za ręce go brał i w oczy mu patrzył. Zaledwie się to skończyło, gdy dano znać, iż ksiądz przychodzi. Podstarości wprowadzie na własny domysł lekarza sprowadził, lecz nieposłusznym być nie mógł i księdza też prosił.

Z wychodzącym doktorem wysunął się do drugiej izby pan pisarz i zatrzymał go ciągnąc do okna.

— Jestem rodzonym bratem chorego, — rzekł, przedstawiając mu się — mamy wiele spraw niedokończonych; powiedzcie mi szczerze co o nim trzymacie? Trwożę się.

Pomilczał trochę doktor.

— I ja niedobrze wróżę — odpowiedział. Natura to taka, co długi czas wytrzyma, czegoby inna nie zniosła, ale ją potem jeden cios obala. Słabi jęcząc żyją i ciągną, silni padają jak dęby.

Ruszył ramionami doktor.

— Przecież mylić się mogę a pragnę, bym się omylił. Stan ten trwać długo nie może: albo się rychło przesili, albo... nie dokończył.

Pisarzowi iza pociekła. Cała dawna miłość dla brata wróciła. Odwiódłszy doktora do drzwi, siadł na stołku między dworem i czekał by się ksiądz oddalił.

Godzina upłynęła, nim drzwi się otworzyły i kapłan poruszony wielce wyszedł. Pisarz spieszył napowrót do brata.

Zastał go na modlitwie, a że ani mu jej przerywać nie chciał, ani odejść mógł, w kącie miejsce zajmwszy, czekał.

I przesiedział tak długo, cierpliwie, aż uderzeniem w piersi wojewoda modlitwę skończywszy, rzekł:

— Bracie! pragnę! Każ mi dać kroplę wody.

XVIII.

Wieczora tego Janusz na chwilę wpadł do kamienicy Wilmsa; starego Hennichena nie zastał, Fryda przyjęła go z jakąś obawą, z której się wytłumaczyć nie umiała. Ciotka ciągle była na czatach, jakby się czyjegoś przyjścia lękała. Nie powiedziawszy nic o ojcu, Janusz widząc, że bawić nie może, i że dziewcę niespokojne zdaje się go chcieć pozbyć, odszedł prędko, nie mogąc sobie wytłumaczyć tego usposobienia.

Ze smutnemi myślami poszedł do gospody, gdzie pisarza zastać się spodziewał i nie znalazł go tu. Wieczór nadchodził, Janusz się niepokoić zaczynał coraz bardziej, stryja nie było. Wprawdzie nigdy on ściśle godzin swych nie obrachowywał i nie stawiał się w porze; przed nocą jednak zwykle pospieszał do

gospody, bo spocząć lubił i nawet strój mu miejski ciężył, a rozpasać się potrzebował i wysapać. Spóźnienie dnia tego już i ludzi zaczynało niepokoić, bo wyszedł był sam, nikogo z sobą nie wzięwszy, i wiadano, że rychło miał być z powrotem.

Gdy gaszenie ogni wytrąbiono i stróże nocni chodzić zaczęli, a dalej i północ biła, Janusz i dworzanie, którzy się spać nie kładli, poczęli myśleć co począć, i czyby nie należało wysłać na miasto, ażeby się o pisarza dowiedzieć, trwożąc się, czy go jakie nie spotkało nieszczęście...

Zdawało się jednak, że co chwila wrócić może. Jedni w progu domu, drudzy w oknach, wszyscy nie śpiąc, domyślając się, gwarząc dotrwali do wczesnego wiosennego poranku. Na brzask się już zabierało i po kościołach dzwoniło na jutrznię a pisarza nie było. Siedział on, nie chcąc ustąpić od łoża chorego brata, o którego się zatrwożył, pilnując go niezgrabnie, lecz serdecznie. Dopiero gdy już nadedniem powieki się choremu kleić zaczynały, wysliznął się na palcach, a wyszedłszy w ulicę poczuł się tak ciężkim i złamanym, że musiał powlec się na spoczynek.

Idąc myślał teraz tylko, co powie Januszowi; bo go nie chciał nadaremnie trwożyć, nie potrafiwszy wymódlzić u wojewody przebaczenia dla niego.

Nie rozpaczał wcale, że się to jeszcze da może uczynić, a tymczasem postanowił kłamstwem się pobożnem salwować.

Ujrawszy wlokącego się pisarza krokiem powolnym, z twarzą wybladłą, co żyło wytoczyło się z gospody przeciwko niemu. Janusz pierwszy przypadł doń, wymawiając mu, że ich w takim niepokoju rzucił i naraził się na jakiś wypadek. Dwór całując go po rękach, narzekał, że pan nikomu nie kazał iść za sobą.

— Ale dajcież mi pokój — zawołał pisarz rozrzewniony nieco — próżne wasze turbacye i domysły. Tylkom głupstwo zrobił, jak to u mnie nie nowina, ale mi się i nic nie stało i nic stać nie mogło. Jak młodzieniaszek siadłem grać w kości i po wszystkim.

Pisarz grywał wprawdzie i kubki lubił, lecz nigdy tak zapamiętałe, aby im sen poświęcał. Dziwnie się więc tłómaczenie wydało. Trzeba je było przyjąć wierząc czy nie, a stary pomruczawszy, ledwie się rozdziawszy padł na łóżko i zmożony usnął twardo. Nim wszakże położył się, rękodajnemu szepnął, aby go pod karą gniewu i niełaski zbudził za cztery godziny. Janusz poszedł do swej izdebki i w domu ucichło. Rozkaz przebudzenia i tłómaczenie, jakim ich zbył pisarz, dawało się wiele domyślać.

Zaledwie wstawszy potem, ubrał się, po-

lewki napiał, a wasy ledwie otarłszy, Januszowi na wychodnem polecił, ażeby się nie oddalał z domu, bo go potrzebować może.

Chciał mu jeden z dworzan towarzyszyć koniecznie, ale go ofuknął i w domu wszystkim siedzieć kazał. Uważali, że idąc z pośpiechem, oglądał się długo, czy kto mimo rozkazu nie śledzi go, i groził zdala stojącym. Tak im tedy z oczów znikł, a nikt się tajemnicy domysleć nie umiał. Janusz choćby się był wyrwał rad, musiał być posłusznym. Pod niebytność stryja na niego spadły odwiedziny różnych nowego zboru członków, i na rozmowie z nimi czas mu przeszedł do wieczora.

Znowu już mrok padał, a wojewodzie byłby się chętnie wyrwał ku rynkowi, ale go rozkaz stryja trzymał, a chciał mu być posłusznym. Dziwne jakieś przecucie mówiło mu, iż niebytność pana pisarza z jego losami była w związku, a choć niepodobna było przypuścić aby się z wojewodą schodzić mieli, Janusz był niespokojny.

W istocie nie mógł się oddalić pan pisarz, dnia tego bowiem stan zdrowia brata znacznie się pogorszył. Lekarz już nie czynił żadnej nadziei i mówił, że się życie wyczerpało, że go niczem przywrócić niepodobna. Wojewoda słał w oczach. U łoża jego siedząc, ocierając łzy, pisarz miał nadzieję, że tu wreszcie,

w godzinie uroczystej rozstania, Januszowi przebaczenie wyrobić potrafi.

W ciągu dnia kilka godzin zabrało pisanie ostatniej woli, którą przywołany rejent, zamknawszy się z wojewodą, urzędownie sporządził. O niej żadnej wiadomości niepodobna było zaczerpnąć, a nie szło też pisarzowi o majątności wcale, tylko o to ojcowskie błogosławieństwo, bez którego każde dziecko wiekuiąta jest sierotą. Trwał więc nieprzerwanie na straży u proga, cisnął się natrętnie; wojewoda łagodnie go przyjmował.

Dziwna rzecz, widok pobożności brata, dopełnianych religijnych obrzędów, spokoju z jakim się na śmierć gotował, podziałały tak na pisarza, iż się czuł niemal zupełnie nawróconym.

Nieszczęściem, u niego nigdy długo na wrażenie i przekonania rachować nie było można. Poddawał się łatwo pierwszym, przyjmował drugie, ale tak samo nowe przychodziły zacierając te co je poprzedziły. Tym razem może silniejszy był zwrot, bo cofał pisarza do młodzieńczych jego wspomnień i do czasów szczęśliwszych.

Ku wieczorowi znowu dwaj bracia byli sami. Na wojewodzie znać było osłabienie i wyczerpanie, lecz umysł wszystkie swe siły zachował. Mówić tylko było mu ciężko a chwilami oczy jakby senne przymykały się i ciało szukało spoczynku.

Pisarz siedział wlepiwszy wejrzenie w niego. Po kilkakroć rozmowę zaczynał, nakłaniając ją ku temu przedmiotowi, którego dotknąć się lękał, a przecież musiał on zagadnąć. Obawa zgonu skłoniła go wreszcie, że korzystając z chwili jednej, łagodnym głosem rzekł do wojewody:

— Chociaż mam wszelką nadzieję, że zdrowsz będziesz, że choróbko to się przesili i pójdzie precz, a no, pozwól bym cię o syna zapytał, bym ci go przypomniał.

Łysnęły oczy wojewody z pod powiek i — cicho rzekł:

— Nie mam syna.

— Jakto? w tej godzinie nawet, gdyś był powinien wszystkim przebaczyć?

— Darowałem mu winę, ale pokuty darować nie mogę.

— I nie dozwolisz, aby przykląkł tu u łoża twego, ażebyś go mógł rękami drżącemi pobłogosławić?

Milczał wojewoda i wzdychał.

— Czyż sądzisz, — rzekł wreszcie, — że mnieby nie było lżej umierać, gdybym mógł mieć tę pociechę! Gdybym o sobie myślał tylko, bracie mój, dawnobym to uczynił. Nie mocen jestem. Nawróconego tylko i skruszonego przyjącbym mógł, a tym — nie jest.

— Bracie! — zawołał popędliwie pisarz, — jużes mnie nawrócił zupełnie, ja to tałatajstwo zborowe wyżenę precz z Zalesia, słowo ci daję, a na Janusza nasiadę też, że do kościoła naszego wrócić musi. Nie nasza to sprawa wiarę prostować.

— Lecz Janusz słowem jednym nawrócony być nie może i powrót jego byłby nieszczerym. Nie! tego nie żądaj odemnie! Gdy nawróconym będzie, dasz mu moje błogosławieństwo.

Usłyszawszy te słowa, pisarz się rzucił do ręki brata, całując ją, i uściskali się, płacząc oba.

— Masz tam ostatnią wolę moją — dodał wojewoda cicho i zamilkł, — a teraz daj mi myśleć o Bogu, do którego idę.

Począł się modlić. Pisarz opuścić go nie chciał, siadł w kącie i drzemał. Wojewodzie zdawało się polepszać, zbierało mu się na sen spokojny, wyszedł więc pan pisarz przed nocą, bo czuł, że mu też sił zaczynało braknąć. Tym razem weselszy, przejęty, niemal szczęśliwym był i gdy w progu zobaczył Janusza, padł mu na szyję, całując go i prowadząc z sobą do sypialni.

— Nie mam już co przed tobą dłużej tać — zawołał — u ojca twego spędziłem

ten czas, pojedналиśmy się z nim. Chory jest, i lekarz żadnej nie daje nadziei.

Pobladł Janusz.

— Stryju! tam teraz miejsce moje, choćby mnie miał odepchnąć.

Pisarz się zamyślił.

— Wiesz co, — rzekł, — i tego ci nie zataję, żem za tobą mówił, prosił, żem od niego żądał usilnie, aby ci przebaczył, alem tego wymódz nie potrafił. Chce, ażebyś do kościoła powrócił, błędów się swych zaparł, a naówczas...

Spojrzał na Janusza, który stał jak osłupiały.

— Tak jest, — rzekł, — te nowinki szwabskie to dyabła warto. Ja się sam przekonałem, to nie dla nas potrawa. Patrząc na brata nawróciłem się: precz od siebie wygnam tę zgraję. Z Niemcami zerwać trzeba, wyrzec się wszelkich z nimi konszachtów i tych amórów niezdrowych, a wszystko będzie dobrze.

Patrzył jak w tęczę na Janusza, który bladł i drżał.

— Stryju mój, — odpowiedział po namyśle — jam przyjął tę naukę z przekonania. Sumieniu mojemu klamać nie mogę: tak trzymam, tak wierzę, a cóżbyście rzekli na mnie, gdybym dla czegobądź w świecie sumienie własne sprzedał?

— Niemcy cię opętali i po wszystkim —

zawołał pisarz. — Ten szatan w spódniey... gdyby go nie było, toćbyś przecie dla błogosławieństwa ojca bałamuctwo porzucił.

Zaczął żywo machać rękami.

— Cóż ty sobie myślisz? — dodał — albo to, uchowaj Boże śmierci na ojca, ja pozwolę ci się oszargać i z mieszczańską córką...

— Szlachcic jest! — przerwał Janusz.

— Jak Niemiec szlachcicem być może! To wszystko chłopstwo! — ofuknął popędliwie stryj — co mi ich szlachectwo! Ja nigdy też na to nie pozwolę, a jak się mi uprzesz, to i jam cię wydziedziczyć gotów, bo tej kucharki w domu nie zniosę.

Janusz blady jak chusta, słuchał uszom prawie nie wierząc.

— Nie pochlebiaj sobie, ażebym ja zmiękł! — dodał stryj — w innych rzeczach słaby jestem, a no, w kardynalnych i ja twardym być potrafię. Oczy mi otworzył wojewoda. Wrogi nas rozbić chcą i wpakowali nam ten klin, abyśmy się między sobą jedli. A no, nie! Napatrzyłem się tych Zaranków i całej tej drużyny wywłoków; nie chcę ich, a waści z sobą z tej kałuży wyciągnę.

— Kochany stryju — szybko zawołał Janusz — nie będę przeczył, że dużo śmiecia ta burza nam naniósła, a no, ludźmi jesteśmy i nauki to nie kala.

— Jaka to nauka? co za nauka? każdy uczy inaczej, jakby żadnej nie było. A no, ludzie się rozprysną i pójda na noże! — krzyknął pisarz — już mi ty nie mów nic.

Zmilczeć było potrzeba. Janusz na krzesło padł i tak na niem pozostał jak przybity. Niespodziewana zmiana w stryju, wiadomość o chorobie ojca, odjęły mu na chwilę przytomność; tarł czoło, jakby chciał odpędzić myśli, które go obłęgały.

Pan pisarz legł na łóżku.

— Idź, spocznij — rzekł — rozmyśl się: ojciec żyje, na skruczę czas, poprowadzę cię do niego, wyprzesz się tych bałamuctw i pobłogosławi. A któż wie? to mu życie przywrócić może.

Nie słuchając już coraz cichszego mrużenia pana pisarza, któremu, mimo gwałtownego uczucia, oczy się kleiły do snu, Janusz wyszedł.

Nie wiedząc gdzie się obróci, co pocznie, nie mogąc wytrzymać w izbie, bezmyślnie wysunął się na ulicę. Noc była pogodna i jasna, powietrze chłodne, w mieście cisza. Szedł wolnym krokiem nie kierując sobą, byle iść, poruszać się i rozbić ciężar myśli. Nierychło obejrzawszy się, znalazł się wśród rynku, którego część oblana była światłem księżyca, a druga w cieniu czarnym, świeciła gdzienie-

gdzie czerwonym oknem domu. W kamienicy Wilmsa na piętrze jaśniało w jednym oknie. Janusz poznał izbę Hennichena, który miał zwyczaj czuwać długo.

Szyby były otwarte. Wojewodzie podszedł wpatrując się w nie, jakby chciał tam szukać ratunku, którego gdzieindziej znaleźć nie mógł. Zbliżywszy się poznał głowę staruszka, pokrytą czarnym biretem. Stał.

Ciche syknięcie dało się słyszeć z góry; na rynku oprócz oddalonego stróża nie było nikogo.

— Ja to jestem — cicho odezwał się Janusz.

— Co po nocy tu robisz? Gdzież się to pod oknami wałęsać i nam przez to czynić krzywdę?

— Potrzebuję mówić z wami! zaraz! sprawa pilna! — zawołał wojewodzie — nie dla płochej myśli tu przyszedłem.

— Cicho! cicho! — odparł Hennichen i głowa znikła z okna, które się pocichu zamknęło.

Nierychło, ostrożnie otwarły się drzwi domu. Stary zamiast tu wpuścić wojewodzica, okryty tułubkiem sam wyszedł do niego.

— Co się z wami dzieje? — zapytał ujmując go za rękę.

— W ulicy mówić nie możemy — począł Janusz.

Zawahał się Niemiec, lecz po namyśle napowrót kamienicę otworzył, obejrzał do koła i nakazawszy cichość wpuścił wojewodzica do domu. Przeszli stąpając ostrożnie do małej izdebki za sypialnią Hennichena, w której tylko pakunki podróżne złożone były i skąd głos ich dojsć nie mógł do mieszkania kobiet i służby.

Janusz ocierał zimny pot, który mu oblewał skronie. Przy świetle kaganka, który wniósł stary z sypialni, poznał po twarzy jego męczarnię.

— Ojciec mój umiera, jest tu — odezwał się Janusz — widzieć mnie nie chce, znać nie chce, nie chce błogosławić. Próżne były prośby stryja. Musiałbym się wyrzec prawdy dla błogosławieństwa, a jakże ją mogę wydrzeć z duszy mojej?

Westchnął.

— Miałem opiekuna w stryju, straciłem go. Stryj także grozi mi wydziedziczeniem, jeśli do wiary naszej nie wróce.

Spuściwszy głowę Janusz dyszał i oczyma wodził bezmyślnie po izdebce. Hennichen spoważniał, zadumał się, ostygł jakoś i zdawał głęboko ważyć odpowiedź.

— Cóż ja wam na to radzić mogę? — odrzekł sucho. — Nie możeż się to odmienić?

— Ojciec mój umiera, wyrzekłszy się mnie.

Hennichen zaciął usta.

— Fatalne! — zawołał — straszne! Lecz stryj?

— Stryj dał mi czas do namysłu, i zaprzysiągł, iż postąpi tak samo, dawszy na to ojcowi słowo.

— Co za zaciętość! — odezwał się widocznie zaniepokojony Hennichen. — Więc niema prawa, którebyś na obronę swą mógł postawić?

— Prawo nie sięga stosunków między dziećciem a ojcem, między rodziną; mógłżebym ważyć się do niego uciekać? — odparł Janusz.

Złotnik wstał i ocierał też występujący na czole pot, który nagle bolesne wycisnęło wrażenie; przeszedł się po izbie parę razy.

— Okropny kraj! obyczaję dziwne! — zawołał — ciemnota straszna! niewola nieznośna!

Wstrząsnął się cały i zbliżył do wojewodzica biorąc go za rękę.

— Idźcie, spocznicie, czekajcie. Częstość w najrozpaczliwszych razach przychodzi niespodziany ratunek. Cóż ja wam nad szczerą litość dać mogę? Ubolewam niezmiernie.

Słyszając te zimne słowa, Janusz wstał z wolna.

— Panie Hennichen — rzekł złamanym głosem — jeśli będę zmuszony opuścić kraj, rzucić wszystko...

Nie dając mu dokończyć, złotnik pochwycił go za rękę.

— Nie czyn pan tego! nie myśi nawet o tem! Zrywać nigdy nie trzeba z rodziną, bo nowej nie znajdziesz na świecie. Trzeba czekać. Wszystko się to odmienić może, musi. To czcze groźby.

Mówił to Hennichen takim tonem dziwnie zimnym, bez przekonania, chłodno, jakby się tylko co najprędzej pozbyć pragnął człowieka, z którym nie wiedział co czynić.

Zamilkli oba. Złotnik na palcach poszedł ku drzwiom i ostrożnie znowu, świecąc wyniesionym z sobą kagankiem, przeprowadził Janusza do wrót kamienicy. Tu pożegnali się niemem ręki ściśnięciem. Wojewodzie wyszedł nie zyskawszy nic nad tę pewność, że na Hennichena rachować nie może. Zostawało mu serce Frydy i na tem polegał, pewien, że się nie zawiedzie. Była to pociecha ostatnia, jedyna. Fryda, której pierścień czuł na piersi, która miała słowo jego, to dziecię naiwne, szczere, kochające, nie mogło go zdradzić.

Zamyślony przesunął się tak przez rynek i skierował do gospody stryja.

Nie dochodząc do niej, zdziwiony postrzegł krzątających się ludzi i ruch niezwykły koło domu. Przyspieszył więc kroku, gdyż w tłumie tym poznał ludzi pisarza, a w progu mieszkania spotkał jego samego, z załamanemi rękami, zaledwie rozbudzonego ze-snu.

Blady, bez czapki, zapłakany podstarość stał ze zwieszoną głową. Łatwo się domyślił Janusz, co poseł ten przyniósł z sobą.

Na twarzach wszystkich wypisane było, że wojewoda nie żyje. Pisarz wziął go za rękę, poszli oba milczący, wiodąc za sobą prawie cały dwór przerażony tą wiadomością.

Gospodę, w której stanął wojewoda, zdala rozpoznać było łatwo: otaczał ją dokoła tłum ludzi strapionych i wylekłych. Pomimo surowości swej umiał nieboszczyk ich przywiązać do siebie; nie było ktoby nie płakał po nim. Wszyscy ci ludzie biedni za życia skupiali się przy nim, zależeli od niego, on był ich opiekunem i ojcem, zostawali po nim sierotami. Na twarzach malowała się trwoga, zwątpienie, boleść.

Milcząc rozstąpił się tłum przed pisarzem i synem zmarłego, synem, który w chwili zgonu nie był przypuszczonym do ojca. Trwożliwa wiara ludu widziała w nim nieszczęśliwego skazańca, nad którego głowę nie było ojcowskiego błogosławieństwa.

Wszystkie izby stały otworem: ksiądz, który w chwili zgonu był przy nim, klęczał i modlił się. Na małym stolczku w głowach postawiono dwie świece i krucyfiks. Wojewoda spoczywał na łożu tak jak skonał, z krzyżem, który ścisnął w rękę, z głową na piersi

spuszczoną, z twarzą dziwnie spokojną i obliczem niemal uśmiechniętem. Z wielkich bólów przecierpianych, z walk strasznych pozostał tylko ślad w wychudłej twarzy i fałdami okrytem czole. Usta zdawały się już wiecznemu pokojowi raju uśmiechać. Pisarz poszedł ukłęknać w nogach i zdawało się, że się modlił; pokłękł i Janusz u stóp ojca i ucałował je ze łzami. Spojrzał na twarz, jej wyraz zdawał się w niego wlewać otuchę: człowiek co nie przebaczył, nie mógł z tak jasnym i pogodnym umierać obliczem.

W długim milczeniu pozostali tak, dopóki pisarz nie poczuł się osłabionym i nie zażądał ręki Janusza, aby mu powstać dopomógł. Oba potem usunęli się do pierwszej izby. Brat chciał się podjąć zarządzania pogrzebem, lecz wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, było zawczasu przez samego wojewodę obmyślane. Zamówiony pogrzeb, uproszone duchowieństwo, wyznaczone nawet suknie do trumny, grosz dla ubogich i na światło. Nie mógł więc przy najlepszych chęciach pisarz w niczem być pomocnym, a nie wiedział spełna czy zresztą w czemkolwiek rozporządzać się miał prawo.

Wiadomo było wszystkim, iż zmarły pozostawił ostatnią wolę, którą złożył w rękach regenta królewskiej kancelaryi; lecz w tej

chwili nikt nie pomyślał o niej. Śmierć ta dla Janusza była nowym ciosem i mogła za sobą nieobliczone pociągnąć następstwa.

Tymczasem zajmowano się tylko pogrzebem, który zwyczajem ówczesnym musiał się odbyć z całą wspaniałością, jakiej imię rodziny i dostojność wymagały.

We trzy dni więc potem ciągnął się orszak żałobny ulicami Krakowa, na który ludzie patrzeć się zbiegali. Wszystkie zakony mu towarzyszyły, cechy, chorągwie i liczne bractwa, w które dawny Kraków obfitował. Szli kapnicy z zakrytymi twarzami, biczownicy, konfraternie, tłumy pauprów i ubóstwa, przed trumną okrytą żałobną deką wiedziony był koń zmarłego, z jego tarczą, łukiem i sahadakiem. Jechała milicya, szedł dwór i wszyscy dostojnicy, którzy podówczas w Krakowie bawili. Król będąc chory, wysłał ze swego ramienia marszałka i część dworu.

Za trumną pisarz szedł z synem, na którego ciekawe zwracały się oczy: wiedziano bowiem o tem, co rozdzieliło rodzinę. Rosły stąd bajki rozliczne: jedni mówili o kłątwie i wydziedziczeniu, o rozpisaniu majątności klasztorom, drudzy o przebaczeniu i nawróceniu. Niewiele jednak kto w istocie wiedział.

Żal był powszechny, bo żelazny ów człowiek wiele po sobie zostawił wspomnień

dobrych, a nikt mu nie mógł krzywdy wyrzucić. W refektarzu u XX. Franciszkanów zastawiono chleb żałobny dla duchowieństwa, gdzie podstarości milczący gospodarzył. Tu ani pisarz, ani syn się nie pokazali.

Janusz, który przez te dni nie miał serca na krok odstąpić stryja, posłał tylko oznajmić o swej żałobie Hennichenowi.

XIX.

Gdy się to działo, w kamienicy Wilmsa stary złotnik, po widzeniu się nocnem z Januszem, do białego dnia przesiedział nie zmrużywszy oka. Nad ranem poszedł zapukać do gospodarza; sprowadził go na dół do swej izdebki i po raz pierwszy opowiedział mu szczerze i otwarcie historję córki i Janusza. Wiedział on wszystko, nawet to co było przed nim najtroskliwiej ukrywane, nie dając nic znać po sobie.

Skończywszy opowiadanie, poszedł swemu dawnemu uczniowi ścisnąć ręce i z przejęciem, głosem drżącym spytał go:

— Co ty na to? mów mi otwarcie. Ojcem jestem, szczęścia dziecka pragnę, wiele dlań poświęcić gotów.

Wilms, który bardzo długo już w Polsce mieszkał i znał ją doskonale, zmilczał. Widać było po nim, że szukał odpowiedzi, któraby

szczerą będąc, nie zadała zbyt bolesnego ciosu. Trudno mu znaleźć ją było. Podniósł oczy ku Hennichenowi, z których wejrzenia nic dobrego wróżyć nie było można.

— Mistrzu mój, — rzekł — nie potrzebowaleś mi wielu z tych rzeczy mówić, bo je łącznie mogłem odgadnąć. Nie śmiałem się ani mieszać, ani radzić niepowołany. Cóż ci dziś powiem? Oto, że co się stało, nieszczęściem jest. Gdybyście nawet rodem i bogactwami dorównali temu domowi, którego potomek córkę waszą kocha, przepaść jest między nimi a nami. Oni nas, my ich nie zrozumiemy nigdy: obyczaj, wiara, wszystko nas dzieli. Albo wy się musicie wyrzec tego, czem żyliście i byli, lub on. Ofiara wielka, jeśli nie nad siły. Dla córki przyszłość albo więzienna, lub pełna zgryzot i smutków. Chodzą wieści — dodał, — że wojewodzica ojciec wydziedziczył za zmianę wiary; że stryj, który chwilowo zdawał się skłonny do konfesji naszej, porzucił ją i nagli także. Wojewodzie się oprze, jak sądzę, familia go opuści. W tym kraju stanie się obcym i obrzydzonym... jakaż przyszłość?

Hennichen ręce łamał.

— Stało się — zawołał — winniśmy, ja, żem go do domu przyjął, ona, że mu się do siebie zbliżyć dała. Lecz, kochany Wilms, jam też przecie zaszczycony szlachectwem przez cesarza, ja mogę książęce po niej dać wiano.

— Wątpię, by to ich upór mogło przela-
mać — odparł Wilms — lękam się, trzeba
się na najgorsze gotować.

— Moje dziecko! moje biedne dziecko! —
szepnął stary.

— Nadtoście je pieszczono chowali —
odezwał się Wilms.

— Chciałem, by była szczęśliwą.

— Dziecko przeboleje i zapomni — rzekł
Wilms.

Hennichen spojrział z bolem i niedowie-
rzaniem.

— Idź, — rzekł, — błagam cię: zasięgnij
w mieście języka, radź mi, zyszcz pomoc,
powiedz co mam czynić, głowę tracę.

— Potrzeba męstwa, mistrzu kochany, —
ściskając go szepnął Wilms; — idę, bo ka-
żesz, lecz niewątpliwie powrócę z tem, z czem
wyszedłem.

Złotnik miał wielu znajomych i przyja-
znych w mieście, nie mógł się jednak spo-
wiadać przed nimi, potrzebował szpiegować
i kryć się z tem, co chciał wybadać. Szczę-
ściem całe miasto mówiło o śmierci i testa-
mencie wojewody, tak, że Wilms mógł się,
prawie nie pytając nikogo, dowiedzieć co mu
było potrzeba.

Właśnie po pogrzebie ostatnia wola zmar-
łego ogłoszoną być miała, gdy złotnik do

regenta się dostał, który ją pisał i miał w depozycie. Na zapytanie o nią stary prawnik uśmiechnął się.

— Męczą mnie wszyscy o to — rzekł, — ciekawi się dowiedzieć, jak wojewoda substancją rozporządził; a no, cierpliwi bądźcie. Usta mam zawarte, dopóki pieczęci nie rozłamano; potem się wszyscy dowiecie, boć to nie będzie tajemnicą.

Otwarcie testamentu z woli nieboszczyka odbyć się miało w obecności pana pisarza, kasztelana Jeremiego i kilku osób do rodziny należących, z wyłączeniem dyssydentów.

Ta klauzula odsuwała syna, który i tak nie mógłby być przytomnym. Właśnie w chwili gdy się jego losy rozstrzygać tam miały, Janusz, jakby nieprzepartą jakąś pchniętą siłą, poszedł do kamienicy Wilmsa, bo Frydy przez kilka dni nie widział. Zdaje się, iż Hennichen musiał być na czatach ciągle, bo nim Janusz na wschody wszedł, stary go w sieni spotkał.

— Nie idź pan na górę — rzekł — przepraszam was, Fryda jest trochę chora, potrzebuje spoczynku, powietrze to wasze jej nie służy.

Mówił zafrasowany i widocznie z bólem serca. Janusz ledwie mógł uszom swym wierzyć. Stali właśnie pod wschodami, nad którymi w cieniu na piętrze widać było drzwi pokoju Frydy. Wojewódzic się jeszcze wahał,

co ma uczynić, gdy drzwi te otworzyły się, Fryda wybiegła, pochyliła się na galeryi i głosem drżącym zawołała na ojca:

— Dlaczegoż nie proście wojewodzica na górę?

Zmieształ się stary Hennichen i spojrzeniem prosił o milczenie, wskazując wschody i puszczając przodem gościa. Januszowi przykro było iść tak z łaski, niemiłym gościem, ale wzrok Frydy go przyzywał. Piękne dziewczę, blade, z rozpuszczonym włosom, w czarnej sukience, niespokojnie w dół patrzyło. Ojciec szedł zmieszany i milczący. Znaleźli się tak w progu mieszkania Frydy i weszli razem, bo Hennichen odstąpić go nie chciał. Dziewczę ciekawemi, litościwemi oczyma patrzyło na długo niewidzianego Janusza, chcąc z jego twarzy tych dni smutki wyczytać i podzielić. Przybrało posępny wyraz, podało mu rękę i wejrzenia ich spotkały się, a z Janusza oczu musiało trysnąć zwątpienie, bo twarz Frydy oblekła się nagle trwogą. Gdyby nie ojciec, obrzuciłaby go pytaniami; stary Hennichen po to tu był, aby im przeszkodził — i natychmiast rozpoczął rozmowę obojętną, z takim naciskiem, iż Janusz i Fryda uledez musieli. Opanował on ją i usiadł, przedzielając ich sobą.

Wszystko to nie mogło ujść baczного oka Frydy, która, pierwszy raz może w życiu, uczuła żal do ojca; potrzeba go jej było oddalić.

Wysunęła się naprzód sama z komnaty, oczyma przykuwszy Janusza. Zaledwie suknia jej znikła we drzwiach, gdy ojciec za rękę chwycił wojewodzica...

— Proszę was, — szepnął — nie bawcie dziś długo, Fryda potrzebuje odpoczynku.

Kończył tych kilka słów, gdy ciotka weszła temiż drzwiami i powołała za sobą Hennichena. Rad się był oprzeć jej, nie mógł; wyszedł. Janusz pozostał sam, bo towarzyszka jego ledwie przywitawszy zdążyła, zniknęła. Nie trwało to jednak długo — Fryda wracała z posępną twarzą, brwią ściągniętą, jakby dysząca gniewem i niepokojem. Weszła jak królowa nie zdając się zważać nawet na to, że ojciec z równie zmienioną fiziognomią siedł tuż za nią. Spostrzegła go dopiero odwróciwszy się, wlepiła wzrok w Janusza milczący i nieznacznie ręką przycisnęła na piersi zawieszony sygnet, potem szybko usunęła się do okna. Hennichen błdy padł na krzesło.

Położenie wojewodzica stawało się nadzwyczaj przykrem. Musiał wyjść, wziął więc za czapkę i zerwał się z siedzenia żywo. Fryda zwrócona ku niemu nie wstrzymywała ani słowem, ni oczyma, zdawała się uspokojoną i obojętną.

Nizkim ukłonem pożegnał ją Janusz, całą swą miłość skupiwszy we wzroku, który zro-

zumianym być musiał. Z dumą pewną, ale wyszukaną dworszczyzną zwrócił się ku zdziwionemu Hennichenowi i tego też z dala pozdrowił wychodząc w milczeniu, bo wyrazu znaleźć nie mógł. Cała ta scena zostawiła po za sobą dopiero wybuch nieunikniony.

W istocie, zaledwie na wschodach był wojewodzie, gdy Fryda zakrywszy oczy, zachwiała się jak obłąkana i padła w krzesło. Podbiegł ku niej ojciec i ciotka. Nie było to omdlenie, ale serca ból wielki, młody, pierwszy, co czasem zabija, niekiedy życie poczyna.

Troskliwy ojciec chwycił jej ręce. Spojrzała nań z wymówką gorzką i rozplakała się srebrnymi łzami.

— Dziecko drogie, nie gniewaj się na mnie! Tak było potrzeba, tak nieraz jeszcze może ja ci sam cios zadać będę musiał — lecz ja, ja cię pragnę ocalić.

— Więc zgubą byłby ten, ten człowiek — odparła głosem słabym — on! ojcze! on, któregoś ty kochał jak syna?

— I nie zmieniłem dlań uczucia, lecz... Uspokój się, nie mówmy, czekać potrzeba... Zaufaj mi i nie badaj mnie jeszcze... Te dni rozstrzygnąć muszą.

To powiedziawszy niewyraźnie, szybko, stary pocałował córkę w głowę i jakby siłą odrywając się od niej uciekł do swej izdebki. Całe

postępowanie jego niezrozumiałem było, lecz zatrważającym. Fryda, z rękami załamaniem, została w krześle jak wkuta.

Wygnany z tego domu, który mu się ostatniem zdawał schronieniem, Janusz wyszedł bezmyślnie wracając do gospody. Obojętnem mu było, gdzie się podzieje i co pocnie z sobą. Życie zaczynało mu ciężać. Pierwszy raz dostrzegł w Hennichenie chęć oddalenia go od Frydy. Dotąd wierzył równie prawie w przywiązanie jego do siebie jak w serce Frydy.

Wszyscy więc, oprócz niej, odstępowali go. Stryj żądał ofiary nad siły. Myślał właśnie o panu pisarzu, gdy w ulicy głos jego usłyszał.

Ze znacznym pocztem, strojny jak nigdy, jechał z zamku.

Rzadko go takim Janusz widywał. Tym razem musiał pisarz urzędownie niejako wystąpić, wobec rodziny, która się na czytanie ostatniej woli zmarłego zgromadziła. Wdział więc suknie przygotowane na posłuchanie do króla, i kołpak soboli, i ferezyę z guzami złocistymi, a otoczył się dworem, który także lepiej niż we dnie zwykle wyglądał.

Na głos stryja, jakby oducyony, zbliżył się ku niemu Janusz, starając z twarzy poznać, z czem powracał. Trudno to wyczytać było: pisarz wyglądał poważnie, uroczyście, nie tak jak zazwyczaj; twarz jego nawet dziwną jakąś

metamorfozą przypominać się zdawała zmarłego wojewodę. Rzekłbyś inny człowiek. Nic nie mówiąc, skinął tylko na Janusza, aby szedł za nim.

Byli niezbyt daleko od gospody, przed którą zsiadł z konia, i z powagą, milczący, wszedł do izby. W pierwszej zostawiwszy tych co mu towarzyszyli, Janusza z sobą zabrał do drugiej. Ani słowa dotąd wyrzec nie mógł, tak był widocznie wzruszony i przejęty tem co miał czynić.

Dosyć długo przygotowywał się chodząc i spoglądając na stojącego synowca, jak na winowajcę.

— No — rzekł w ostatku — ojca twojego wolę już wiemy. Zacny, godny, sprawiedliwy człek skończył jak żył, z rozumem i sercem. Wiele rozpisał na klasztory i fundacye, resztę zostawił mi do rozporządzenia. W testamencie niema o tobie ani słowa, i być nie mogło. Co raz rzekł, tego odwołać nie chciał i nie było powodu. Lecz wolę swą objawił mi wyraźnie w chwilach ostatnich: powrócisz do kościoła, a tem samem i do rodziny — nie mam nikogo, odziedziczysz więc wszystko po mnie. Lecz jak wojewoda, tak i ja, posłuszeństwa wymagać będę, muszę. Dziś jestem spadkobiercą jego woli, na mnie zdał losy twoje; wiesz, że cię kocham, a kochając, muszę

żądać, abyś samopas nie szedł. Masz ze mnie przykład. Balamuctwo to było i mnie opętało, przecieżem się opamiętał i nie chcę znać tych nowych mistrzów. Czas i waszmości.

Mówiąc te słowa głosem przerywanym, patrzył na Janusza, którego twarz się mieniła, bladła i rumieniła na przemiany.

— Panie pisarzu, — rzekł wreszcie — z rozmysłem przyjąłem naukę nową. Mogę być w błędzie, lecz nie czyniłem sobie igraszki i igrać z sumieniem nie mogę.

— Cóż to jest? więc mi zadajesz, że ja z niem igrałem?

— Bynajmniej — przerwał Janusz — lecz mogłeś pan pisarz inaczej widzieć, inaczej sądzić i w dobrej wierze inaczej postąpić; ja skłamałbym, gdybym się zaparł tego, co uznaję prawdą.

— Zawsze tedy ta sama piosenka!

— Radbym ją dla pamięci ojca, dla was zmienić na inną, ale jak?

Pisarz zdumiony stanął.

— Ale rozważże, co za konsekwencye? Zostajesz wydziedziczonym i opuszczonym przez wszystkich. Ja muszę spełnić wolę brata, ja będę też musiał wyrzec się ciebie. Cóż? żebrakiem zostaniesz? włóczęgą?

— Sądzę, że nie — odparł Janusz dotknięty do żywego — opiekę znajdę u pp. Górków.

Zamilkł pisarz i zniżając głos dodał czulej:

— Janku! miejże rozsądek! Kto cię tam pytać będzie, co ty sobie myślisz i trzymasz, byleś jawnie z kościołem nie zrywał i zgorzelenia nie dawał, byleś się tych Niemców wyrzekł, dla których pono cała ta bieda.

Janusz otworzył usta, pisarz zagadał go podnosząc rękę.

— Już ty mi nie mów, to ta nieszczęsna podwika wszystkiemu winna, ale na to radę jakąś damy...

Urwał nagle, a potem znowu mówić począł żywiej jeszcze:

— Jam teraz spadkobiercą ojca, niech ci to nigdy z głowy nie wychodzi, ciężą na mnie obowiązki. Dopóki pan pisarz robił co chciał, to się i folgowało i różnie mogło iść na prawo i lewo. Ja dziś tego żelaznego człowieka reprezentuję, i muszę żelaznym być... i będę!

Podniósł głos.

Janusz nie miał co mówić już. Burzyło się w nim, duma jakaś wzdymała mu pierś, obchodzono się z nim jak z małoletniem dziećciem. Znał serce pisarza, tem mocniej go bolało, że on sobie z nim tak postępował.

— Cóż mi pozostaje? — spytał. — Wydaliście na mnie wyrok wygnania.

— Ty sam, nie ja. Myśl, waż i nie ociągaj się. Innego tu wyjścia niema. Nawet ci

bohdankę znalazłem, i żebyś do podwinki nie tęsknił, po skończonej żałobie wesele.

Janusz cofnął się parę kroków, skłonił z daleka i wybiegł; pisarz poszedł za nim, drzwi otworzył, popatrzał i namyśliwszy się, wrócił do izby.

W pierwszym gniewie i wzruszeniu Janusz natychmiast chciał zwijać swe juki, tłumoczki i jechać. Lecz dokąd? nie miał ani pieniędzy, ani przyjaciela, któryby mu dał schronienie, ani opieki w nikim. Opuścić Kraków, było niepodobieństwem. Do Hennichena się udać po usposobieniu, jakie w nim znalazł tego dnia właśnie, nie mógł. Pozostać na łasce stryja, który stawiał warunki tak ciężkie? czekać, ażebym pisarz, który zmieniał często zdanie, ochłódł i dał się przekonać? Wszystko to razem i tłumnie wiło się po jego głowie; objąwszy ją gorącymi dłońmi, biedny chłopak cierpiał i rzucał się w coraz większej niepewności.

PP. Górkowie mogli mu wprawdzie nie odmówić schronienia, ale nad to trudno się było co spodziewać. Nie mogąc usiedzieć, wybiegł z domu. Ciągnęło go na rynek, do kamienicy, a pójść do niej nie mógł. Krążył tylko po sąsiednich ulicach, aby choć zajrzeć ku temu oknu, gdy uczuł się pochwyconym i zwróciwszy postrzegł Tiliusa. Niemiec był

jeszcze bardziej pomieszany niż on; piegowała twarz jego straszniej się jeszcze wydawała pobladłszy, i plamy występowały na niej niemal brunatne.

— Dobrze, żem was pochwylił — zabelkował. — Nieszczęśliwa to prawdziwie godzina była, gdym się wam dał zaciągnąć do tego kraju! Macie mnie na sumieniu waszem. Naprzód wyście się mnie wyrzekli, potem wałęsać się musiałem niemal o suchym chlebie, teraz i pan pisarz mnie odprawił. Tu w Krakowie aż nadto nas jest, a czyhają, by nas wygubić! Tuż ja życia niepewien, nawet od ulicznych pauprów! Ja tu nie chcę pozostać! ja nie mogę!

Januszowi szybka ta mowa brzmiała w uszach niezrozumiale a wielce obojętnie; własna niedola czyniła go nieczułym na losy Tiliusa.

— W porę przychodzisz z żałami — począł niechętnie. — Ja tu sam nie w lepszym jestem położeniu, bo nie wiem, co uczynię z sobą, jakże tobie radzić mogę?

— A! przeklęty kraj — wołał Tilius — niegodziwi ludzie!

Wśród tych narzekań Janusz poczuł wstręt do człowieka, który sprawy wiary zapominał dla własnej.

— Przyszedłeś apostołować a choćby cierpieć męczeństwo, — rzekł — rad więc być powinienes.

Tilius ruszył ramionami.

— Zapewne — odezwał się — chciałem mieć ziarna zdrowe, ale mi tę rolę inaczej odmalowano. Inni tu znaleźli bogatych protektorów, spokojny chleb i osłonę, jam też myślał, że coś zyszcze...

Ze wzgardą rozśmiał się wojewodzie.

— Szło ci o zysk? — zapytał szydersko. — Mój Tilius, dam ci dobrą radę, jest to nawet jedyna pono rzecz, jaką ci dać mogę. Idź, nawróć się, wyrzecz się swej konfesy, zostaniesz bohaterem, i za przykład cię stawiając nie dadzą ci umrzeć głodem.

Sądził, że się oburzy dawny towarzysz. Tilius dziwnie tylko twarz przeciągnął i usta wykrzywił.

— Za nic nie ręczę — mruknął — któż to wie, gdy głód dokuczy?

— A te wielkie prawdy, które głosiliś tak gorąco?

— *Mundus vult decipi, ergo decipiatur*, — szepnął uśmiechając się Tilius. — Moznaby podwójną grać rolę, któraby doprawdy nie złą była.

Chciał już odejść wojewodzie, gdy Niemiec go pówstrzymał, zbliżając się do ucha.

— Rada za radę — rzekł — mam podejrzenie, że Hennichen z córką, zobaczywszy skąd tu wiatry wieją, pono się w podróż

powrotną sposobi. Uciecze wam panienska, jeśli się nie dopilnujecie. Na tym kraju nie ja jeden się zawiodłem pono.

To mówiąc zmrużył oczy, i uśmiechnawszy szydersko, poszedł dalej.

Janusz puścił się za miasto i przebłąkał do nocy na samotnej przechadzce, tak, że późno, gdy pisarz już spał, powrócił.

Następny dzień spłynął tak prawie jak poprzedni.

Stryj przejęty tą rolą żelazną, którą na siebie wziął, spełniał ją z uporem człowieka słabego, który się śpieszy i lęka, ażeby sam sobie danego słowa nie złamał, i miękkość swą czuje. Nazajutrz rano ledwie się zbudził, posłał po Janusza, przyjął go jeszcze w łóżku siedząc.

— Janku, — rzekł — co ty sobie myślisz? Nie masz co czynić, tylko spełnić co ojciec chciał i co ja nakazuję. Ja słowa nie złamię! Wiem co ty sobie myślisz: — stryj zmięknie; otóż na ten raz knę ci się na wszystko, co mi świętem jest, nie! Albo uczynisz coś powinien, lub kwita z pokrewieństwa i przyjaźni.

Nie był to wcale sposób nawrócenia Janusza, który się uczuł obrażonym i nie chciał też uleść przemocy.

— Panie pisarzu, — zawołał — jedna rzecz, którą po ojcu wziąłem w spadku, to charakter,

który złamać nie łatwo. Skorośmy do tego przyszli, iż mi dajecie do wyboru albo z sumieniem i sobą być w zgodzie, albo z wami — mimo, że szanuję i kocham was, muszę raczej z sobą pozostać w pokoju. Nie pozostaje mi więc nic nad to, bym p. pisarzowi wdzięcznie podziękowawszy za jego łaski rozstał się, życząc mu wszelkiego dobra.

To mówiąc skłonił się z daleka i już się brał odchodzić.

Pisarz z łóżka wyskoczył jak był.

— Czekażże, szaleńcze, — zawołał — miarkuj się. Co poczniesz? głodem ci przyjdzie mrzeć! Opuszczą cię wszyscy!

— Jest Pan Bóg, odparł spokojnie Janusz.

— Rekurs do niego! na mnie, na ojca? więc my w błędzie, a waszmość praw, żeś się nam niewdzięcznością i niewiarą wyplacił?

— Panie pisarzu — zawołał Janusz, — daremna to rzecz, mnie nie przekonacie. Nie będę się tał: mam też i miłość w sercu, której jesteście przeciwni; z nią pozostanę, od niej nie odstąpię. Zatem trudno, abyśmy porozumieć się mogli. Pójdę, gdzie oczy poniosą, będę na chleb pracował rycersko czy dworsko, a bodaj zwałwszy ręce rzemiosłem, ale wiernym zostanę sumieniowi i sercu.

— Oszalał! dali mu napoju jakiegoś! — krzyknął pisarz — podobnego uporu nikt w świecie nie widział.

Janusz powtórzył zdala pożegnanie.

— A to nieszczęsna godzina z tym chłopcem! — odezwał się stary ręce łamiąc — nie dziwię się, że cię ojciec na chleb i na wodę wsadził, innej rady nie było i niema.

— Dziś tylko i prawa już nikt nie może mieć, by mnie zamknął — przerwał Janusz — jestem wolny.

— Janku mój, — płaczliwie niemal, wyciągając ręce ku niemu mówił zakłopotany pisarz, — ochłodnij, myśl, rozważ! Co czynisz? Imieniowi i rodzinie wstyd, hańbę sobie, zakaleę szlachcie. Możeż to być, ażebyś nas wszystkich dla jakichś obcych poświęcił, dla jednej gładkiej twarzy, dla jednej kobiecej pieśczoży? A maszże ty serce? toć to szal i pijaństwo!

Janusz z głową spuszczoną stał niemy, ponury, zamysłony, ale widocznie nieprzekonany i nieporuszony.

— Dałem serce, dałem słowo, pierścień dałem... nie odbiorę z tego nic, a co się ma stać, niech się stanie!

— Mówić teraz z tobą nie chcę — odparł pisarz, — daremnie, stracone byłyby słowa. Idź, myśl, zastanów się; daję ci ile chcesz czasu do rozwagi. Więcej uczynić nie mogę. Przez te dni nie powiem słowa, będziemy z sobą jakeśmy byli. Jam też na świecie został sierotą — jeśli stracę ciebie, świat mi obrzydnie. Janku, czyżem ja u ciebie nie wart nic?

Ostatnie słowa wyrzekł z takim uczuciem, płaczem prawie, że Januszowi też serce się poruszyło. Zbliżył się doń, w rękę go pocałował i milczący wyszedł od niego.

XX.

Jedyną pociechę w życiu Hennichena była córka: nią i dla niej oddychał stary, szczęście jej i świetny los zapewnić było dlań najwyższym celem. Zdawało mu się, że choć z trudnością i ofiarami, cel ten osiągnąć potrafi. Drogo okupiwszy szlachectwo, stanął, jak sądził, na równi z tą rodziną, do której Fryda wejść miała. Opór jej spodziewał się złamać tem wszechwładnem narzędziem, które kruszy wszystko — złotem. Dopiero stanąwszy na tej ziemi, wśród ludzi, których nie znał, w rozmowach z Wilmssem, w zbliżeniu się do nieznanego sobie świata, poznał Hennichen, jak srodze się omylił. Widział teraz, iż z drogi, po której zaszedł za daleko, potrzeba było powrócić.

Od kilku dni chodził jak zabity. Wojewodzie od rodziny odrzucony, wyłączony ze społeczeństwa, nie miał dlań większej wartości nad pospolitego młodego chłopca, któregooby wybrał ze swej czeladzi. Owe dobra, znaczenie, świetny pański byt, wszystko to znikало, — zostawał chłopak młody, bez rodziny, wygnaniec, bez przyszłości.

Dla Frydy, która go po młodzieńczemu kochała, było dość tego, że się rozumiały ich serca; dla ojca przyszłość stawała się zatrważającą. Chciał i musiał się cofnąć.

Po rozmowie potajemnej z Wilmsem, choć przysposobienia do podróży w sekrecie przed Frydą czyniono, Hennichen wstrzymał się jeszcze...

Wilms tegoż poranku poszedł do pana pisarza, którego znał z widzenia i kupna kilku sztuk srebra. Wpuszczono go bez trudności. Niemiec stanął u progu, bardzo skromnie, z czapką w rękach.

— Wasza miłość, — rzekł — pozwoli mi się sobie przypomnieć. Niegdyś miałem to szczęście, żem jej dzban i nalewki pozłociste sprzedał.

— A no! i zapłaciłem je, a dalipan tanie nie były! — odparł pisarz. — U dzbana się wprędce ucho urwało!

— Możemy je przystawić na nowo — rzekł Wilms — a no teraz nie o to idzie. Trafia się zręczność nabycia bardzo pięknego naczynia za bezcen. Wasza Miłość możecie je mieć jako zechcecie; jedyna zręczność, jedyna, i srebra bardzo piękne.

Pisarz się rozśmiał.

— Cóż ty mnie masz za bogacza? — spytał — ludzie pewnie po mieście roznieśli, żem

po bracie odziedziczył! Co? chyba troskę i biedę. Pieniądzy nie mam i sreber nie kupię.

— Pieniądzy nie potrzeba — rzekł Wilms.

— Cóż znowu? przecie podarku od was nie wezmę.

— Anibyśmy go śmiały W. Miłości ofiarować, ale na pieniądze czekać będę.

— Cóżżeś tak na mnie łaskaw?

— Słyszysz pan z uczciwości, to rzecz nie lada.

— Dziękuję waszności — odparł pisarz — a no, gdy mi kto kadzi, zawsze się boję, by gdzie niedaleko smrodu nie było.

I spojrział nieufnie.

— A cóż zaszkodzi srebra zobaczyć? — zapytał Wilms.

— Pewno nie, ino po co?

— Choćby dla ciekawości, do rynku niedaleko.

Pisarza chęćka wzięła, powoli miał się do czapki.

— Zobaczyc, zgoda.

Wyszli tedy razem. Rzecz była nagotowana. Zamiast poprowadzić pisarza na drugie piętro, wwiódł go do izby Hennichena, w której na stole co dom miał sreber nastawiano.

Czekał tu i stary złotnik, paradnie przybrany, w łańcuchu na szyi, z medalem z wizerunkiem cesarskim. Pisarz, zoczywszy go,

spytał zaraz, ktoby był. Odpowiedział Wilms, że spółnik jego.

Piękne srebra zwróciły uwagę, począł tedy przyglądać się im pisarz, a szacować i rozpatrywać się, co potrwało dosyć długo. Drzwi do sąsiedniej komnaty stały jakby umyślnie otworem: Hennichen, choć nie nie mówił córce, wiedział, że ją ciotka nakłoni, by wyszła i przededrzwi się pokazała. Ciotka spełniła ten poszept ojcowski bardzo szczęśliwie: skłoniła Frydę, by się ubrała jak na przechadzkę, w najparadniejsze stroje, aksamit, manele i koronki. Dziewczę wyglądało w nich jak zaczarowana królowa. Gdy pisarz przypadkiem podniósłszy oczy, zobaczył ją w tym majestacie młodości, wdzięku, stroju, piękną jak obrazy aniołów, smutną jak wygnankę z raju... kubek, który trzymał w ręku, wypadł mu z palców, osłupiał.

Stał długo, patrząc za oddalającą się zwołna i nie mógł przemówić słowa. Nareszcie spojrział na Wilmsa i zapytał:

— A to kto?

— Córka mojego spółnika.

Pisarz zrazu się jeszcze nie domyślał, lecz jakieś podejrzenie, wątpliwość, niepokój go ogarnął. Powiódł oczyma po srebrach, potem ku drzwiom, poza którymi jak zjawisko cudowne migąła przechadzająca się Fryda,

i nagle spoważniał a ostygl. Wejrzenie rzucone na Hennichena, na zmięszanego Wilmsa, milczenie długie, które zapanowało w pokoju, w coraz silniejsze wprawiły go podejrzenie. W tej chwili, za dany znak, ciotka przytknęła drzwi od komnaty, zostali sami. Wilms podsunął krzesło. Pisarz nie chciał usiąść.

— Jeśli się nie mylę — odezwał się ponuro po chwili namysłu — nie o srebra waszmości pono szło. Dorozumiewam się, dlaczegoście mnie tu ściągnęli. Mów prawdę, chytry człowiecze! Nie ta to jest piękność, co głowę zawróciła synowcowi memu? a cóż? to srebra w posagu!

Pogardliwie ramionami ruszył. Hennichen, który języka nie rozumiał, domyślał się tylko z twarzy rozmowy.

— Gdyby tak było — pokornie odrzekł Wilms — jużci nie grzech, żem pragnął w imieniu ojca osoby, z którą się pan wojewodzie zaręczył...

— Jak zaręczył! — oburzył się pisarz.

— Mamy sygnet herbowy na dowód, — odezwał się spokojnie Wilms — cóż będzie dalej?

Stary szlachcic cofnął się prostując na kilka kroków, wziął w boki i począł szydersko, nielitościwie się śmiać.

— Myślicie, że tego wszystkiego dosyć, aby dla mieszczkańskiej córki syna polskiego senatora pochwycić?

— Hennichen jest szlachcicem, mianowany przez cesarza.

Na stole leżał dyplom, który Wilms rozwinął i chciał pokazać, ale go ręką ze wzgardą odepchnął pisarz.

— A myśmy szlachtą mianowaną przez samego Pana Boga! — krzyknął — to coś więcej znaczy. Daj ty mi pokój z jego szlachectwem, to u mnie wszystko nic.

— I Hennichen daje jej posagu nie te srebra, ale sto tysięcy złotych florenów, oprócz tego co weźmie po jego zgonie, a co więcej daleko znaczy.

Pisarz głową potrząsł.

— A co mi po skrzyni złota? jeść go nie będę, ani on ani ja! Co mi po niem? Słuchaj, Wilms! zdało mi się, że rozum masz; wytłómacz to temu niememu, że my synów nie sprzedajemy, ani sumienia i czci naszej. A byłoby to szczęściem dla tego pieszczonego dziecka, gdyby je narzucił tam, gdzieby łzami się oblewać musiała codzien, boby jej lada ochmistrzyni szlachcianka w oczy pluła mieszczaństwem? Niech sobie dla niej gdzieś indziej męża szuka. Z tego nic nie będzie. Dziewka piękna, mój Wilms, ale owa krasa przekwitnie, wdzięki pójdą precz, a lzy zostaną. Powiedzcie mu to wszystko i dodajcie, że on tu wraz z córką nie ma co robić, niech z Bogiem do domu rusza.

Więc kołpak na głowę włożywszy, z pychą wielką, ani chcąc już więcej słuchać ni mówić, nie spojrzawszy na bladego Hennichena, który mowę po ruchach mógł zrozumieć i Wilms nie miał mu co tłumaczyć, poszedł ku drzwiom pisarz, otworzył je i nieprzeprowadzony zstąpił po wschodach na dół.

Po wyjściu jego nie spytał nawet stary ojciec o zamienione wyrazy, znaczenie ich było dlań jasnym. Ostatnia próba, odwołania się do serca, do rachuby, do wrażenia młodzieńczych wdzięków, spełzła marnie, nadzieja wszelka znikła. Hennichen czuł się obrażonym, upokorzonym, pragnął zemsty. Nie pozostawało mu nic, tylko dziecię ratować. Na Wilmsa skinął, ażeby go samym zostawił, i siedział długo skostniały, namysławiając się co uczyni.

Nierychło dopiero wyszedł do córki. Fryda czekała na niego. Scena poprzedzająca była dla niej niezrozumiała. Smutna jak zawsze, bawiła się chustką i patrzyła w okno, czy w rynku nie zobaczy wojewodzica, który często pod oknami błdził. Otwierając się drzwi oczy jej ściągnęły na ojca; zobaczyła go zmienionym, bladym, takim jakim nigdy nie bywał zbliżając się do niej. Nawykła była widzieć go uśmiechniętym dla siebie, niosącym z sobą spokój i szczęście; teraz zdawał się uginać pod jakimś brzemieniem i lękać wejrzenia córki.

Zbliżył się tak drżący, położył na ramionach jej ręce i pocałował ją w czoło białe. Siadł naprzeciw niej, usta mu drżały, przemówić było trudno.

Frydę przejął jakiś strach zimny przecucia, jakby zbliżanie się burzy uczuła. Słowa poprzedziło wejrzenie mówiące tak wiele, iż one już nic prawie dodać nie mogły.

Zesłabłym głosem wreszcie Hennichen się odezwał:

— Frydo kochana, my powracać musimy, uciekać stąd. Powietrze tego kraju mnie dusi a ciebie chorą czyni... jedźmy do domu.

— Ojczy mój! cóż się stało?

— Stało się, że ja, że my tu chwili dłużej pozostać nie możemy; domyśl się, co najgorszego stać się mogło.

— Janusz nie żyje! — przeraźliwym głosem krzyknęło dziewczę i martwepadło na kolana ojcu.

— Na Boga! uspokój się, dziecię moje. Nie umarł on, ale dla nas, dla ciebie go nie ma. Rodzina jego cała nas odpycha. Musiałby jej się wyrzec, nie chcą go znać, nas nie chcą! Myśmy dla nich chłopstwem i uliczną zgrają. Nic wspólnego nie może być między nami, anibym cię dał im na długie męczeństwo.

Fryda podniosła głowę, twarz jej biała zawsze, zakraśniała krwią, oczy pałały płomieniami, rękę położyła na dłoniach ojcowskich.

— Cóż mi po rodzinie! ja kocham jego, on mnie kocha, niech oni mnie, niech ja ich nie znam, pójdziemy w świat, sami... z tobą.

— Nie — odparł Hennichen — życie człowieka od życia ludzi i rodzin oderwać się nie może. To dziecinne wyrazy. Nam uciekać potrzeba tam, gdzie nas znać będą i oceniać umieją. Nieszczęśliwy dzień, gdy ten chłopiec stąpił na próg domu naszego, gdy myśmy na tę ziemię weszli. Uciekać stąd trzeba... uciekać!!

I porwał się z krzesła gwałtownie. Fryda ocierała oczy, wstrzymała go za rękę.

— On musi jechać z nami! — zawołała.

— Nie chcę go znać! — rzekł Hennichen — tyś go zapomnieć powinna!

Dziewczę zmarszczyło brwi, potrząsało głową.

— Nigdy! — zawołała stanowczo — nigdy!

— Widziałaś, z jaką wzdargą ten magnat, co nędzarzem jest przy mnie, ofiarę moją odepchnął; słyszałaś, jakim śmiechem się urągał!

— Kto?

— Ten, który stąd wyszedł przed chwilą. To był stryj i opiekun wojewodzica.

Gwałtownym ruchem Niemiec, jakby odepchnąć chciał widmo jakie, rzucił rękami.

— Między nami a nimi nie może być związku, przyjaźni, zgody. Któż wie? Może ta krew pańska odezwać się kiedyś w nim, w tym młodziku twoim. Nie chcę go! Tyś lepszego szczęścia warta.

Odchodził już, a Fryda padłszy na krzesło, z zasłoniętą chustką oczyma, zanosiła się płaczem dziecięcym; głos jej przywołał nazad ojca.

— Uspokój się, uspokój, dziecko biedne, jam winien wszystkiemu: po co było obcego wpuszczać do domu? jak mogłem pozwalać na to, nie znając ich, by śmiały spojrzeć nawet na ciebie? O twoją rękę na klęczkach starać się będą grafowie i książęta, ja ci dam i kupię koronę.

— Ja nie chcę nic! nic!—wołała Fryda — ale kochać go muszę. Gdybym chciała wyrwać z serca miłość, nie potrafię, wrosła weń, umrę z nią.

Hennichen stał blady, nie wiedząc co odpowie, walczył z sobą.

— Dziecię, uspokój się... cierpliwości, spokoju. Jeśli cię kocha, przybędzie za tobą, do ciebie; my jechać musimy, mnie tu zje srom i upokorzenie. Musimy stąd uciekać.

Dziewczę nic nie odpowiedziało, załzawione jej oczy biegały po rynku szukając Janusza, myśl błąkała się także szukając jakiegoś ratunku. Nie chciała dreczyć ojca, lecz spodziewała się po wojewodzicu, że on znajdzie jakiś środek ocalenia... była go pewną.

Skinąwszy na ciotkę, aby go przy dziecku zastąpiła, bo jej samej nie chciał zostawiać, Hennichen wyszedł z mocnym postanowieniem jak najprędzszego wyjazdu,

Milcząca towarzyszka nie mówiąc słowa siadła, pieszcząc tylko dziewczę i ocierając łzy, o których przyczynę pytać nie potrzebowała.

Fryda została w oknie, na chwilę się od niego nie chcąc oddalić. Zdawała się spokojniejszą. Ojciec ani ciotka nie mogli jej stąd odciągnąć. Siedziała wpatrzona nieruchomemi oczyma w tłum przesuwający się po ulicy. Zdawała się nie widzieć nawet przygotowań, które Hennichen umyślnie przyspieszał. Zabierano więc sprzęty, ciotka się krzątała, zostawiono ją tym myślom i łzom cichym, sądząc, że ich potrzebowała. Wielki ból przejdzie, mówił ojciec w duchu, nastąpi rozważa, a czas uleczy te rany.

Fryda napróżno wyglądała do wieczora. Hennichen, uspokojony nieco, wyszedł z Wilmssem do miasta, przykazując tylko ciotce, ażeby z oka nie spuszczała Frydy i starała się być z nią ciągle. Napróżno jednak przesuwała się po komnacie tam i nazad, siadała, wstawała, wzdychała biedna ciotka... ani do rozmowy, ani nawet do wejrzenia na siebie zadumanej skłonić nie mogła.

Mrok padał, gdy znużona i pracą i tym nadzorem, ciotka usiadła w sąsiednim alkierzyku, z myśli posepnych wpadłszy w sen jakiś niespokojny i przerywany. Nie słyszała nawet, jak cicho otwarło się okno w komnacie, w której siedziała Fryda, i jeszcze ciszej przy-

mknęło. W chwilę potem na palcach podszedłszy ku drzwiom, oglądając się, po cichu, dobiegło dziewczę do progu i ostrożnie otwarło drzwi, tak aby najmniejszy szelest ciotki nie zbudził. Janusz ukazał się w progu, stał znekany i przybity, jak winowajca przed nią. Skinęła nań, razem wyszli do ciemnej sieni, drzwi zostawiając otwarte za sobą. Fryda pochwyciła go za rękę.

— Wiem co mi przynosisz — rzekła — twoi odpychają mnie, nie chcą, a ty? czy i ty? Janusz boleśnie się uśmiechnął.

— Mogłaś mnie o to posądzić? — rzekł cicho — jam się wszystkiego wyrzekł dla ciebie. Nie mam rodziny, kraju, krewnych, nikogo. Jestem ubogim, włóczęgą, bez imienia. Co wam po mnie? Mogęż ja żebrać u was wszystkiego, gdy nic sam wam dać nie mogę? I żyć u was na łasce?

Fryda trzymała jego rękę, jakby się lękała, ażeby jej nie uciekł.

— Na to jest sposób — rzekła — ty dla mnie wyrzekasz się rodziny, ja się jej wyrzeknę dla ciebie. Idźmy dwoje, sami, w świat, bez rodzin i imienia!! Ja się nie zleknię z tobą niczego...

Wojewodzie spojrzał na nią i w mroku ujrzał tylko dwoje jej oczu zwykle jasnych i łagodnych, teraz świecących, jakby iskrami połyskującymi w ciemności.

— Nie mamy chwili do stracenia — zawołała — jutro ojciec mój jechać każe, jutro mnie porwą i wywiozą... a ty zostaniesz tu, zapomnisz, zdradzisz, i ja tam umrę... z tęsknoty.

To mówiąc, wyjęła na sznurku wiszący sygnet.

— Patrz, to pierścień, to słowo twoje, to przysięga, ty jesteś mój! lub będziesz wiarołomcą...

Zwykle łagodna Fryda w tej chwili przerażała Janusza gwałtownością, z jaką z jej ust wyrwały się słowa gorące, którym żadna siła oprzećby się była nie mogła.

— Jeśli mnie odstąpisz, przeklnę cię, na życie całe — lecz nie! nie!... Uchodźmy, uciekajmy! Wojewodzie stał niemy.

— Dokąd? — zawołał — jutro bylibyśmy schwytani, a ja karany jako gwałtownik. Ja nie mam prawa do ciebie. Powstrzymaj ojca od wyjazdu, znajdziemy w zborze duchownego, który nas pobłogosławi. Połączeni ślubem ujdziemy.

— Ty mnie nie zdradzisz? — spytało dziewczę. — Więc dobrze, wstrzymam ojca, nie wezmą mnie siłą; ty czuwaj, życie moje w twoich rękach... idź... uchodź, niech cię nikt tu nie widzi.

I znikła, drzwi cicho przymykając za sobą. Janusz ledwie miał czas wsunąć się za wschody wiodące na drugie piętro, gdy usłyszał rozmowę powracającego Wilmsa i Hennichena.

— Jutro! — mówił stary złotnik — nie chcę dnia jednego dłużej oddychać tutejszem powietrzem. Wyrwę ją stąd. zapomni łatwiej. Nie powiozę do Wittembergi... posiedziemy w Augsburgu, gdziekolwiek bądź, póki nie ochłonie.

— W młodości, — dodał Wilms zimno — żywo się biorą te sprawy, ale prędko też zapominają.

— Dalby Bóg!

Przyczajony Janusz dozwolił im wejść do mieszkania, a sam, pocichu, spuścił się ze wschodów. Szczęście i niedola razem przepęlniały mu serce; ani jednym, ni drugim nie miał się z kim podzielić. Sam jeden, zostawiony sobie, czuł, że nie podola niebezpiecznemu przedsięwzięciu, do którego Fryda, śmielsza od niego zmuszała. Zostawał mu jeden Tilius tylko, na którego jeśli nie przyjaźń, to ubóstwo i chciwość mógł rachować; ale i tego nie wiedział gdzie szukać. W głowie mu się zawracało. Siebie już poświęciłby był łatwo; lecz cóż miał począć z nią, aby pieszczonemu dziecięciu życie uczynić znośnem, życie wygnańca, włóczęgi... obcego wszędzie? Z myślami temi zawlókł się raczej niż przyszedł do domu. Na ławie przed gospodą siedział zapomniany Józiak, jak niegdyś na wschodach kamienicy Hennichena; posepniejszy jeszcze od swego pana, a równie nieszczęśliwy, bo sercem był w Rochowie a losy wojewodzica dzielić

musiał. Lecz cóż mu mogło dopomóc biedne chłopię?

Weszli razem do izdebki. Janusz padł w krzesło, ręce położył na stole, głowę na nich i męczył się bezsilnem dumaniem. Józiak koło niego chodził. Radby był zaczepić a nie śmiał.

— Pan pisarz, — rzekł cicho, wyczekawszy — kazał prosić na wieczerzę.

— Nie pójdę — odparł Janusz.

— A panie, panie — odezwał się ośmielony służka — cóż z nami będzie? Pan się zamęczasz, rady niema. Wróciłby nam do swoich, a obcych zapomnieć. Nieszczęścieśmy wywieźli z tych Niemiec.

— I nieszczęście do nich wnieśli — mruknął Janusz. — Ale są drogi, z których się nie powraca, i są napoje, które trzeba wypić do dna. Słuchaj — spytał wstając nagle, — mam tylko ciebie jednego... pójdziesz ze mną?

— Nie pytam nawet dokąd, pójdę! — rzekł Józiak.

— Uciekamy... jutro.

— Dlaczegoż mamy uciekać? — zapytał chłopak.

— Hennichen chce wywieźć córkę, ja ją porwać muszę.

Załamaj chłopak ręce.

— Porwać? dokąd? nie mamy domu! nie mamy ludzi, nie mamy koni! Pójdzie pogoń za nami.

— Pogoń? nie; ujdziemy, ujdziemy w lasy, bez drogi! Kto nas może pochwycić? Kto ślad znaleźć?

Począł chodzić Janusz żywo po izbie.

— Konia mi z siodłem dostawisz dla niej, mnie mój starczy, ty swojego masz... niech stoją w pogotowiu, za miastem u bramy.

Mówił, a chłopak przerażony ręce łamał, bo mu się zdawało, że pan jego zmysły postradał. Wszystko to było tak dziecinnie i niedołąźnie obmyślane. Spełnić rozkazy nieszczęśliwy Józiak był zmuszony, lecz czuł, że owa ucieczka powieść się nie może. Ile razy chciał zaprzeczyć wojewodzicowi, ten mu już mówić nie dawał.

O późnej godzinie, dopytawszy wreszcie mieszkania Tiliusa, wyszedł szukać go Janusz. Niemiec od kilku dni, jak w Wittemberdze u wdowy po burmistrzu, tu znowu mieścił się w niemieckiej rodzinie, której głową była mądrą owdowiała kupcowa z sześciorgiem dzieci. Tilius grał tu rolę klucznika i pedagoga. Stał wprawdzie na poddaszu, lecz o chleb się już nie troszczył. Janusz znalazł go nad rachunkami, które mu przepisywać kazano. Niespodziane odwiedziny po nocy zdziwiły go i ucieczyły razem; Janusz, jak się nieplonnie domyślał, potrzebować go musiał.

Nie bardzo chcąc mu się zwierzać, siadł przybyły, próbując, czy się z rozmowy o tem,

czego pożądał, nie dowie. Lecz Tilius był zręczniejszym daleko niżeli się wydawał, a wielce domyślnym. I nim Janusz go potrafił wybadać, dorozumiał się o co chodziło. Według niego nic łatwiejszem nie było nad ślub; lecz małoletni, potrzebować musieli choćby z jednej, którejkolwiek strony, opieki i zezwolenia rodziny. We zborze też trudniej było może dostać błogosławieństwo, niż u katolickiego duchowieństwa, bo się pastorowie obawiali zemsty i prześladowania. Z takiej ogólnej rozmowy z Tiliusem Janusz nic nie mógł nad to wyciągnąć, iż ślub był prawie niepodobny.

Zabawiwszy więc chwilę, z niczem powrócił. Błogosławieństwo zdawało mu się równie dobrem z rąk duchownego jakiegokolwiek wyznania, podług ówczesnych pojęć. Wojewodzie gotów był go żądać w pierwszej plebanii po drodze. Lecz mógłże je tam otrzymać, nie będąc zapytany, do jakiego należy kościoła? mógłże się spodziewać, że wyprosi je nieznany? Rzucić się trzeba było na losy. Z głową rozmarzoną powrócił znowu do gospody, gdzie Józiak z rozkazami niemożliwymi rozpaczliwie też chodził, nie wiedząc, jak je ma spełnić. Cała noc ta na przygotowaniach spłynęła.

XXI.

Nazajutrz nad wieczorem w mieście popłoch się stał wielki.

Ókoło kamienicy Wilmsa stała gromada ludu, patrząc w okna, rozprawiając, cisnąc się do zamkniętej bramy. Nikt nie umiał właściwie powiedzieć, co się tam stało, lecz, że coś się stało niezwyčajnego, to pewna. Jedni rozpowiadali, że jakiemuś bogatemu Niemcowi córkę skradziono; drudzy, że mu się złodzieje do skrzyni włamali. To pewna, że konie w podwórzu stały, i że w chwili gdy tłum zaglądał przez szpary do bramy, ta się otworzyła i poczet znaczny z cudzoziemska ubranych pacholków nagle w ulicę wybiegł, mając na czele starego człowieka, który zdawał się jak oszalały i nieprzytomny. Ludzie byli dobrze zbrojni i marsowych twarzy.

Wszczął się między nimi zaraz gwar i śnać trudność o to, w którą stronę ruszać mieli. Szwargotali długo, sprzecjali się, aż jeden z kopyta ruszył ku Floryańskiej bramie, a reszta za nim zaraz biegła, i w ulicy widać już tylko było tłuste konie ich z pozawiązwanymi, obyczajem niemieckim, ogonami.

W tejże samej chwili z drugiej strony, od Franciszkanów, ukazał się drugi poczet ludzi daleko liczniejszy i wrzawliwszy. Na czele ogromny i opasły poważnej postaci mężczyzna, dalej kilku starszyzny i cała kupa dworzan, pacholąt, czeladzi rozmaicie poodziewanej, na koniach niedobrych, z takim orężem jaki kto w prędkości pochwycił.

Mieszczanie stojący w rynku pokazywali sobie i pierwszych i drugich, szepcząc i opowiadając, że to wszystko jedna była sprawa.

Ale baje pleciono. Nikt dobrze nie wiedział, o co szło, kto i kogo ścigał; wieść się tylko nosiła, iż magnat jakiś mieszczaninowi krzywdę wyrządził, że mu małoletnią porwał, że w tem wszystkim sprawa była zboru, że tego gwałtu dopuścił się dyssydent i t. p. A że tłum łatwo się lada czem po swej myśli rozgorączkowuje, jednym się chciało z tego powodu iść na zbor i rozwalić go a nowowierców do nogi wybić, drudzy brali to za opresję magnatów nad nieszczęśliwym mieszczanstwem i burzyli się na prepotencję ich.

Najpewniejszym jednak ze wszystkiego było, iż spełna nikt nie wiedział, o co chodziło. Usłyszano hałas nagle w kamienicy z jednej strony, z drugiej około gospody. Zaczęli ludzie tam i sam uganiać się po mieście, ten i ów słówko bąknął jakieś, drugi je pochwyił i przekręcił, a jak wzięto na języki te latające plotki, porosły one do niesłychanych rozmiarów.

Gawiedź uliczna tylko myślała, jakby z tego skorzystać i albo żydom się dać we znaki, albo do zboru się włamać, lub pohulać trochę około kramów, w których się coś zawsze znaleźć mogło. Lecz że król był na zamku, a przy królu JMci siła ludzi i czujność wielka, pomiarkowali ci, co zabawić się chcieli, iżby tę

nie bardzo było bezpiecznem. Tłum więc zwolna rozplywać się zaczął. A na Kleparzu i na Stradomiu wiedziano z największą już pewnością, że dyabeł porwał żydówkę. To jakoś wszystkich uspokoiło.

Tymczasem dwa poczty, z których jeden wyjechał przodem z rynku, drugi później się wysypał z gospody pod Franciszkanami, pobiegły oba do bram. Zaczęli tu rozpytywać o coś i tak ich to zabawiło, że się oba zbiły w jeden, chociaż się z sobą nie zdawały znać. Co dziwniej, i jedni i drudzy pytali siedzących w bramach, czy nie widzieli wyjeżdżających mężczyzny młodego z kobietą i małym bardzo poczem, albo nawet samotrzeć?

Że zaś przez wrota wiele ludzi i mężczyzn i kobiet, że służbą i bez służby, wjeżdżało i wyjeżdżało, trudno tam było co dopytać. Jedni widzieli, że w istocie młoda jakaś para z dworzaniem wyruszyła w stronę ku Łobzowu i Tęczynowi; drudzy, którzy tam także stali, o nikim nie wiedzieli. Z tego badania u bramy powstała znowu kupa ciekawego ludu, który bałamutnemi odpowiedziami trzymał ludzi napróżno.

Owi Niemcy, co mniejszym poczem wyruszyli z rynku, ledwie zachwyciwszy języka, puścili się na oślepie gościńcem; drudzy zaś, którzy od Franciszkanów nadbiegli, troskliwiej i pilniej dopytując trochę czasu stracili, tak,

że gdy się potem jechać namyślili, rozdzielając na dwie gromadki, w przeciwne strony, Niemcy ich już dobrze prześcignęli.

W stronę ku Zabierzowu i Tęczynowi jechał na czele oddziału, nie zbyt spiesząc, pan pisarz sam, mając z sobą podstarościego.

Łatwo się czytelnik domyśli, że to była pogoń wysłana za uchodzącym Januszem, z którym razem Fryda ujechała. Stało się to w biały dzień, gdy nikt posądzić nie mógł o zamiar ucieczki, a Hennichen był najpewniejszy, że córka jego odpoczywa. Nierychło dopiero, bo w godzinę może, zajrzała ciotka do pokoju, a nie znalazłszy jej, zaczęła szukać po całym dcmu i uderzyła na alarm. Nadbiegł stary ojciec i z rozpaczą natychmiast konie sposobić kazał, ażeby się puścić za uciekającymi. Zrazu jednak nie wiedział nawet, w którą udać się stronę, aż ludzie w rynku będący wskazali mu, że w bocznej uliczce czekały konie, i że tam widzieli ją dosiadającą jednego z nich, a potem samotnie dążącą z młodym mężczyzną ku Floryańskiej bramie.

Rozbiegło się to zaraz po mieście, i dopiero z odgłosu publicznego o porwaniu córki złotnika dowiedział się pisarz o wypadku. Wnet posłał szukać synowca i przekonał się, że jego ani Józka i koni ich nie było w gospodzie.

Niemniejsze to na nim uczyniło wrażenie; tak, że choć do konia i szybkiej jazdy nie

bardzo sposobny, zaraz co żyło na koń wsadził i sam jechać się wybrał.

Uczył to nie bardzo się rozmyśliwszy, gdyż wcale nie było podobieństwa ażeby uciekających napędził. Sam to czuł, że się do tego nie zdał; lecz gnał go wielki gniew i niepokój, a w miejscu mu trudno było usiedzieć. Podstarości włókł się za nim smutny i ponuro milczący. Pisarz przeciwnie chwili nie mógł strzymać buchającego zeń gniewu.

— Pan Bóg nas, a szczególnie mnie na stare lata pokarał — mówił ocierając pot lejący się strumieniami z czoła. — Któż się po tym chłopcu mógł spodziewać takiego wybryku! takiego uporu!!

Podstarości nie odpowiadał już, ale każdego spotkanego pytał, a niemal każdy odpowiadał, że nie widział uciekających.

— Wasza miłość mi pozwoli powiedzieć, — odezwał się podstarości, — że ta nasza jazda do niczego: albo trzeba gonić, nie szcędząc ni siebie ni koni, albo dać krzyżyk na drogę. Niech W. Miłość powraca do gospody, a mnie z ludźmi pozwoli ścigać. Toż nie kto inny oto, jak ojciec tej złotniczki przekłętej o kilkoro staj nas wyprzedza, bo i on goni. A żeby my też Niemcom dali jechać przodem.

Pisarz wziął na kiel i konia spiął.

— Ruszaj! — zawołał — toć i ja się nie boję wyciągnionego jechać; ruszaj, co koń stanie!

Na ten rozkaz dźwignął się oddział cały żwawo, a że niemieckie konie ledwie dobrym truchtem szły, wkrótce się z nimi zrównali. Pisarz z ukosa spojrział na Hennichena i poparłszy swojego, poprowadził z podstarościm cały hufiec, zostawiając Niemców za sobą. Ci się śnać wyprzedzać nie myśleli.

Na drodze do Zabierzowa stała karczemka; tu jęli się wypytywać. Wyszedł arendarz i wypowiedział się, że przed godziną jechała młoda kobieta z mężczyzną, co koń mógł wyrwać, i kędyś ku Tęczynowi się skierowali. Dodał, iż z pięknych twarzy obojga wnosili, iż to musiało być wielkie państwo, dla zabawy z Krakowa czyniące wycieczkę na Zabierzowskie skały.

Podstarości się zadumał. Mieli więcej godziny już zyskanej, koni nie żalowali pewnie, trudno ich gonić było, chyba by gdzie spocząć potrzebowali i w zajeździe ich na gościńcu udało się przydybać. Wszczęła się, jak to zwykle w takich razach bywa, narada, co czynić, a tymczasem Niemcy nadjechali, poszwargotali i poszli przodem. Pisarz zaczynał się rozmyślać, iż on tu był nie bardzo potrzebny i darmo się zameczał. Gorąco mu było, dyszał i cały był w potach. Zsiadł więc z konia, oddał go dworzaninowi, a sam na pniaku pod karczmą padłszy, że nie było nic innego, paskudnego piwka sobie kazał dać i chciwie się niem raczył.

— Mój podstarości, — rzekł, — jednego mi człowieka zostawcie; ja widzę, że mi się gnać trudno, za ciężki jestem na to, będę tu siedział i czekał na was choćby dwa i trzy dni. Ruszaj, gnaj i byleś mi Janusza pochwycił; niech sobie niemkę czy ojciec czy kto chce zabierze, aby się jej zbyć.

Podstarości rozkazu tylko czekał: jednego człowieka oddzieliwszy, sam pognął. Chwilę za nim, w tumanie kurzu pędzącym, patrzył tęskno pisarz, a potem oczy zakrywszy w myślach się zatopił.

Do wieczora parę godzin zostawało. Mała była nadzieja, ażeby powrotu podstarościego doczekać. Pisarz więc, któremu się zdawało, że tu, jak na jakim ważnym stanowisku, powinien być zostać, kazał sobie w szopie siana nasłać, kilimkiem z konia zdjętym przykryć, i dworzaninowi poleciwszy czujność, sam starym kościom poszedł dać spocząć.

Do późnej nocy czuwała straż i pan pisarz nie usnął: nie doczekali się nikogo, oprócz deszczu i burzy, która nieco powietrze ochłodziła. Około północy dworzanin siadłszy we drzwiach usnął, a pan pisarz nasłuchując ciągle, zdrzemnąwszy się lekko z razu, później twardym snem został zdjęty. Dzień był dobry na niebie, gdy się zbudził, napastowany przez muchy, i dworzanina zawołał, który też jak pijany ze snu się otrząsnąć nie mógł.

Podstarościęgo ani słyhu, ani śladu. Tak na tem rozdrożu, w biednej szopie, przyszło panu pisarzowi cały następny boży dzień przestękać i kłać Niemców. Nie było nawet czem grzesznego ciała posilić, oprócz piwa kwaśnego, gugla i jaj, które pisarz, post przymusowy ofiarując za grzechy, do ostatniego spotrzebował z głodu.

Do wieczora był jeszcze jako tako cierpliwy; ku nocy drugiej już zaczął na podstarościęgo narzekać, że się puścił za daleko.

Kraków widać było we mgłach i dymie; znużony chciałby był doń powrócić, lecz dawszy sobie i podstarościęmu słowo, nie mógł. Tęsknica go opanowała wielka, począł rozmyślać, co pocznie, jeśli uchodzących pogoń nie doścignie i Janusz mu z rąk ujdzie. Ostatni z rodziny, osamotniony, biedny, wśród obcych będzie musiał dokonać żywota zbolalego i targę kazać rozkruszyć na pogrzebie, wydzielając niewdzięcznika.

Żał mu było Janusza. Przypuścić jednak złamania woli wojewody i zezwolenia na małżeństwo nie mógł. Sam uległby był pewnie, — jako spadkobierca brata czuł się związanym na wieki. Nadeszła noc, trzeba było na siano wracać o głodzie i drugą już przepędzać po młodemu, pod szopą, przy siodle i koniu. Zasnął pan pisarz wzdychając. Przebudził go tentent, gwar i chrapanie koni. Przez ściany

szopy, w której nocował, dzień już biały przeświecał. Zawołał na sługę, bo ktoś się do wrót dobijał. Otworzono je: był to podstarość, zmęczony, okurzony i ledwie wlokący się, tak, że dopadłszy koryta przewróconego, nie pytając o pozwolenie, padł na nie.

Pisarz się zerwał co żywo z pytaniem, lecz stary musiał spocząć trochę, nim się od niego słowa było można dopytać.

— Nie napędziles ich? — mówił natarczywie pisarz stojąc nad nim.

— Ani było sposobu — odparł w ostatku podstarość. — Zrazu po gościńcu wszędzie ślady ich znajdowaliśmy, potem języka nie stało, nikt nie widział ani słyszał. Musieli się rzucić kędyś w bok z gościńca na manowce.

— A Niemcy?

— Pociągnęli już nie wiem kędy — odezwał się podstarość. — Nadaremna pogoń była: kto uchodzi, ma sto dróg; kto gna, jedną.

Tak wyprawa się skończyła stratą kilku okaleczonych koni, znużeniem ludzi i smutnym powrotem do Krakowa.

Rozesłano tylko ludzi różnych, którzy się ofiarowali na szpiegi, jednych bodaj aż do Wittembergi, dokąd, jak się domyślano, ujść musiał wojewodzie, i drugich na różne gościńce. Pisarz nie szczędził grosza i przyrzekł znaczną nagrodę, ktoby mu wiadomość pewną

przyniósł. Oczekując jej nawet pozostał w Krakowie, nie wracając do Zalesia, choć mu już za wsią bardzo tęskno było.

Kilka tygodni upłynęło w oczekiwaniach. Po mieście obiegały pogłoski różne, nawet tak niedorzeczne, iż im wcale wiary dać nie było podobna: że owa para młodych, uchodząc dalej nocą, gdzieś ze skał spadłszy śmierć znalazła. Drudzy twierdzili, że Niemiec w drodze córkę odebrał, a Janusz na Wołoszczyznę kędyś uszedł.

Z wysłańców nikt zrazu nie powracał, czekano na nich długo napróżno. Zjawił się potem szlachcic Miętusem zwany, którego podstarości za najbystrzejszego miał i po nim się spodziewał najwięcej. Gdy postrzeżono, że naprzd do stajni poszedł i długo się około konia grzebał, domyślili się wszyscy, iż pewnie z niczem lub z małym czemś wracać musiał. Dopiero w godzinę przyszedł do podstarościiego oświadczając, że w Wittemberdze zbiegłych nie było, że Hennichen dojechał tam sam i ciężko zaraz zachorował. Po drodze tu i ówdzie napytać można było skazówki, iż w Niemczech zbiegli ukrywać się musieli. Za Miętusem przybywali potem inni. Jeziorański niejaki przysięgał się, iż w kilka godzin po przejeździe ich przez jakieś miasteczko niemieckie nadażył. Opowiadano mu i opisywano ich tak dokładnie, że omylić się było niepodobna.

Tu już, z potrzeby snąć, chłopak im towarzyszący nosił jakieś manele i łańcuch do złotnika chcąc je sprzedać, i po długim targu lichą cenę wzięwszy, zaraz się w dalszą puścili drogę. Jeziorański dotarł do złotnika, manele i łańcuch widział, lecz te snąć do córki złotnika należeć musiały, bo ich nie poznał jako własności wojewodzica. Dalej mu tak znikli, iż w okolicy się kręcąc przez kilka dni, najmniejszego nie trafił śladu.

Po tych dwu przybywali i inni, odejmując ostatnią pisarzowi nadzieję. Podstarości nie bardzo Miętusowi uwierzywszy, sam się jeszcze do Wittembergi ofiarował, do której znał drogę. Pisarz znowu pozostał w Krakowie. Jechał tedy stary sługa i dotarł do miejsca, a do znajomej gospody dopytawszy się, zaraz o Hennichena badał. Gospodarz mu potrząsając głową odpowiedział, iż niedługo stary chorował i umarł. Dom był zamknięty, gospodarowały w nim dwie stare ciotki, więcej nikogo tam być nie miało. Niezaspokojony tem, podstarości poszedł nazajutrz do kamienicy. Kołatać musiał długo, nim mu otworzono. Stara kobieta wpuściła go do sieni. Cisza panowała w domu, na którego dole nawet okiennice na głucho były pozamykane. Z wielką ostrożnością począł dopytywać podróżny o los córki gospodarza; lecz na pierwsze zapytanie

przestraszona sługa wyprosiła go za drzwi i zarygłowała się od niego.

W mieście nie wiedziano nic, lub nic mówić nie chciano.

Z wielką biedą dóbył z gospodarza swego wiadomość: że córka po śmierci ojca zgłaszała się do domu, ale powrócić doń nie chciała; że się z mężem miała daleko gdzieś wynieść, a miejsca nikt oznaczyć nie umiał.

Straciwszy więc nadzieję znalezienia Janusza, pisarz zaczął się wybierać do Zalesia. Mógł był zamieszkać w Rochowie, ale tam mu nadto było smutno i zajrzeć nie śmiał, cmentarzem go zowiąc. Zmieniony na humorze, a nawrócony szczerze i gorliwy teraz katolik, pisarz przybył do Zalesia. Nazajutrz po przyjeździe swym, posłał ludzi i kazał szope, w której teraz był zbór, z czterech rogów podpalić a pastorowi się wynosić. Dwór teraz zmienił się zupełnie, bo do niego zewsząd duchowieństwo płynęło, a że legatami pana wojewody rozporządzał brat i zajmował się czynnie fundacją dwóch klasztorów, miał więc czem się rozerwać.

Tak upłynęło ośm miesięcy, gdy jednego ranku dano znać pisarzowi, że Józiatek, który z Januszem był uszedł, teraz piechotą, zbieżony wielce, powrócił. Kazał go co rychlej wołać do siebie i ledwie poznał, tak był zmiżerowany i odarty.

Rzucił mu się Józiak do nóg, przepraszając i wymawiając się tem, że pana swego opuścić nie mógł i uchodzić z nim musiał, a co gorzej, konia, faworyta pana pisarza, pod niemkinię pochwycił. Już mu tych grzechów wiele nie pamiętano, a pisarz naglił o to, co się z synowcem stało. Miarkując z nędzy, w jakiej Józiak się znajdował, wnosił, że i wojewodzie nie lepiej się tam dziać musiało. Upewniał jednak przybyły, iż pan jego w drogę się puścił wyposażony jako tako, ale go napastnicy w lasach odarli do koszuli.

O wojewodzicu i jego żonie mówił, iż się wynieśli do Holandyi, i że tam zamieszkali, nie wiele dostawszy po zmarłym Hennichenie, którego majątność poszła kadukiem w obce ręce, a wielką jej część do skarbu cesarskiego zabrano. Opowiadając jednak o panu swym, ani miejsca gdzie żył, ani szczegółów żadnych wyjawić nie chciał i płakał. Sam zaś, ponieważ srodze tęsknił do kraju, odprawiony został, złożwszy przysięgę, iż nie wyda nigdy, kędy Janusza zostawił. Dodawał, że wojewodzie i nazwisko był zmieniał i jako prosty mieszczanin między Holendrami chwycić się musiał jakiegoś niezdrowego chleba.

Wszystko to ciemno, poplątano, nie zawsze z sobą zgodnie mówił chłopak, a rad milczał, i słowa z niego dobyć było ciężko.

Pisarz, litując się nad nim, wziął go do

swojego dworu; lecz po roku Józiak prosił się do klasztoru i sukienkę zakonną oblókł.

Straciwszy wszelką nadzieję odzyskania i nawrócenia synowca, myślał już tylko pisarz, jakby wolę wojewody spełnił i majątnościami rozporządził. Znaczna ich część poszła zapisami na klasztory i fundacye pobożne nabożeństw za duszę wojewodzinej, wojewody i rodziny. Co pozostało, odkazał pan pisarz najbliższemu krewnemu, którego sobie za spadkobiercę obrał. Był to syn kasztelana Jeremiego.

O wojewodzicu prawie zapomniano i uważano go za straconego na wieki, tak, że tylko powieści o nim chodziły, dziwacznie przerażające i na naukę młodzieży służyć mające. Pisarz żył jeszcze lat kilkanaście, tylko w ostatnich już chodzić dla otyłości nie mógł, i z izby do izby na wózku go przeciągano. Nie można było przy nim wspomnieć nawet Janusza, któremu zgubę rodu przypisywał, a tem mniej imienia niemieckiego.

Pobożnym się stawszy, pisarz przygotowany na śmierć przykładnie, żywota dokonał w Zalesiu, bo do Rochowa nigdy ani jechać, ani go widzieć nie chciał. Zamek też spustoszał zupełnie, i w części przez pożar zniszczony, w lat kilkanaście mieszkalnym być przestał, tak że się stał ruiną. Rozporządził pan pisarz, aby na pogrzebie jego tarczę rodową rozbito, co się też stało.

XXII.

W lat dwadzieścia po opisanych wypadkach, gdy one prawie zapomniane zostały, a na Zalesiu i Rochowie panował już syn kasztelana Jeremiego, starej siedziby Rochitów poznać było trudno. Zameczysko rozsypało się w gruzy, nad którymi sterczało parę baszt i złcm obalonej bramy. W miasteczku ogromny klasztor stanął przy kościele, w którym wspaniałe grobowce jedyną były po wygasłym rodzie pamiątką. Na jednym z nich leżał wojewoda w całej zbroi, na drugim żona jego z różańcem w ręku, naprzeciw stał monument pisarzowi wzniesiony, z popiersiem jego otoczonym godłami i napisem: *Ultimus*.

O nieszczęśliwym zbiegu wszyscy byli zapomnieli, mając go za umarłego, bo się nigdy do rodziny nie zgłaszał. Józiatek, dawny jego towarzysz i sługa, wdziawszy suknię zakonną, od konwentu do konwentu przenosząc się, pędził życie świątobliwe i spokojne. Niekiedy tylko, gdy o osobliwszych losach ludzi i przygodach rozprowadano, wtrącił on coś czasem, dla nauki, o historyi wojewodzica, o którym bez głębokiego żalu wspomnieć nie mógł.

— Zmarnował się człowiek, przezeń zgasła rodzina — mawiał O. Franciszek (takie imię nosił w zakonie) — zginął gdzieś na obcej ziemi bez wieści.

Zasiąwszy się zakonowi jako pracowity i szczęśliwy rządcą kilku klasztorów, dostał się O. Franciszek do Krakowa. Było to w początkach panowania Zygmunta III., które świetniejszym i szczęśliwszem obiecywało się, niż się później rozwinęło. Mnóstwo cudzoziemców ściągnęło do Krakowa czasu koronacji młodego króla, a handlarze z całego świata znosili towary, których Polska potrzebowała wiele, bo ich sama nie miała sobie czasu przysporzyć. Więc co kunsztowniejszego a pracowiciej robionego trzeba jej było, to pieniądźmi wołała płacić, niż się o to postarać doma. A że grosza nie brakło i sownie nim szafowano, nie zbywało ni na przekupniach, ni na rzemieślniku obcym. Właśnie w klasztorze piękna monstrancya stara potrzebowała naprawy, i O. Franciszek szukał zdatnego a uczciwego kunsztmistrza, aby mu ją powierzyć, gdy jeden z kanoników katedry na Wawelu rozpowiadać mu począł o młodym czeladniku złotniczym, z obcych krajów przybyłym, który, mimo wieku młodego nadzwyczajnej był biegłości w rzemiośle, tak, że mu się starsi dziwowali. Znano go pod imieniem Hansa z Harlemu.

O. Franciszek zaraz nazajutrz posłał do niego, aby do klasztoru przyszedł po południu. Właśnie na niesporne nabożeństwo miał wychodzić, gdy mu o przybyłym oznajmiono.

Chłopak był ubogo bardzo ubrany, blady, ale twarz jego o mało wykrzyku nie wywołała z ust ks. Franciszka: był to żywy obraz wojewodzica z owych czasów, gdy się jeszcze w Wittemberdze znajdował. Poruszony tem wspomnieniem, zbliżył się doń gwardyan, myśląc, iż podobieństwo to przypadkowem być musiało; ale niemniej wydziwił mu się nie mogąc, gdy na palcu chłopaka postrzegł sygnet, który poznał odrazu. Był to ten sam herbowny pierścień, którym się wojewodzie tak nieszczęśliwie zaręczył. Nie chcąc go zrazu pytać, skąd wziął ten pierścień, O. Franciszek kazał przynieść połamaną monstrancję.

Wziął się do niej bardzo żywo przybyły, okazując wielkie zajęcie; głos jego mowy, choć obcych dźwięków, również przypominał wojewodzica. Dzieciak to był prawie, pracą wymęczony, żółkły, chudy, a z gorączką jakąś rwący się do pracy co go zabijała.

Nie mógł się oprzeć ksiądz pragnieniu wybadania go. Zapytał naprzód, czy jest Holendrem.

— Nie — odparł czeladnik — urodziłem się w Holandyi, a kto byli moi rodzice, ja tam tego dobrze nie wiem. Matka podobno z Niemiec, a ojciec mówiono że z Polski.

— Cóż się stało z waszym ojcem i matką?

Na to zapytanie chłopak podniósł smutne oczy.

— O! ja oddawna jestem sierotą — rzekł —

wiem tylko, że byli biedni. Matka umarła wprzód, siostra i brat mój potem, został ojciec chory i ten skończył w szpitalu, a mnie z łaski przyjął za chłopca na naukę Van Toten.

— Ten pierścień wszak masz po ojcu? — zapytał ksiądz.

— Tak, nosiła go całe życie biedna matka, potem ojciec; to jedno się po nim zostało.

— A nie mówił ci nigdy o swojej rodzinie w Polsce?

— Ojciec o Polsce nigdy nie mówił — rzekł czeladnik — nie wiem nawet, czy to pewna, że był Polakiem. Sam powiadał, że języka zapomniał.

— Czemże się zajmował? — badał ciągle powoli O. Franciszek.

— O! różnie, słyszę, na chleb pracował, a szło mu ciężko; zawsze na to narzekał, iż mu się nic nie wiodło. Próbował ojciec złotnictwa i płatnerstwa, warsztatu nie było założyć za co, czeladnikiem pracując na chleb zarobić trudno.

Westchnął chłopak.

O. Franciszkowi łza błysła w oku.

— Nie myśl, — rzekł do chłopaka, — abym cię przez prostą badał ciekawość, znałem twój ojca. W szczęśliwszych czasach byłem jego sługą i towarzyszem. Tyś do niego podobny, a ten pierścień dobrze mi znany najlepszym dowodem, że się nie mylę.

Podniósł chłopak głowę i zdziwione oczy wlepił w księdza z wyrazem niedowierzania i wątpliwości.

— Tak jest — dodał O. Franciszek.

Czeladnik zdjął pierścień z palca, aby go z bliska pokazać. Herb Roch był na nim wyraźny, ksiądz omylić się nie mógł.

Z uczuciem uściskał biednego sierotę i pocałował go w głowę. Chłopak patrzył zdziwiony tylko i onieśmielony, lecz zimny. Nędza i praca i chleb obcych i pogarda ludzi zamknęły mu serce. Zmięszany był, ciekawy, lecz nie wierzył, aby mu to dziwne odkrycie tajemnicy jego urodzenia przydać się na co miało. Ojciec mu nawet o dawnej świetności rodu nie wspominał, aby nie zatruwać życia. Z rezygnacją milcząc, odepchnięty, nie chciał dziecku przekazać pamięci smutnych swoich dziejów.

— Jeźliście znali ojca, — rzekł powoli i uśmiechając się dziwnie, — wiedzieć musicie, że i tu będę cierpiał, kiedy się do obcych wyniosł szukać szczęścia i zarobku, a i tam znaleźć ich nie mógł. Biednym wszędzie bieda.

Chłopak rzekł te słowa na w pół wesoło, pół smutnie, z tą rezygnacją ubogich, co się ze swym losem obyli, a O. Franciszek nie chciał mu odkryć całej prawdy, aby nie obudzić i niewczesnych żalów i próżnych nadziei.

Na tem więc skończyła się ich rozmowa, i czeladnik zobowiązał się w samym klasztorze,

gdzie mu miejsce wyznaczono, zepsutą mon-strancę naprawiać. Ta sierota senatorskiego rodu, sponiewierana wygnaniem i nieświadoma swej przeszłości, wychowana w ciemnocie i zaniedbaniu, smutkiem przepelniła duszę księdzu Franciszkowi. Zdało mu się obowiązkiem względem zmarłego wojewodzica, postarać się uczynić coś dla jego dziecięcia. Chciał jednak wprzód zbadać trochę chłopaka. Codzień więc przychodził i siadał, niby przez ciekawość, niby dla dozoru, przy młodym złotniku i prowadził z nim rozmowę. Zdawało mu się, że się coś w naturze, we krwi odezwać powinno przypominającego ród i przeszłość. W istocie, przypominał ojca i dziada charakterem dziwnie energicznym i lekceważącym przyszłość. Zresztą było to dziecię mieszczańskie, które o własnych siłach przewalczyło już najcięższe dni próby i nie myślało tylko o chlebie i o kunszcie.

O ojca ilekroć spytał ks. Franciszek, chłopiec krótką zbywał odpowiedzią, a znać było, że niewiele z tego, co od niego słyszał, zapamiętał.

Jednego dnia wreszcie, dowiedziawszy się o bytności syna kasztelana Jeremiego w Krakowie, poszedł gwardyan do niego i opowiedział mu historję sieroty, której przeznaczony niegdyś spadek był dziś własnością jego. Zdziwił się niepomalu młody pan starosta, ale

zrazu wierzyć nie chciał. Poszedł więc z księdzem razem badać znowu czeladnika, który już był tą obcych ciekawością znudzony. Aby położyć koniec wiekuistym pytaniom, które za próżną tylko ciekawość uważał, chłopak poszedł po swoje papiery, chcąc nimi zaspokoić ją raz na zawsze. Trzymał je zawinięte w chustce, nigdy do nich nie zaglądając. W pomiętych tych a pożółkłych aktach znalazł starosta metryki ślubu wojewodzica z Frydą Hennichen i chrztu dzieci. Znalazły się w nich i listy wojewody do Wittembergi pisane i inne akta poświadczające niezawodne pochodzenie Janka, który rzuciwszy papiery na stół, już cały zajęty robotą, ani zważał, jak je rozpatrywano.

Starostę żal ogarnął wielki nad tak blizkim krewnym, skazanym na poniewierkę między ludźmi. Nie wahał się więc powiedzieć chłopcu, iż był jego dalekim krewnym. A że starosta wyglądał pańsko i przybył ze dworem, zdziwiony Janek począł się z tego śmiać jak z żartu.

Ksiądz potwierdził prawdziwość tego twierdzenia.

— A no, cóż mnie z tego? — spytał chłopak — choćbym i szlachcicem był, co mi stąd przyjdzie?

— Wezmę cię do dworu mego — rzekł

starosta — dam ci co potrzeba i nie będziesz zmuszony pracować.

Na te słowa Janek się rozśmiał ramionami ruszając.

— A cóż będę robił?—odparł śmiejąc się coraz weselej — jam do tego już przywykł, a tam nowego życia uczyłbym się musiał. E! nie, jeśli mi pan dobrze chcesz uczynić, daj mi pomoc do wyzwolenia i założenia warsztatu; więcej ja nie chcę.

Napróżno go na różny sposób starano się odwieść od tej myśli, stał przy swoim twar- do; za późno już było chcieć z niego nowego czynić człowieka. Po długich próbach i namowach starosta zmilczawszy o wypadku, smutny i upokorzony, dał Jankowi zapomogę, a że się w kraju rozgadania tej historii obawiał, poradził mu do Holandyi powracać. Stało się tak — i złotnik młody, nie chcąc zrazu wierzyć swojemu szczęściu, rozradowany wielce, co prędzej zebrał węzelki, spiesząc nazad do Harlemu. I więcej o nim w Polsce nie słyszano.



Niema człowieka, któryby wśród setek jej tomików nie znalazł rzeczy pożądaných i zajmujących.

Biblioteka Powszechna już w trzecim roku swego istnienia odznaczoną została medalem wielkiej wystawy krajowej we Lwowie, a w bardzo licznych głosach prasy odzywało się żywe uznanie dla jej zasług około szerzenia oświaty.

Inne wydawnictwo tejże firmy Księgarskiej W. ZUKERKANDLA w ZŁOCZOWIE ma na oku nasze pokolenie dorastające. Jest to

BIBLIOTEČKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY zawierająca książeczki zajmujące, zabawne i pouczające. Każdy tomik w skromnej ale gustownej oprawie, stanowi odrębną całość i jest osobno do nabycia.

Taż firma Księgarska W. ZUKERKANDEL w ZŁOCZOWIE wydaje pod tytułem

BIBLIOTEKA KLASYKÓW RZYMSKICH I GRECKICH preparacje do lektury autorów starożytnych w gimnazjach.

Każdy zeszyt osobno do nabycia.

Antykw. S. Kowalski

Kraków, 7.5

25

Najtańsze polskie wydawnictwo:

BIBLIOTEKA POWSZECHNA
ZUKERKANDLA.

Dotychczas wyszło

1158 numerów.



Każde dzieło

osobno do nabycia.

Każdy pojedynczy numer 36 gr.

Na składzie w księgarniach

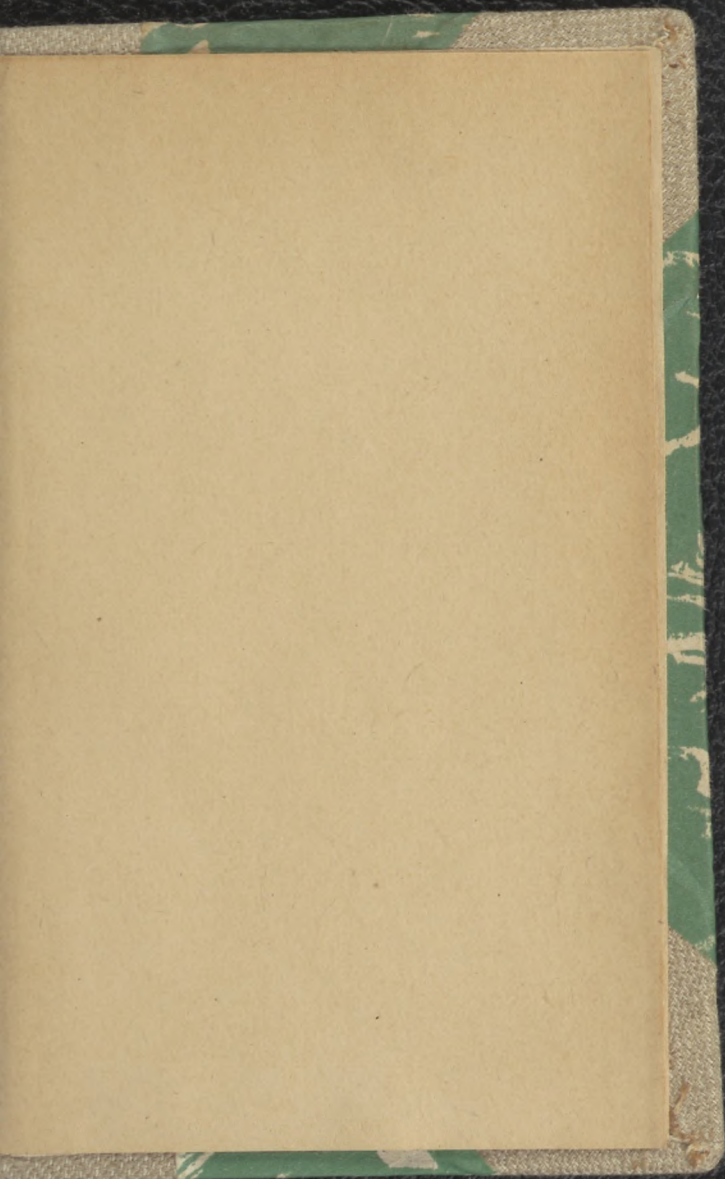
SZCZEGÓLWE KATALOGI NA ŻĄDANIE DARMO I OPLATNE

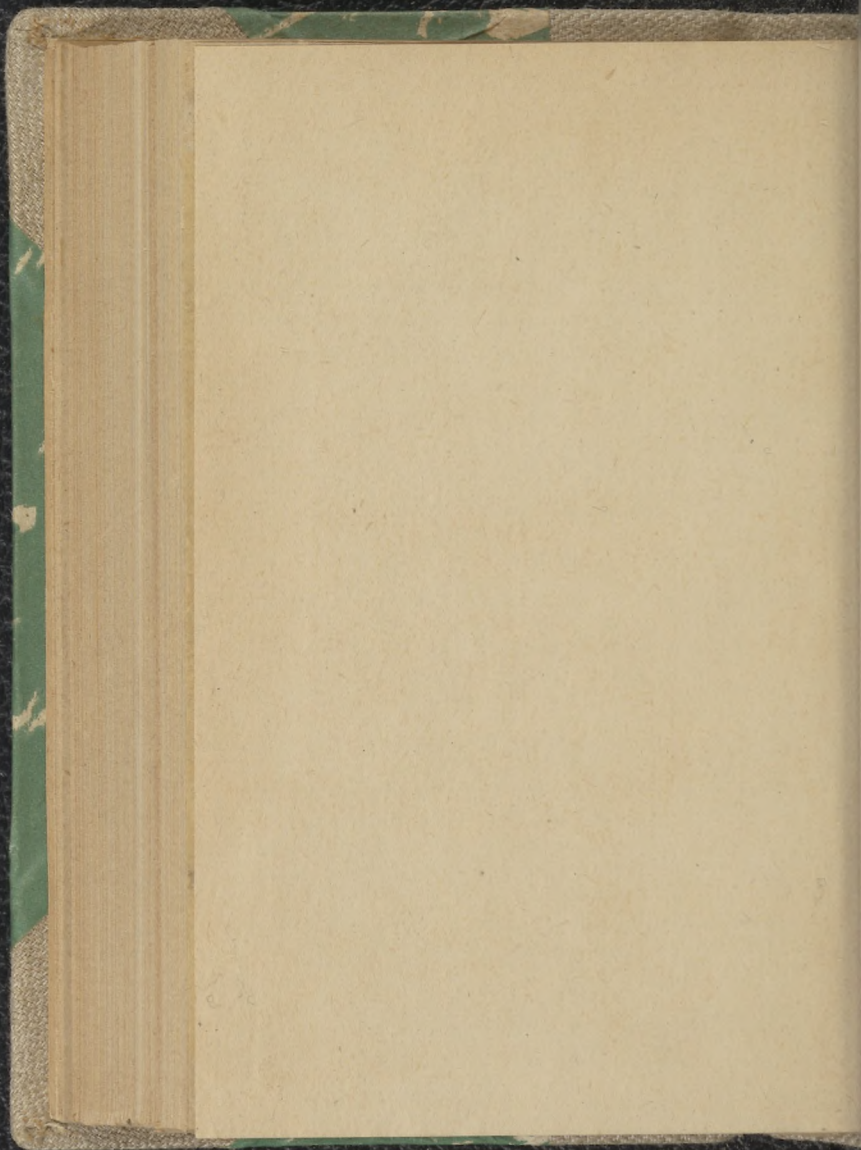
STYCZEŃ 1929.

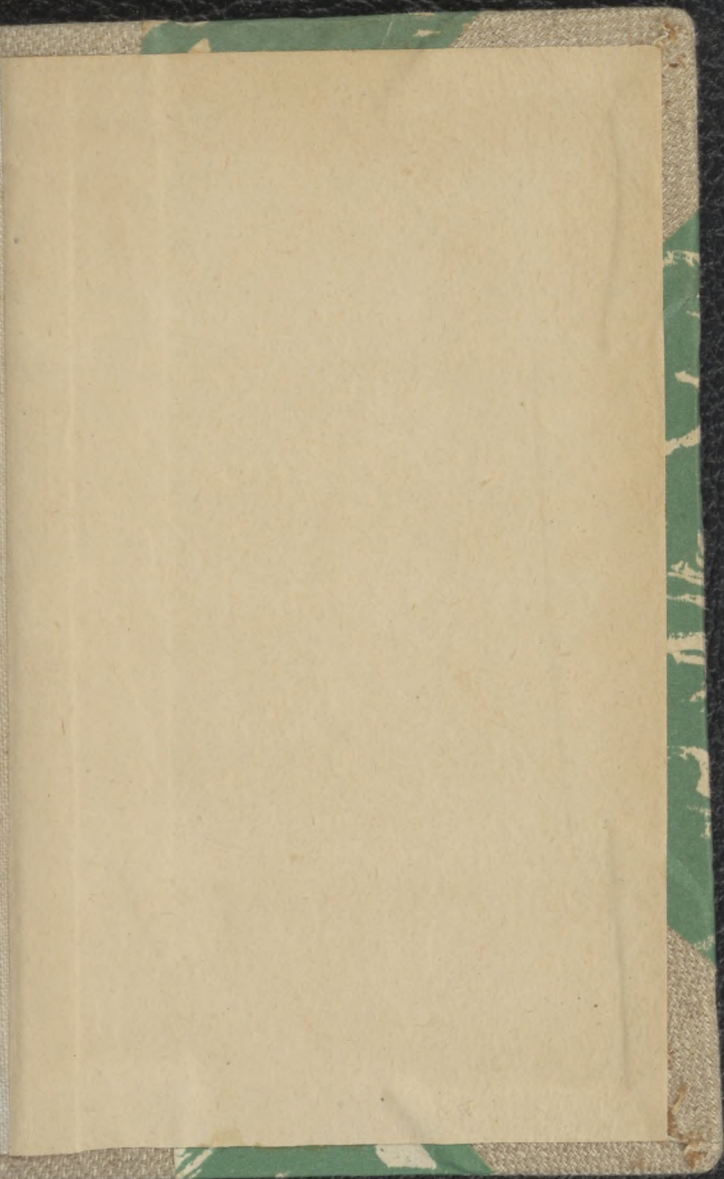
NAJNOWSZE TOMIKI:

- 1137-1139. Kucharski W., Życiorysy i charakterystyki literackie pisarzy polskich. Tom XXI. Jan Długosz.
- 1140-1143. Dr. Węclewski I., Wybór pieśni lirycznych Horacego z rozprawą prof. Uniw. Dr. J. Kowalskiego: O Horacym i przedmową tłumacza: O znaczeniu rytmu muzycznego w poezji.
- 1144-1147. Kraszewski J. I., Staropolska miłość. Urywek pamiętnika.
- 1148-1151. Schiller F., Wallenstein poemat dramatyczny. Tom I. Prolog przekład A. Zippera. I. Obóz Wallensteina przekład J. N. Kamińskiego. II. Piket-miniwowie przekład W. Sabowskiego.
- 1152-1155. Schiller F., Wallenstein poemat dramatyczny. Tom II. Śmierć Wallensteina. Tragedja w pięciu aktach. Przekład W. Sabowskiego.
- 1156-1158. Schiller F., Poezje w najlepszych przekładach polskich. Zebrał i wydał Dr. Albert Zipper. Wydanie trzecie przejrzone i uzupełnione.

Dalsze tomiki w przygotowaniu, wziędnie w druku.









265884

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001002436279